

CZY ZARYZYKUJESZ ŻYCIEM DLA NIEZNAJOMEJ KOBIETY, KTÓRA ŚCIGA MORDERCA?

Dean

KOONTZ

Dobry zabójca



KOONTZ DEAN R

Dobry zabojca

DEAN KOONTZ

Z angielskiego przełożył

ANDRZEJ SZULC

Tytuł oryginału: THE GOOD GUY

Copyright © Dean Koontz 2007

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2009

Redakcja: Beata Słama

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-815-7

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie I Druk: OpolGraf S.A., Opole

Dla Mike'a i Mary Lou Delaneyów

za waszą dobroć, przyjaźń i za cały śmiech – nawet jeśli

często nie wiecie, dlaczego się z was śmiejemy.

Z wami. Śmiejemy się z wami.

Kochamy was.

Powiem panu wielką tajemnicę, drogi przyjacielu. Niech pan nie czeka na Sąd Ostateczny. Sąd Ostateczny jest co dzień.

Albert Camus Upadek, przeł. Joanna

Guze, PIW 1971

Część pierwsza

Właściwe miejsce, niewłaściwy czas

1

Jętka ślizga się czasami po stawie, zostawiając za sobą ślad cienki niczym pajęcza nić, i dzięki temu umyka uwagi polujących w locie ptaków i nietoperzy.

Mając sześć stóp i trzy cale wzrostu, dwieście dziesięć funtów żywej wagi, wielkie dłonie i jeszcze większe stopy, Timothy Carrier nie mógł przemieszczać się niepostrzeżenie jak jętka, lecz mimo to bardzo się starał. Choć miał na nogach ciężkie robocze buty i stąpał niczym John Wayne, co było u niego naturalne i czego nie mógł zmienić, zdołał wejść do tawerny Lamplighter i przejść przez całą salę, nie zwracając na siebie uwagi. Nie zerknął na niego żaden z trzech mężczyzn siedzących blisko drzwi ani żadna z par w dwóch boksach.

Sadowiąc się na ostatnim stołku, daleko za ostatnią z lamp, które polerowały mahoniowy kontuar barwy melasy, westchnął zadowolony. Z perspektywy frontowych drzwi był najmniejszym mężczyzną w całej sali. Jeżeli przednią część tawerny uznać za budkę maszynisty, tu znajdował się przedział mieszkalny. Ci, którzy siadali w tym miejscu w leniwy

poniedziałkowy wieczór, byli na ogół milczkami.

Liam Rooney, który był właścicielem i jedynym barmanem tego wieczoru, nalał beczkowego piwa i postawił je przed Timem.

–Któregoś dnia wejdiesz tu z dziewczyną – powiedział – i skonam z wrażenia.

–Myślisz, że przyprowadziłbym dziewczynę do tej speluny?

–Jaki jeszcze lokal znasz oprócz tej speluny?

–Mam swój ulubiony sklep z pączkami.

–Jasne. Kiedy już zmieciecie razem tuzin, zabierzesz ją do wielkiej drogiej restauracji w Newport Beach, usiądziecie na krawężniku i będziecie patrzyli, jak chłopaki odprowadzają na parking eleganckie samochody.

Tim upił łyk piwa, a Rooney wytarł bar, mimo że był czysty.

–Masz szczęście, że znalazłeś Michelle – powiedział Tim. – Dziś już takich nie ma.

–Michelle ma koło trzydziestki, tak samo jak my. Jeśli dziś już takich nie ma, to skąd się wzięła?

–To cała zagadka.

–Żeby wygrać, trzeba brać udział w meczu – stwierdził Rooney.

–Biorę udział w meczu.

–Wrzucanie samemu piłek do kosza to jeszcze nie mecz.

–Nie przejmuj się mną. Kobiety bez przerwy pukają do moich drzwi.

–Owszem – mruknął Rooney – ale przychodzą parami i chcą ci opowiedzieć o Jezusie.

–Nie ma w tym nic złego. Dbają o moją duszę. Czy ktoś już ci mówił, że jesteś złośliwym sukinsynem?

-Ty mówiłeś. Mniej więcej tysiąc razy. Nigdy mi się to

nie znudzi. Przyszedł tu wcześniej jeden facet. Ma czterdzieści lat, nigdy nie był żonaty, a teraz ucięli mu jądra.

-Kto mu uciął jądra?

-Jacyś lekarze.

-Daj mi nazwiska tych lekarzy – poprosił Tim. – Nie chciałbym przypadkiem do któregoś trafić.

-Facet miał raka. Rzecz w tym, że teraz nie będzie mógł mieć dzieci.

-Co jest fajnego w posiadaniu dzieci, kiedy popatrzysz, co się dzieje na tym świecie?

Rooney wyglądał jak niedoszły mistrz czarnego pasa, który mimo iż nie brał nigdy lekcji karate, próbował rozbić twarzą całe mnóstwo betonowych bloków. W jego niebieskich oczach paliło się jednak ciepłe światło i miał złote serce.

-O to właśnie chodzi – powiedział. – O żonę, dzieciaki i miejsce, którego mógłbyś się trzymać, kiedy cały świat rozpada się na kawałki.

-Matuzalem żył dziewięćset lat i do samego końca płodził dzieci.

-Płodził?

-Tym właśnie się zajmowali w tamtych czasach. Płodzeniem.

-To znaczy, że poczekaś z założeniem rodziny, aż będziesz miał sześćset lat?

-Ty i Michelle nie macie dzieci.

-Pracujemy nad tym. – Rooney pochylił się do przodu, skrzyżował ręce na barze i popatrzył Timowi prosto w twarz.

-Co dzisiaj robięś, Bramkarzu? Tim zmarszczył czoło.

-Nie nazywaj mnie tak.

-Więc co robięś?

-To co zwykle. Zbudowałem kawał ściany.

-A co będziesz robił jutro?

–Zbuduję następny kawał ściany.

–Dla kogo?

–Dla tego, kto mi płaci.

–Haruję w tym miejscu siedemdziesiąt godzin tygodniowo, ale nie robię tego dla klientów – stwierdził Rooney.

–Twoi klienci zdają sobie z tego sprawę – zapewnił go Tim.

–I kto jest teraz złośliwym sukinsynem?

–Nadal dzierżysz w tej dziedzinie palmę pierwszeństwa, ale staram się nie być gorszy.

–Pracuję dla Michelle i dla dzieci, które będziemy mieli. Człowiek potrzebuje kogoś, dla kogo będzie pracował, i nie mam tu na myśli osoby, która ci płaci, ale kogoś wyjątkowego, z kim można budować i dzielić przyszłość.

–Na pewno masz piękne oczy, Liam.

–Ja i Michelle martwimy się o ciebie, brachu. Tim wyduł wargi.

–Jeśli jesteś sam, nie pracujesz dla nikogo – dodał Liam.

Tim zaczął cmokać. Rooney nachylił się do niego jeszcze

bliżej i ich twarze znalazły się w odległości kilku cali od siebie.

–Chcesz mnie pocałować?

–Cóż, najwyraźniej bardzo ci na mnie zależy.

–Zaparkuję zaraz tyłek na barze, możesz go sobie pocałować.

–Nie, dzięki. Nie chcę sobie pokaleczyć ust.

–Wiesz, jak się nazywa twój problem, Bramkarzu?

–Znowu zaczynasz.

–Autofobia.

–Mylisz się. Nie boję się samochodów.

–Boisz się samego siebie. Nie, to też nie oddaje istoty rzeczy. Boisz się swojego

potencjału.

–Byłby z ciebie wspaniały szkolny doradca do spraw

zatrudnienia – mruknął Tim. – W tej knajpie serwują podobno darmowe precelki. Gdzie są moje precelki?

–Wyrzygał się na nie jakiś pijak. Właśnie skończyłem je wycierać.

–Nie szkodzi. Ale nie chcę ich, jeżeli jeszcze nie wyschły.

Rooney przyniósł z zaplecza półmisek z precelkami i postawił go obok szklanki Tima.

–Michelle ma kuzynkę. Nazywa się Shaydra i jest słodka – oznajmił.

–Co to za imię: Shaydra? Czy nikt już nie nazywa się Mary?

–Mam zamiar umówić cię z Shaydrą na randkę.

–To nie ma sensu. Jutro każę sobie uciąć jądra.

–Włóż je do słoja i zabierz ze sobą na randkę. Przełamiesz w ten sposób pierwsze lody – powiedział Rooney i udał się w drugi koniec baru, gdzie trzech dziarscy klienci dbali o to, by mógł opłacić chesne swoich jeszcze nienarodzonych dzieci.

Przez kilka minut Tim powtarzał sobie, że piwo i prece to wszystko, czego mu trzeba do szczęścia. Wzmacniał to przekonanie, wyobrażając sobie Shaydrę jako gamoniowatą istotę z jedną brwią i kilkucalowymi, zaplecionymi w warkocz włosami w nosie.

Tawerna jak zwykle działała na niego uspokajająco. Nie potrzebował nawet piwa, żeby wygładzić kanty dnia: wystarczyło, że tu po prostu był, choć nie do końca rozumiał, dlaczego musi się uspokoić.

Powietrze pachniało zwietrzałym i świeżym piwem, słoną zalewą z wielkiego słoja z kiełbaskami, woskiem do drewna i talkiem do gry w krążki. Z małej kuchni dobiegały aromaty piekących się na ruszcie hamburgerów i skwierczącej w gorącym tłuszczu cebuli.

Ciepła mieszanina przyjemnych zapachów, podświetlany

zegar Budweisera, miękki półmrok, w którym siedział, szmer głosów w boksach za jego plecami i nieśmiertelny głos Patsy Cline z szafy grającej były tak znajome, że w

porównaniu z nimi jego własny dom mógł się wydać obcym terytorium.

Niewykluczone, że tawerna Lamplighter działała na niego uspokajająco, ponieważ reprezentowała jeżeli nie stałość, to przynajmniej ciągłość. W świecie bezustannych i gwałtownych transformacji opierała się wszelkim zmianom.

Tim nie oczekiwał tutaj i nie pragnął żadnych niespodzianek. Nowe doznania są towarem stanowczo przereklamowanym. Nowych doznań doświadcza się, wpadając pod autobus.

Wolał to co znajome, rutynę. Nigdy nie groziło mu, że spadnie ze szczytu, ponieważ na żaden się nie wspinał.

Pewni ludzie twierdzili, że brak mu żyłki przygody. Tim nie miał ochoty wyjaśniać im, że odważne wyprawy do egzotycznych krajów i rejsy po wzburzonym morzu są figlami raczkujących dzieci w porównaniu z przygodami, których można zaznać na przestrzeni ośmiu cali między lewym i prawym uchem.

Gdyby powiedział coś takiego, uznaliby go za głupca. Był w końcu tylko murarzem, facetem, który kładzie cegły. Nie powinien za dużo myśleć.

W naszych czasach większość ludzi unika myślenia, zwłaszcza o przyszłości. Zamiast trzeźwej myśli wolą komfort ślepych przekonań.

Inni oskarżali go o to, że jest staroświecki. Przyznawał się do winy.

Przeszłość obfitowała w to co znane i piękne i w pełni wynagradzała spojrzenie wstecz. Tim był optymistą, ale nie do tego stopnia, by zakładać, iż piękno kryje się również w nieznannej przyszłości.

Do tawerny wszedł interesujący facet. Był wysoki, choć nie tak jak Tim, potężny, lecz nie onieśmiałający.

Interesujące było jego zachowanie, nie wygląd. Wszedł do baru niczym zwierzę ścigane przez jakiegoś drapieżnika, oglądając się przez drzwi, nim się zatrzasnęły, i lustrując ostrożnie wnętrze, jakby nie ufał, że może się tu schronić.

Kiedy przybysz zbliżył się i usiadł przy barze, Tim wpatrywał się w szklankę z piwem, jakby miał przed sobą święty kielich, i dumiał nad głębokim znaczeniem tego, co zawiera. Przybierając pozę nabożnego skupienia zamiast posępnej samotności, pozwalał nieznanemu nawiązać rozmowę, lecz do niej nie zachęcał.

Jeżeli pierwsze padające z ust przybysza słowa wskazywały, że jest bigotem, politycznym oszołomem, względnie niewłaściwego rodzaju głupcem, Tim mógł przejść płynnie od nostalgicznej zadumy do chmurnego milczenia i z trudem

powstrzymywanej agresji. Niewiele osób próbowało powtórnie przełamać lody, kiedy jedyną reakcją na ich starania był lodowaty chłód.

Tim preferował cichą kontemplację przy swoim ołtarzu, dopuszczał jednak również odpowiedni rodzaj rozmowy. Ale odpowiedni rodzaj był rzadki.

Kiedy inicjuje się rozmowę, można mieć czasem kłopot z jej zakończeniem. Kiedy jednak zrobi to ten drugi i się odsłoni, można go przystopować, po prostu się wyłączając.

Pojawił się przy nich Rooney zbierający środki na utrzymanie swoich niepoczętych dzieci.

–Co będzie?

Nieznajomy położył na kontuarze grubą brązową kopertę i przytrzymał ją lewą ręką.

–Może... piwo.

Rooney czekał z uniesionymi brwiami.

–Tak. Dobrze. Piwo – powiedział przybysz.

–Z beczkowych mam budweisera, miller lite i heinekena.

–Dobrze. No to... chyba... heinekena.

Jego głos był cienki i napięty niczym drut telefoniczny, a słowa przypominały ptaki, które przycupnęły w dyskretnych odstępach jeden od drugiego. Pobrzmiwająca w nim ostra nuta mogła świadczyć o strachu.

Kiedy Rooney przyniósł piwo, nieznajomy zdążył już położyć pieniądze na barze.

–Reszta dla pana – powiedział.

Druga kolejka była jak widać wykluczona.

Rooney oddalił się, a nieznajomy objął prawą dłonią szklankę z piwem. Nie podniósł jej do ust.

Tim był guzdrałą. Ten kpiący tytuł nadał mu Rooney, ponieważ potrafił sączyć dwa piwa przez cały wieczór. Czasami prosił o lód, żeby schłodzić ciepły napój.

Ale nawet ktoś, kto się guzdrze, lubi wypić pierwszy łyk, kiedy piwo jest najzimniejsze, prosto z beczki.

Tim koncentrował się na budweiserze niczym snajper na swoim celu, lecz podobnie jak dobry snajper zwracał również uwagę na to, co dzieje się dookoła. Widział, że nieznajomy nadal nie podnosi do ust szklanki z heinekenem.

Facet nie sprawiał wrażenia barowego bywalca i wyraźnie nie chciał zostać bywalcem tej konkretnej tawerny, nie tego wieczoru, nie o tej godzinie.

–Przyszedłem wcześniej – powiedział w końcu.

Tim nie był pewien, czy chce nawiązać z nim rozmowę.

–Chyba każdy chce przyjść wcześniej, żeby ocenić sytuację – kontynuował facet.

Tim wyczuwał niekorzystne wibracje, nie typu „uwaga, wilkołak!”, lecz po prostu obawę, że facet może okazać się uciążliwy.

–Skoczyłem kiedyś z samolotu ze swoim psem – oznajmił nieznajomy.

Z drugiej strony największe szanse na ciekawą barową rozmowę wyłaniają się, kiedy człowiek ma szczęście trafić na ekscentryka. Tim nabrał otuchy.

–Jak miał na imię? – zapytał, zwracając się do podniebnego skoczka.

–Kto?

–Pies.

–Larry.

–Dziwne imię dla psa.

–Nazwałem go tak po moim bracie.

–Jak to przyjął pański brat?

–Mój brat zmarł.

–Przykro mi to słyszeć – powiedział Tim.

–To było dawno temu.

–Czy Larry'emu spodobał się skok z samolotu?

–Nigdy nie miał okazji skoczyć. Zmarł, kiedy miał szesnaście lat.

–Miałem na myśli psa Larry'ego.

–Aha. Chyba mu się spodobało. Wspominam o tym tylko dlatego, że żołądek mam ściśnięty zupełnie tak samo jak wtedy.

–Miał pan zły dzień, prawda?

Nieznajomy zmarszczył czoło.

–A jak pan myśli?

Tim pokiwał głową.

–Zły dzień.

–To pan, prawda? – zapytał podniebny skoczek, nadal marszcząc czoło.

Barowa rozmowa to nie koncert fortepianowy Mozarta. To raczej improwizacja, jam session. Rytm są instynktowne.

–To pan? – zapytał ponownie nieznajomy.

–A kim innym mógłbym być? – odparł Tim.

–Wygląda pan... tak zwyczajnie.

–Staram się, jak mogę – zapewnił Tim.

Podniebny skoczek przyglądał mu się bacznie przez chwilę, a potem spuścił wzrok.

–Nie wyobrażam sobie, jak można być kimś takim.

–To wcale nie jest łatwe – odparł trochę mniej żartobliwie Tim i zmarszczył czoło, słysząc nutę szczerości w swoim głosie.

Nieznajomy wziął w końcu do ręki szklankę. Podnosząc ją do ust, wylał trochę piwa na kontuar, a potem wypił duszkiem połowę zawartości.

–Tak czy inaczej, po prostu złapałem fazę – powiedział

Tim bardziej do siebie niż do swojego towarzysza.

Facet zda sobie w którymś momencie sprawę z popełnionego błędu, a Tim uda, że również się pomylił. Tymczasem mogło się to okazać zabawne.

–Tu jest połowa – oznajmił mężczyzna, przesuwając po

kontuarze brązową kopertę. – Dziesięć tysięcy. Reszta, kiedy będzie po niej.

Powiedziawszy to, obrócił się na stołku, wstał i ruszył w stronę drzwi.

Tim miał zamiar go zawołać, lecz w tym samym momencie uświadomił sobie straszliwe znaczenie tych dziesięciu słów. „Tu jest połowa. Dziesięć tysięcy. Reszta, kiedy będzie po niej”.

Najpierw zdziwienie – a później nietypowy dla niego skurcz lęku – zdławiły mu głos.

Podniebny skoczek najwyraźniej zamierzał wyjść z baru. Szybko przeszedł przez salę, otworzył drzwi i zniknął w mroku.

–Hej, niech pan poczeka – powiedział Tim zbyt cicho

i zbyt późno. – Niech pan poczeka.

Człowiek, który prześlizguje się przez życie, zostawiając po sobie ślad cieńszy od pajęczej nitki, nie przywykł wołać albo ścigać ludzi zlecających morderstwo.

Zanim Tim zorientował się, że pościg jest konieczny, i wstał ze stołka, szanse, że mu się uda, znacznie zmalowały. Zwierzyna za bardzo się oddaliła.

Usiadł z powrotem na stołku i jednym długim łykiem dopił piwo.

Do boków szklanki przywarła piana. Te efemeryczne kształty nigdy przedtem nie wydawały mu się tajemnicze. Teraz wpatrywał się w nie, jakby zawarte w nich było ważne przesłanie.

Zdezorientowany spojrzął na brązową kopertę, złowrogą niczym bomba zegarowa.

Liam Rooney niósł dwa talerze z cheeseburgerami i frytkami dla pary siedzącej w jednym z boksów. W poniedziałkowy wieczór w barze nie było kelnerki.

Tim dał znak ręką Rooneyowi. Właściciel tawerny nie zauważył tego i wrócił za bar w drugim końcu sali.

Koperta nadal budziła w Timie złe przeczucia, lecz zaczął wątpić, czy dobrze zrozumiał to, co zaszło między nim i nieznanym. Facet z fruującym psem Larrym nie mógł po prostu zapłacić za zabicie kobiety. Zaszło jakieś nieporozumienie.

„Reszta, kiedy będzie po niej”. To mogło oznaczać wiele rzeczy. Niekoniecznie, że kobieta ma być zabita.

Przekonany, że wszystko szybko wróci do normy, Tim otworzył kopertę, sięgnął do środka i wyciągnął stamtąd gruby plik obwiązanych gumką studolarowych

banknotów.

Pieniądze może nie były brudne, ale takie odniósł wrażenie. Schował je szybko z powrotem.

Oprócz gotówki znalazł fotografię formatu pięć na siedem cali, która mogła pochodzić z prawa jazdy albo paszportu. Przedstawiała kobietę dobiegającą trzydziestki. Atrakcyjną.

Na odwrocie koperty wydrukowane było nazwisko: LINDA PAQUETTE. Niżej był adres w Laguna Beach.

Timowi zaschło w ustach, mimo że przed chwilą wypił piwo. Jego serce biło powoli, ale tak mocno, że huczało mu w uszach.

Patrząc na fotografię, czuł się w irracjonalny sposób winien, zupełnie jakby uczestniczył w planowaniu zbrodni. Odłożył fotografię i odsunął od siebie kopertę.

Do baru wszedł kolejny mężczyzna. Był prawie tak wysoki jak Tim i podobnie jak on miał krótko przystrzyżone brązowe włosy.

Rooney pojawił się z nowym piwem.

–Jeżeli będziesz pił w takim tempie, przestanę cię traktować jak mebel – zapowiedział. – Staniesz się prawdziwym klientem.

Uparte wrażenie, że wszystko to dzieje się we śnie, sprawiło, że Timowi trudno było się skoncentrować. Chciał opowiedzieć Rooneyowi, co się wydarzyło, ale miał sztywny język.

Nowo przybyły zbliżył się i usiadł na miejscu, które zajmował podniebny skoczek. Między nim i Timem pozostał jeden wolny stółek.

–Budweiser – rzucił do Rooneya.

Kiedy Rooney odszedł, żeby nalać mu piwo, nieznajomy spojrział na brązową kopertę, a potem na Tima. Miał podobnie jak on brązowe oczy.

–Przyszedł pan wcześniej – powiedział zabójca.

Życie człowieka może obrócić się na najmniejszym zawiasie czasu. Każda minuta może przynieść doniosłą zmianę. Każde tyknięcie zegara może być głosem Przeznaczenia, szepczącym słowa obietnicy bądź przestrogi.

Kiedy zabójca powiedział: „Przyszedł pan wcześniej”, Tim Carrier zauważył, że na zegarze Budweisera do pełnej godziny zostało jeszcze pięć minut, i dopowiedział sobie resztę.

–Pan też – odparł.

Zawias się obrócił. Drzwi stanęły otworem i nie można ich było zaniknąć.

–Właściwie nie wiem, czy chcę pana zatrudnić – powiedział Tim.

Rooney przyniósł zabójcy piwo, a potem odpowiedział na wezwanie w drugim końcu baru.

Odbite od mahoniowego kontuaru światło nadało zawartości szklanki rubinowy odcień.

Nieznajomy oblizwał spierzchnięte wargi i napił się. Był bardzo spragniony.

–Nie może mnie pan zatrudnić. Nie jestem niczym pracownikiem – wyjaśnił przyjaznym tonem, odstawiając

szklankę.

Tim zastanawiał się, czy nie przeprosić go i me pójść do toalety. Mógł zadzwonić na policję z komórki.

Obawiał się jednak, że podczas jego nieobecności nieznajomy zabierze kopertę i wyjdzie.

Zabranie koperty do ubikacji było złym pomysłem. Facet mógł uznać, że Tim chce dokonać transakcji na osobności, i pójść za nim.

–Nie można mnie zatrudnić i niczym nie handluję – dodał zabójca. – To pan mi coś sprzedaje, a nie odwrotnie.

–Tak? Co takiego sprzedaję?

–Pewien koncept. Koncept pańskiego świata, który odmieni się głęboko w wyniku jednej... korekty.

Tim przypomniał sobie nagle twarz kobiety z fotografii. Nie bardzo wiedział, jak wyjść z tej sytuacji. Potrzebował czasu do namysłu.

–Sprzedawca wyznacza cenę – powiedział. – Pan wyznaczył cenę: dwadzieścia tysięcy.

–To nie jest cena. To kontrybucja.

Ich rozmowa nie miała mniej sensu od typowej barowej pogawędki i Tim odnalazł jej rytm.

–Ale za tę kontrybucję otrzymuję pańską... usługę.

–Nie. Nie świadczę żadnych usług. Wyświadczam panu łaskę.

–Łaskę?

–Owszem. Kiedy zaakceptuję concept, który pan sprzedaje, pański świat zostanie głęboko odmieniony z mojej łaski.

Zważywszy na ich kolor, brązowe oczy zabójcy były bardziej hipnotyzujące, niż powinny.

Gdy siadał przy barze, jego rysy wydawały się twarde,

lecz było to błędne wrażenie. Miał zaokrąglony podbródek z dołeczkiem i gładkie różowe policzki. Żadnych kurzych łapek i zmarszczek między brwiami.

Kapryśny charakter błakającego się na jego ustach uśmiechu mógł sugerować, że rozmyśla o ulubionej bajce, którą czytano mu w dzieciństwie. Był to najwyraźniej stały wyraz jego twarzy – tak jakby nie do końca absorbowало go to, co dzieje się tu i teraz, jakby pozostawał w stanie permanentnego rozbawienia.

–To nie jest transakcja biznesowa – powiedział uśmiechnięty mężczyzna. – Złożył pan petycję, a ja jestem odpowiedzią na pańskie modlitwy.

Słownictwo, jakiego używał, by opisać swoją pracę, mogło wskazywać na ostrożność i niechęć do obciążania samego siebie, wypowiedane jednak ze specyficznym uśmiechem łagodne eufemizmy były co najmniej niepokojące, jeśli nie odrażające.

–Nie tutaj – ostrzegł zabójca, kiedy Tim otworzył brązową kopertę.

–Spokojnie. – Tim wyjął z koperty fotografię, złożył ją i schował do kieszeni koszuli.
– Zmieniłem zdanie – powiedział.

–Przykro mi to słyszeć. Liczyłem na pana.

–Połowa tego, co uzgodniliśmy – powiedział Tim, przesuając kopertę w stronę pustego stołka, który stał między nimi. – Za wstrzymanie się od działania. Może pan to nazwać opłatą za niezabijanie.

–Nigdy nie będzie pan w to zamieszany – zapewnił zabójca.

–Wiem. Jest pan dobry. Jestem pewien, że jest pan w tym dobry. Najlepszy. Po prostu już tego nie chcę.

–Ależ chce pan tego – odparł zabójca, uśmiechając się i kręcąc głową.

–Już nie.

–Jeszcze niedawno pan tego chciał. Nie można najpierw chcieć, a potem nie chcieć. Umysł ludzki nie funkcjonuje w ten sposób.

–Rozmyśliłem się – oznajmił Tim.

–W tego rodzaju sprawach wątpliwości nachodzą człowieka po tym, jak dostał to, czego chciał. Pozwala sobie wówczas na drobne wyrzuty sumienia, żeby mieć o sobie lepsze mniemanie. Dostał to, czego chciał, i ma o sobie dobre mniemanie, a za rok będzie to tylko smutną rzeczą, która mu się przytrafiła.

Spojrzenie brązowych oczu było niepokojące, ale Tim nie ośmielił się uciec w bok wzrokiem. Tego rodzaju przejaw skrępowania mógł zrodzić w zabójcy nagle podejrzenie.

Odkrył jedną z przyczyn, dla których te oczy są takie hipnotyzujące: ich źrenice były bardzo rozszerzone. Czarna kropka pośrodku każdej tęczówki wydawała się tak samo duża jak otaczająca ją barwna plamka.

Światło przy końcu baru było przyćmione, ale nie siedzieli w mroku. Źrenice zabójcy były rozszerzone tak, jakby znajdowali się w absolutnej ciemności.

Widoczny w tych oczach glód światła miał grawitację czarnej dziury, zapadającej się gwiazdy.

Tak bardzo rozszerzone mogą być źrenice ślepcy. Ale zabójca widział światło. Był może ślepy na coś innego.

–Niech pan weźmie pieniądze – powiedział Tim.

Znowu ten uśmiech.

-To połowa pieniędzy.

-Za nierobienie niczego.

-Och, zrobiłem już to i owo.

Tim zmarszczył czoło.

-Co pan zrobił?

-Pokazałem panu, kim pan jest.

-Tak? Kim jestem?

-Człowiekiem z duszą mordercy i z sercem tchórza.

Zabójca wziął kopertę, wstał ze stołka i odszedł.

Po tym, jak udało mu się podszyć pod mężczyznę z psem o imieniu Larry, ocalić życie kobiety z fotografii oraz uniknąć gwałtownej konfrontacji, która mogła nastąpić, gdyby zabójca uświadomił sobie, że zaszła pomyłka, Tim powinien odetchnąć z ulgą. Zamiast tego czuł ucisk w gardle i miał wrażenie, że serce wypełnia mu całą klatkę piersiową i tamuje oddech.

Wydawało mu się, że wiruje powoli na barowym stołku. Zawrót głowy po chwili przeobraził się w mdłości.

Zdał sobie sprawę, że nie odczuwa ulgi, ponieważ cały incydent wcale się nie zakończył. Nie potrzebował szklanej kuli, żeby odczytać przyszłość. Wyraźnie widział zbliżającą się tragedię.

Jeden rzut oka na każdy kamienny dziedziniec lub podjazd wystarczał mu, żeby określić, według jakiego wzoru ułożona jest kostka. Jednak nawierzchnia drogi, którą widział przed sobą w tym momencie, zrobiona była byle jak. Nie wiedział, dokąd go zaprowadzi.

Zabójca odszedł lekkim krokiem, typowym dla osoby, której nie ciąży sumienie, i zniknął w mroku nocy.

Tim pospieszył za nim, uchylił ostrożnie drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Uśmiechnięty mężczyzna, zasłonięty częściowo przez odbicie niebieskiego neonu na przedniej szybie, siedział za kierownicą białego samochodu zaparkowanego ukośnie do krawężnika. Liczył paczki studolarowych banknotów.

Tim wyjął z kieszeni koszuli komórkę.

W samochodzie zabójca opuścił szybę, postawił na dachu jakiś przedmiot i zamknął szybę z powrotem.

Wodząc po omacku palcem po klawiaturze, Tim zaczął wybierać numer 911.

Przedmiotem, który zabójca postawił na dachu, był policyjny kogut, który zaczął migać, gdy tylko biały samochód cofnął się od krawężnika.

–Gliniarz – szepnął Tim i nie wcisnął drugiej jedyńki.

Kiedy samochód odjeżdżał spod tawerny, zaryzykował, wyszedł na zewnątrz i przeczytał numery rejestracyjne.

Miał wrażenie, że beton pod jego stopami ma mniejsze napięcie powierzchniowe niż woda w stawie. Ślizgająca się po jej tafli jętka, której nie zdołały upolować ptaki i nietoperze, pada czasami ofiarą atakującego od dołu głodnego okonia.

Na strzegącą betonowych schodów balustradę padał deszcz złotego światła z lampionu ze smokiem. Krzepnący beton obrabiano listwą kierunkową i krawędzie nie zastygły tak jak trzeba; stopnie pokryte były żyłkami pęknięć niczym stara glazurowana ceramika.

Podobnie jak wiele rzeczy w życiu beton jest nieubłagany.

Miedziany smok, wciąż jasny, lecz zieleniejący na brzegach, prężył ogon na jasnym tle bursztynowych szybek.

Skąpane w rudawym świetle drzwi z aluminiowej siatki również wydawały się miedziane. Przez otwarte wewnętrzne drzwi kuchni dobiegał zapach cynamonu i mocnej kawy.

Kiedy Tim stanął w progu, siedząca przy stole Michelle Rooney podniosła wzrok.

–Poruszasz się tak cicho, że poczułam, jak wchodzisz.

Tim zamknął za sobą delikatnie drzwi z siatki.

–Domyślam się, co chciałaś przez to powiedzieć.

–Noc przycichła wokół ciebie niczym dżungla, przez którą przechodzi człowiek.

–Nie widziałem żadnych krokodyli – odparł, ale potem

pomyślał o mężczyźnie, któremu dał dziesięć tysięcy dolarów.

Usiadł naprzeciwko niej przy stole z jasnoniebieskim blatem z formiki i przyjrzał się rysunkowi, nad którym pracowała. Widział go do góry nogami.

Z szafy grającej w tawernie płynął stłumiony, ale uroczy głos Martiny McBride.

–Co to będzie? – zapytał Tim, widząc, że rysunek przedstawia kontury drzew.

–Lampa stołowa z brązu i witrażowego szkła.

–Kiedyś będziesz sławna, Michelle.

–Gdybym tak myślała, natychmiast dałabym sobie spokój.

Tim spojrzał na jej lewą dłoń leżącą wnętrzem ku górze na blacie przy lodówce.

–Chcesz kawy? – zapytała, wskazując stojący obok płyty kuchennej ekspres. – Jest świeża.

–Wygląda jak coś, co wycisnęłaś z kałamarnicy.

–Kto przy zdrowych zmysłach ma ochotę spać?

Tim nalał sobie kubek i wrócił z nim do stołu.

Podobnie jak wiele innych krzeseł to również wyglądało pod nim niczym dziecinnie zabawka. Michelle była drobna i takie samo krzesło wydawało się pod nią wielkie, ale to Tim miał wrażenie, że jest bawiącym się we wspólne popijanie kawki dzieckiem.

To wrażenie wiązało się w większym stopniu z Michelle aniżeli z krzesłem. Zupełnie bezwiednie sprawiała, że czuł się przy niej jak niezgrabny chłopak.

Michelle trzymała ołówek w prawej ręce i przytrzymywała blok kikutem lewego przedramienia.

–Za dziesięć minut powinno być gotowe ciasto – powiedziała, wskazując piekarnik.

–Pachnie wspaniale, ale nie mogę zostać.

–Nie udawaj, że masz własne życie.

Na stole zatańczył cień. Tim podniósł wzrok. Żółty motyl zatrzepotał przy posrebrzanych racicach gazeli, które skakały w zaprojektowanym przez Michelle żyrandolu.

–Wpadł tu dziś po południu – powiedziała. – Otworzyłam na chwilę drzwi, próbując go wypłoszyć, ale najwyraźniej dobrze się tutaj poczuł.

–Dlaczego miałoby być inaczej?

Ołówek wyczarował na papierze gałąź drzewa.

–Jak dałeś radę wejść po schodach, dźwigając to wszystko?

–Co takiego?

–To, co ci ciąży.

Stół miał barwę jasnego nieba. Cień zdawał się po nim szybować, kryjąc pełną gracji zagadkę.

–Przez jakiś czas nie będę tu przychodził – powiedział Tim.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Przez kilka tygodni, może miesiąc.

–Nie rozumiem.

–Jest pewna rzecz, którą muszę się zająć.

Motyl przysiadł gdzieś i zwinął skrzydła. Cień raptownie zniknął, jakby był ciemnym, rozedrganym odbiciem płomyka, który ktoś zgasił palcami.

–Pewna rzecz – powtórzyła Michelle. Jej ołówek przestał szeptać po papierze.

Kiedy Tim przestał się interesować stołem i podniósł wzrok, zorientował się, że Michelle uważnie mu się przygląda. Jej lewe oko miało ten sam odcień co prawe i było tak samo przekonujące.

–Jeżeli jakiś mężczyzna przyjdzie tutaj, opisz mi i będzie chciał wiedzieć, jak się nazywam, powiedz po prostu, że nie znasz nikogo podobnego.

–Jaki mężczyzna?

–Jakikolwiek. Ktokolwiek. „Ten wielki facet na ostatnim stolku?”, zapyta Liam. „Nigdy wcześniej go nie widziałem. Cwaniaczek. Nie spodobał mi się”.

–Liam wie, o co w tym wszystkim chodzi?

Tim wzruszył ramionami. Nie powiedział Liamowi więcej, niż zamierzał powiedzieć Michelle.

–To nic wielkiego. Chodzi po prostu o kobietę.

–Ten facet, który zajrzy do baru... po co miałby włączyć tu na górę?

–Może nie wejdzie. Ale jest chyba metodyczny. A poza tym możesz być na dole w barze, kiedy się pojawi.

Jej lewe oko, to sztuczne, niewidzące, wydawało się świdrować go jeszcze intensywniej niż prawe, zupełnie jakby było obdarzonym potężną siłą amuletem.

–Nie chodzi wcale o kobietę – powiedziała.

–Naprawdę, mówię ci.

–Ale nie w tym sensie, jaki sugerujesz. Masz jakieś kłopoty.

–To żaden kłopot. Po prostu coś krępującego.

–Nie. Ty nigdy nie postawiłbyś się w krępującej sytuacji. I nie postawiłbyś przyjaciół.

Tim spojrzął w górę. Motyl przysiadł na łańcuchu, na którym wisiał żyrandol z gazelami, i powoli prostował skrzydła w ogrzonym przez żarówki powietrzu.

–Cokolwiek to jest, nie masz prawa załatwiać tego w pojedynkę – powiedziała.

–Przywiązujesz do tego zbyt wielkie znaczenie. To zwykła osobista sprawa, trochę krępująca. Poradzę sobie – zapewnił.

Siedzieli w ciszy zmartwiałego ołówka; z tawerny nie dobiegała żadna muzyka, żaden dźwięk nie wydobywał się z ust nocy przy drzwiach z siatki.

–Zostałeś teraz lepideptorologiem? – zapytała w końcu.

–Nie wiem nawet, co to jest.

–Kolekcjoner motyli. Spróbuj na mnie spojrzeć. Tim oderwał wzrok od motyla.

–Robię dla ciebie lampę – powiedziała Michelle. Zerknął na stylizowany rysunek drzew.

–Nie tę. Inną. Jest bardziej zaawansowana.

–Jak wygląda?

–Będzie gotowa pod koniec miesiąca. Wtedy ją obejrzysz.

–W porządku.

–Wróć tutaj i ją obejrzyj.

–Zrobię to. Wrócę po nią.

–Wróć po nią – powiedziała, wyciągając do niego kikut

lewego przedramienia.

Miał wrażenie, że trzyma go mocno nieistniejącymi palcami. A potem pocałowała go w dłoń.

–Dziękuję ci za Liama – rzekła cicho.

–To Bóg dał ci Liama, nie ja.

–Dziękuję ci za Liama – powtórzyła z naciskiem.

Tim pocałował ją w czubek pochylonej głowy.

–Chciałbym mieć siostrę i chciałbym, żebyś ty nią była. Ale mylisz się co do tej sprawy, którą muszę załatwić.

–Żadnych kłamstw. Jeżeli to konieczne, uniki, ale żadnych kłamstw. Nie jesteś kłamcą, a ja nie jestem idiotką. – Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

–Dobrze – odparł.

–Potrafię chyba wyczuć kłopoty, kiedy się zbliżają? – zapytała.

–Tak – potwierdził. – Potrafisz.

–Ciasto jest już prawie gotowe.

Tim zerknął na protezę, która leżała wnętrzem ku górze, z rozluźnionymi palcami, na blacie przy lodówce.

–Wyjmę je z piekarnika – zaproponował.

–Dam sobie radę. Nigdy nie zakładam ręki, kiedy coś piekę. Gdyby się spaliła, nic bym nie poczuła.

Za pomocą rękawic kuchennych przeniosła ciasto na podstawkę.

Kiedy zdjęła rękawice i odwróciła się, Tim stał już przy drzwiach.

–Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć tę lampę –

powiedział.

Ponieważ jej gruczoły łzowe nie zostały zniszczone, zarówno żywe, jak i martwe oko załśniły od łez. Tim wyszedł na podest u szczytu schodów.

–To będą lwy – powiedziała, nim zamknęły się za nim drzwi z siatki.

–Co?

–Mówię o lampie. To będą lwy.

–Na pewno będzie wspaniała.

–Jeżeli mi się uda, wyczujesz ich wielkie serca, ich odwagę.

Tim zamknął za sobą drzwi z siatki i zszedł bezszelestnie po łuszczących się betonowych schodach.

Przejeżdżające ulicą samochody z pewnością nie były bezszelestne, lecz on pozostał głuchy na ich odgłosy. Zbliżające się przednie reflektory i oddalające tylne światła przypominały elektryczne ryby w cichych głębinach oceanu.

Kiedy znalazł się na dole, zaczęły docierać do niego dźwięki miasta, z początku stłumione, potem coraz głośniejsze. Wydawały je w większości maszyny, ale pulsował w nich dziki rytm.

Kobieta skazana na śmierć mieszkała w skromnym bungalowie na wzgórzach Laguna Beach, w okolicy, która mimo braku pięknych widoków coraz bardziej drożała. Grunt, na którym stały starzejące się budynki, miał taką wartość, że każdy sprzedany dom, bez względu na jego stan i urodę, równano z ziemią, by można było zbudować na jego miejscu większą rezydencję.

Południowa Kalifornia rozstawała się na wszelki wypadek z dniem wczorajszym, żeby, gdy przyszłość okaże się zbyt okrutna, nie pozostał żaden dowód lepszej przeszłości i strata nie wydała się tak bolesna.

Otoczony przez wysokie eukaliptusy biały domek miał wiele uroku, lecz na Timie zrobił wrażenie oblężonej twierdzy, bardziej bunkra niż bungalowu.

Za oknami paliło się ciepłe światło. Muślinowe firanki spowijały nimbem tajemnicy to, co działo się w środku.

Tim zaparkował forda explorera po drugiej stronie ulicy, przy innym domu, cztery posesje na północ od bungalowu Lindy Paquette.

Znał dobrze ten dom, zbudowany przed trzema laty w stylu rustykalnym, z elewacją z kamienia i cedru. Był tam kierownikiem budowy.

Alejka ułożona była z nieregularnych płyt obwiedzionych podwójnym rzędem trzyczałowej kostki. Połączenie płyt i kostki było zdaniem Tima niezbyt ciekawe, ale wykonał pracę starannie i precyzyjnie.

Właściciele domów za trzy miliony dolarów rzadko kiedy radzą się murarzy w kwestiach projektu. Architekci nigdy tego nie robią.

Tim wcisnął dwa razy dzwonek i stał, słuchając cichego szelestu palmowych liści.

Wiejący od morza wiaterek był bardziej zwiastunem bryzy niż samą bryzą. Łagodna majowa noc oddychała płytko niczym czekający na operację znieczulony pacjent.

Na werandzie zapaliło się światło i otworzyły drzwi.

–Timothy, stary byku! – wykrzyknął Max Jabowski. –

Co za niespodzianka!

Gdyby można było zważyć i zmierzyć ludzki temperament, Max mógł się okazać większy i cięższy od swojego domu.

–No dalej, wchodź do środka.

–Nie chcę przeszkadzać – mruknął Tim.

–Bzdura. Jak mógłbyś przeszkadzać w domu, który sam zbudowałeś?

Max klepnął go po plecach i Tim miał wrażenie, że przefrunął do środka.

–Chcę panu zająć tylko minutkę.

–Masz ochotę na piwo czy coś innego?

–Nie, dziękuję, niczego mi nie trzeba. Chodzi o jedną z pana sąsiadek.

–Znam wszystkich na tej i następnej przecznicy. Jestem szefem naszej straży sąsiedzkiej.

Tim tego się właśnie po nim spodziewał.

–Kawy? Mam jedną z tych maszyn, które robią wszystko od cappuccino do zwykłej małej czarnej.

–To naprawdę miło z pana strony, ale nie, dziękuję. Ona mieszka pod numerem tysiąc czterysta dwudziestym piątym. W tym bungalowie otoczonym eukaliptusami.

–Linda Paquette. Nie wiedziałem, że ma zamiar się budować. Wygląda na solidną osobę. Na pewno dobrze ci się będzie u niej pracowało.

–Zna pan jej męża? Wie pan, co robi?

–Jest niezamężna. Mieszka sama.

–Więc jest rozwódką?

–Nic mi o tym nie wiadomo. Chce zburzyć stary dom, czy go przebudować?

–Nie chodzi o budowę – wyjaśnił Tim. – To sprawa osobista. Miałem nadzieję, że szepnie jej pan o mnie słówko, żeby wiedziała, że jestem w porządku.

Krzaczaste brwi uniosły się, a mięsiste wargi wygięły w radosny łuk.

–Robiłem w życiu dużo rzeczy, ale jeszcze nigdy nie

byłem swatem – mruknął Max.

Tima zaskoczyła taka interpretacja jego prośby, choć właściwie powinien ją

przewidzieć. Od dłuższego czasu nie umawiał się z żadną kobietą. Doszedł do wniosku, że stracił ten charakterystyczny błysk w oku i przestał wydzielać subtelne feromony, dzięki którym można go było mylnie wziąć za mężczyznę biorącego udział w grze.

–Nie, nie. To nic z tych rzeczy – mruknął.

–Kobitka jest niczego sobie – stwierdził Max.

–To naprawdę nie to. Nie znam jej, ona nie zna mnie, ale mamy... wspólnego znajomego. Mam o nim pewne wiadomości. Moim zdaniem powinna je poznać.

Lekki uśmiech nadal wykrzywił mięsiste wargi. Max w dalszym ciągu widział się w roli człowieka, który toruje ścieżki miłości.

Wszyscy oglądają za dużo filmów, pomyślał Tim. I wierzą, że każdy pocziwiec musi poznać swoją drugą połowę. Z powodu obejrzanych filmów wierzą również w całe mnóstwo innych nieprawdopodobnych rzeczy, w tym również wiele niebezpiecznych.

–To smutna sprawa – wyjaśnił. – Wiadomość może ją przygnębić.

–Wiadomość o tym waszym wspólnym znajomym?

–Tak. Nie wszystko z nim w porządku.

Nie mogło to zostać poczytane za kłamstwo. Podniebny skoczek nie był fizycznie chory, ale stan jego umysłu był podejrzany, a zdrowie psychiczne zagrożone.

Wzmianka o chorobie zgasiła do reszty uśmiech Maksa łabowskiego. Skrzywił w ponurym grymasie mięsiste usta i pokiwał głową.

Tim spodziewał się, że Max zapyta go o nazwisko tego wspólnego znajomego. Musiałby wtedy wyjaśnić, że nie chce go zdradzić z obawy, że wytrąci to z równowagi Lindę Paquette, zanim znajdzie się u jej boku i będzie mógł ją pocieszyć.

W rzeczywistości nie miał na podorędziu żadnego nazwiska.

Max nie zapytał o nie, dzięki czemu Tim nie musiał uciekać się do wybiegu. Zerkając poważnym wzrokiem spod krzaczastych brwi, jeszcze raz zaproponował kawę, a potem poszedł zadzwonić do Lindy.

W porównaniu z ciemnym kasetonowym sufitem i boazeriami na ścianach kamienne płyty podłogi były tak jasne, że zapewniane przez nią oparcie wydawało się iluzoryczne. Tim miał wrażenie, że zaraz runie w dół, niczym człowiek wysiadający na wysokości dziesięciu tysięcy jardów z samolotu.

Po obu stronach wąskiego stolika, nad którym wisiało lustro, stały dwa małe krzeselka.

Tim nie przejrzał się w nim. Gdyby to zrobił, mógłby ujrzeć w swoich oczach prawdę, której wolał sobie nie uświadamiać.

Jego wzrok powiedziałby mu, co go czeka. Była to ta sama rzecz, która zagrażała mu, odkąd pamiętał, i zawsze, dopóki żył, miała mu zagrażać.

Musiał się do niej przygotować. Nie musiał jednak roztrząsać, na czym polega.

W głębi domu słychać było stłumiony głos Maksa rozmawiającego przez telefon.

Stojąc w cichym oczekiwaniu pośrodku holu, Tim miał wrażenie, że zwisa z ciemnego sufitu niczym serce dzwonu i zaraz uderzy w jego kielich.

Max wrócił do niego.

–Jest zaintrygowana – powiedział. – Nie mówiłem wiele, po prostu za ciebie zaręczyłem.

–Dzięki. Przepraszam, że zawracałem panu głowę.

–Wcale nie zawracałeś, ale trochę to wszystko dziwne.

–Tak, wiem.

–Dlaczego twój znajomy nie zadzwonił do Lindy i sam za ciebie nie zaręczył? Nie musiał wcale mówić, dlaczego cię do niej wysłał... że chodzi o złe wiadomości.

–Jest bardzo chory i bardzo dezorientowany – wyjaśnił Tim. – Wie, że trzeba coś zrobić, ale nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać.

–Tego chyba najbardziej się boję – wyznał Max. – Utraty jasności myślenia, utraty kontroli.

–Takie jest życie – stwierdził Tim. – Wszyscy przez to przechodzimy.

Uścisnęli sobie dłonie i Max odprowadził go na werandę.

–To miła kobieta. Mam nadzieję, że to nie będzie zbyt bolesne – powiedział.

–Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby nie było – zapewnił Tim.

Wsiadł do explorera i podjechał pod bungalow Lindy Paquette.

Ułożone w jodełkę płyty alejki spoczywały na piaskowym podłożu. W powietrzu unosił się zapach olejku eukaliptusowego, pod stopami chrzęściły zeschnięte liście.

Z każdym krokiem ogarniał go coraz większy niepokój. Czas przyspieszał biegu. Wyczuwał, że kłopoty pojawią się raczej wcześniej niż później.

Kiedy wspiał się po frontowych schodkach, drzwi otworzyły się i powitała go kobieta.

–Jesteś Tim?

–Tak. Pani Paquette?

–Mów mi Linda.

W świetle palącej się na werandzie lampy jej oczy miały barwę egipskiej zieleni.

–Twoja mama musiała się nieźle natrudzić, nosząc cię przez dziewięć miesięcy – stwierdziła.

–Byłem wtedy mniejszy.

–Pochyl głowę i wejdź do środka – powiedziała, cofając się w głąb domu.

Tim przekroczył próg i od tej chwili nic już nie było takie samo.

Złocisty miód przelewał się ze ściany na ścianę, drewniana podłoga była tak lśniąca i ciepła, że skromny salon wydawał się przestronny, dyskretnie wykwinny.

Zbudowany w latach trzydziestych bungalow był albo odnowiony, albo pieczołowicie o niego dbano. Prosty mały kominek oraz kinkiety po jego obu stronach utrzymane były w eleganckim stylu art deco.

Lśniący biały sufit wisiał dość nisko nad głową, lecz w Timie nie budziło to niemiłych uczuć. Wnętrza były przytulne, nie klaustrofobiczne.

Linda miała mnóstwo książek. Ich grzbiety, układające się w abstrakcyjny gobelin kolorów i słów, stanowiły – poza jednym wyjątkiem -jedyną rzecz, która miała w tym pokoju coś wspólnego ze sztuką.

Wyjątkiem był mający sześć na cztery stopy obraz telewizora z szarym martwym ekranem.

–Współczesna sztuka wprawia mnie w zakłopotanie – powiedział Tim.

–To nie jest sztuka. Zamówiłam to u fotografa, żeby przypominało mi, dlaczego nie mam telewizora.

–Dlaczego go nie masz?

–Bo życie jest za krótkie.

Tim przyglądał się przez chwilę fotografii.

–Nie rozumiem – stwierdził w końcu.

–Kiedyś zrozumiesz. W takiej dużej głowie musisz mieć trochę szarych komórek.

Nie był pewien, czy jej zachowanie świadczy o dowcipnym wdzięku czy o nonszalancji graniczącej z szorstkością.

Mogła też być trochę szurnięta. Ostatnio przytrafiało się to wielu ludziom.

–Lindo, przyszedłem tutaj, ponieważ...

–Chodź. Pracuję w kuchni. Max zapewnił mnie, że nie jesteś facetem, który wbije mi nóż w plecy i zgwałci moje zwłoki – powiedziała, prowadząc go przez salon.

–Poprosiłem, żeby za mnie zaręczył, i powiedział ci coś takiego?

–Powiedział, że jesteś utalentowanym murarzem i uczciwym człowiekiem. Resztę musiałam z niego wycisnąć. Tak naprawdę nie chciał się wypowiadać na temat twoich morderczych lub nekrofilskich skłonności.

W kuchni stał zaparkowany samochód.

Ściana między kuchnią i dwumiejscowym garażem została usunięta. Całe pomieszczenie miało drewnianą podłogę oraz taki sam jak w salonie lśniący biały sufit.

Trzy precyzyjnie skierowane reflektorki oświetlały czarnego forda coupe model 1939.

–Masz kuchnię w garażu – stwierdził Tim.

–Nie. Mam garaż w kuchni.

–A jaka to różnica?

–Olbrzymia. Piję właśnie kawę. Nalać ci? Ze śmietanką? Z cukrem?

–Poproszę czarną. Dlaczego trzymasz w kuchni samochód?

–Lubię mu się przyglądać, kiedy jem. Czyż nie jest piękny? Ford coupe z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego to najpiękniejszy samochód, jaki kiedykolwiek wyprodukowano.

–Nie zamierzam cię przekonywać o wyższości forda pinto.

–To nie jest klasyk – powiedziała, nalewając kawę do kubka. – To odrestaurowany, superwypasiony, podrasowany egzemplarz z obniżonym dachem.

–Sama przy nim dłubiesz?

–Trochę. Ale głównie pewien facet w Sacramento. To prawdziwy geniusz.

–Musiało cię to sporo kosztować.

Linda podała mu kawę.

–Myślisz, że powinnam odkładać na przyszłość?

–Jaką przyszłość masz na myśli?

–Gdybym potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, otworzyła bym rachunek oszczędnościowy.

Jego kubek miał napis BALBOA ISLAND i uchwyt w formie ceramicznej papugi. Wyglądał staro niczym pamiątka z lat trzydziestych.

Jej kubek był nie tylko kubkiem, lecz również ceramiczną głową prezydenta Franklina Delano Roosevelta, który trzymał w zębach swoją słynną cygarniczkę.

Linda podeszła do czarnego forda.

–Dla niego żyję – powiedziała.

–Żyjesz dla samochodu?

–To wehikuł nadziei. A raczej wehikuł czasu. Przenosi cię w epokę, kiedy ludziom łatwiej było żywić nadzieję.

W kuwecie na podłodze była pasta do polerowania chromów i kilka szmatek. Zderzaki, kratka chłodnicy oraz listwy

boczne lśniły niczym rtęć.

Linda otworzyła drzwiczki od strony kierowcy i usiadła z kawą za kierownicą.

–Wybierzmy się na przejażdżkę.

–Naprawdę muszę z tobą o czymś porozmawiać.

–Na wirtualną przejażdżkę. Tylko w wyobraźni.

Kiedy zatrzasnęła drzwiczki po swojej stronie, Tim obszedł samochód i usiadł w fotelu pasażera.

Ponieważ dach w fordzie był obniżony, wysoki mężczyzna musiał w nim pochylić głowę. Tim zsunął się w dół w fotelu, trzymając w obu rękach kubek z papugą.

Mimo to nadal górował nad kobietą zupełnie jakby była elfem, a on trollem.

Zamiast popularnej w latach trzydziestych moherowej tapicerki siedzenia obite były czarną skórą. W stalowej tablicy rozdzielczej lśniły zegary.

Przez przednią szybę widać było kuchnię. Czysty surrealizm.

W stacyjce tkwił kluczyk, ale Linda nie przekręciła go, żeby odbyć wirtualną przejażdżkę. Może kiedy jej kubek będzie pusty, zapali silnik i podjedzie do stojącego przy piekarniku ekspresu.

–Nie jest fajnie? – zapytała z uśmiechem.

–Czuję się, jakbym siedział w kinie dla zmotoryzowanych i oglądał film, którego akcja toczy się w kuchni.

–Kina dla zmotoryzowanych zniknęły przed wielu laty. Nie sądzisz, że to tak, jakby zburzono rzymskie Koloseum, żeby zbudować na jego miejscu centrum handlowe?

–Może nie do końca.

–Chyba masz rację. Kiedy rzucano chrześcijan na pożarcie lwom, nie było ani jednego kina dla zmotoryzowanych. Więc dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

Kawa była wyśmienita. Wypił jej trochę, podmuchał i znowu wypił, zastanawiając się, jak najlepiej wyjaśnić swoją misję.

Stąpając po wyścielających alejkę zeschniętych eukaliptusowych liściach, wiedział, co jej powie. Lecz teraz, kiedy ją spotkał, okazała się inna, niż mógł się spodziewać. Zaplanowane przez niego wcześniej podejście wydawało się nieodpowiednie.

Chociaż wiedział o Lindzie Paquette bardzo niewiele, wyczuwał, że przekazując złe wieści, nie musi trzymać jej za rękę. Okazując jej zbyt wielką troskę, zachowałby się protekcjonalnie.

–Ktoś chce twojej śmierci – powiedział, uznając, że

najlepiej będzie wyłożyć kawę na ławę.

Linda znowu się uśmiechnęła.

–Na czym polega dowcip?

–Ktoś daje dwadzieścia tysięcy dolarów za to, żeby cię zabić.

Nadal była skonsternowana.

–Zabić w jakim sensie?

–Zabić strzałem w głowę, zabić raz na zawsze.

Przedstawił jej zwięźle to, co zaszło w tawernie; jak najpierw został omyłkowo wzięty za zabójcę, potem za człowieka, który chce go wynająć, i na koniec, jak odkrył, że zabójca jest gliniarzem.

Początkowo słuchała go z otwartymi ustami, ale jej zdumienie rychło osłabło. Jej zielone oczy zasnuły się mgłą, jakby jego słowa poruszyły dawno osiadły muł we wcześniej czystym jeziorze.

Kiedy Tim skończył, kobieta siedziała w milczeniu, popijając kawę i wpatrując się w przednią szybę.

Po pewnym czasie zrobiło mu się nieswojo.

–Wierzysz mi? – zapytał.

–Poznałam w życiu wielu kłamców. Ty do nich raczej nie należysz.

Reflektorki iluminujące samochód prawie nie oświetlały

jego wnętrza. Chociaż jej twarz kryła się w cieniu, oczy znalazły i oddały światło.

–Nie wydajesz się zaskoczona tym, co ci powiedziałem.

–Nie.

–Więc... czy to znaczy, że wiesz, kim jest facet, który chce twojej śmierci?

–Nie mam bladego pojęcia.

–Były mąż? Przyjaciel?

–Nigdy nie byłam zamężna. Obecnie nie mam żadnego przyjaciela i nigdy nie miałam stukniętych.

–Pokłóciłaś się z kimś w pracy?

–Pracuję na własny rachunek. W domu.

–Co robisz?

–Ostatnio często zadaję sobie to pytanie – westchnęła. – Jak wyglądał facet, który dał ci pieniądze?

Rysopis nic jej nie mówił. Pokręciła głową.

–Ma psa o imieniu Larry. Wyskoczył z nim kiedyś ze spadochronem z samolotu. Miał również brata o imieniu Larry, który zmarł w wieku szesnastu lat.

–Facet, który nazwał swego psa po zmarłym bracie... wiedziałabym, co o nim sądzić, nawet gdyby nigdy nie opowiedział mi o jednym ani drugim Lanym.

Nie dochodzili do żadnych wniosków, które Tim uważał wcześniej za łatwe do wysnucia.

–Podniebny skoczek nie może być kimś nieznanym – upierał się.

–Dlaczego?

–Bo pragnie twojej śmierci.

–Ludzie stale giną z ręki nieznanymi.

–Nikt nie wynajmuje zabójcy, żeby zabił kogoś, kogo w ogóle nie zna. – Tim wyjął z kieszeni koszuli złożoną fotografię i podał jej. – Skąd to wziął?

–To zdjęcie z mojego prawa jazdy.

–Więc facet ma dostęp do wydziału komunikacji.

Linda oddała mu fotografię. Tim wsunął ją z powrotem do

kieszeni i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że należy bardziej do niej niż do niego.

–Nie znasz nikogo, komu zależałoby na twojej śmierci, lecz mimo to nie wydajesz się zaskoczona – uznał.

–Są ludzie, którym zależy na śmierci wszystkich. Kiedy przestanie cię to dziwić, niewiele rzeczy cię zaskoczy.

Intensywne spojrzenie zielonych oczu zdawało się filetować jego myśli i odkładać je na bok niczym warstwy wyciętej tkanki. Mimo to było bardziej życzliwe niż chłodne.

–Ciekawi mnie to, jak się zachowałeś – powiedziała.

–Nie widzę, jak mógłbym zachować się inaczej – odparł, biorąc jej komentarz za wyraz podejrzliwości lub dezaprobaty.

–Mogłeś zatrzymać dziesięć tysięcy dla siebie. – Ktoś przyszedłby po nie i zaczął mnie szukać.

–Może nie. Chociaż tak... na pewno ktoś by to zrobił. Mogłeś po prostu przekazać pieniądze i moją fotografię zabójcy i usunąć się w cień. Pozwolić, żeby sprawy potoczyły się tak, jakby cię tam nigdy nie było.

–A potem... dokąd bym poszedł?

–Na kolację. Do kina. Do domu.

–Ty byś tak zrobiła?

–Nie interesuję się sobą. Interesuję się tobą.

–Nie jestem interesującym facetem.

–To, jak się prezentujesz, rzeczywiście nie czyni cię interesującym. Ciekawe jest to, co ukrywasz.

–Wszystko ci opowiedziałem.

–O tym, co zdarzyło się w barze. Ale czy o sobie?

Lusterko wsteczne przechylone było w jego stronę. Do tej

pory unikał własnego wzroku, patrząc jej w oczy. Teraz zerknął na własne odbicie i natychmiast uciekł wzrokiem w dół,

spoglądając na ceramiczną papugę, którą ściskał w prawej ręce.

–Ostygła mi kawa – powiedział.

–Moja też. Kiedy zabójca wyszedł z tawerny, mogłeś wezwać policję.

–Zobaczyłem, że sam jest gliniarzem.

–Tawerna jest w Huntington Beach. Ja mieszkam w Laguna Beach. Jest gliniarzem w innej jurysdykcji.

–Nie wiem, z jakiej jest jurysdykcji. Samochód był nie-oznakowany. Z tego, co wiem, równie dobrze mógł być z Laguna Beach.

–No tak. I co teraz, Tim?

Chciał na nią spojrzeć i bał się tego. Nie wiedział, dlaczego i jakim cudem mogła w parę minut stać się dla niego kimś, kogo pragnął i jednocześnie się obawiał. Nigdy wcześniej nie czuł czegoś podobnego i chociaż tysiące piosenek i filmów kazały nazywać to miłością, wiedział, że to nie jest miłość. Nie był mężczyzną, który zakochuje się od pierwszego wejrzenia. Poza tym miłość nie zawiera w sobie elementu śmiertelnego zagrożenia, które składało się na to uczucie.

–Jedynym dowodem, jaki mogę dać gliniarzom, jest twoja fotografia, ale to żaden dowód – powiedział.

–A numery rejestracyjne nieoznakowanego samochodu? – przypomniała mu.

–To nie jest dowód. To tylko pewien trop. Znam kogoś, kto mógłby wrzucić numery do komputera i podać mi nazwisko kierowcy. To ktoś, komu ufam.

–A potem co?

–Jeszcze nie wiem. Coś wymyślę.

Jej spojrzenie miało siłę grawitacji bliźniaczych księżyców i w nieubłagany sposób przyciągało jego uwagę.

Patrząc jej ponownie w oczy, pamiętał, żeby zapamiętać tę chwilę, ten zaciskający się węzeł grozy, który był równocześnie rozluźniającym się węzłem dzikiego uniesienia. Wiedział, że kiedy znajdzie dla niego nazwę, zrozumie, dlaczego opuszczał nagle życie, które dobrze znał i którego wcześniej szukał, wkraczając w nowe życie, którego nie mógł znać i które mógł jeszcze kiedyś gorzko przeklinać.

–Powinnaś wyjechać stąd dziś wieczorem – powiedział. – Zatrzymać się gdzieś, gdzie nie byłaś nigdy wcześniej. Nie u kogoś znajomego albo członka rodziny.

–Myślisz, że zabójca tu się zjawi?

–Jutro albo pojutrze, wcześniej czy później. Kiedy on i facet, który go wynajął, uświadomią sobie, co się stało.

Linda nie sprawiała wrażenia przestraszonej.

–Dobrze – powiedziała.

Jej spokój wprawiał go w osłupienie.

Zadzwoiła jego komórka.

Linda wzięła od niego kubek z kawą i odebrał telefon.

–Właśnie tu był – oznajmił Liam Rooney. – Pytał, kim był facet na ostatnim stołku.

–Tak szybko... Cholera. Myślałem, że to potrwa dzień lub dwa. To był pierwszy czy drugi facet?

–Drugi. Tym razem lepiej mu się przyjrzałem. To świr, Tim. Chodzący rekin.

Tim przypomniał sobie nie schodzący z ust zabójcy senny uśmiech i rozszerzone źrenice spragnione światła.

–Co jest grane? – zapytał Liam.

–Chodzi o kobietę – odparł Tim podobnie jak wcześniej. – Dam sobie radę.

Zabójca musiał uznać, że spotkanie w tawernie nie odbyło się tak jak trzeba, i

zadzwoił pod numer kontaktowy podniebnego skoczka.

Widziana przez przednią szybę kuchnia wydawała się przytulna i ciepła. Na ścianie wisiał zestaw kuchennych noży.

–Nie możesz trzymać mnie w nieświadomości – powiedział Rooney.

–Nie myślę o tobie – odparł Tim, otwierając drzwiczki i wysiadając z samochodu. – Myślę o Michelle. Nie mieszaj się w to ze względu na nią.

Linda również wysiadła z forda, trzymając w rękach oba kubki z kawą.

–Kiedy dokładnie od ciebie wyszedł? – zapytał Tim, zwracając się do Rooneya.

–Odczekałem może pięć minut, nim do ciebie zadzwoniłem, na wypadek gdyby wrócił, zobaczył mnie przy telefonie i zaczął główkować. Wygląda na faceta, który wie, co w trawie piszczy.

–Muszę kończyć – rzucił Tim, po czym rozłączył się i schował komórkę do kieszeni.

Linda odniosła kubki do zlewu, a on wybrał jeden z noży wiszących na ścianie. Zamiast noża do krojenia mięsa wziął ten z krótszym i bardziej spiczastym ostrzem.

Najkrótsza droga z tawerny do tej części Laguna Beach wiodła autostradą Pacific Coast. Nawet w poniedziałkowy wieczór trudno było przewidzieć natężenie ruchu. Podróż mogła zająć zabójcy czterdzieści minut.

Poza zakładanym na dachu światłem nieoznakowany samochód mógł być wyposażony w syrenę. Na odcinku ostatnich kilku mil syrena zostanie wyłączona, nie usłyszą, że się zbliża.

Odwracając się od zlewu, Linda zobaczyła w jego dłoni nóż. Nie uznała za stosowne domagać się wyjaśnień.

–Ile mamy czasu? – zapytała.

–Zdążysz spakować walizkę w pięć minut?

–Szybciej.

–Więc zrób to.

Linda spojrzała na czarnego forda.

–Za bardzo przyciąga uwagę – powiedział Tim. – Powinnaś go zostawić.

–To mój jedyny samochód.

–Zawiozę cię wszędzie, dokąd chcesz.

Spojrzenie jej zielonych oczu było ostre jak odłamek butelkowego szkła.

–Dlaczego się w to angażujesz? Teraz, kiedy już mnie ostrzegłeś, możemy się pożegnać.

–Ten facet będzie chciał zlikwidować również mnie. Jeżeli pozna moje nazwisko.

–Myślisz, że je podam, jeżeli mnie odnajdzie?

–Zdobędzie je bez względu na to, czy mu je podasz, czy nie. Muszę wiedzieć, kto to jest, a co ważniejsze, muszę się dowiedzieć, kto go wynajął. Może domyślisz się tego, kiedy będziesz miała więcej czasu.

Linda pokręciła głową.

–Nie ma nikogo takiego. Jeżeli chodzi ci tylko o to, żebym odgadła, kto chce mojej śmierci, w takim razie nie ma powodu, żebyś mi towarzyszył.

–Jest jeszcze inny powód – zaproponował. – Chodź, spakuj to, co ci jest potrzebne.

Linda ponownie spojrzała na forda z 1939 roku.

–Wrócę po niego.

–Kiedy to się skończy.

–Pojadę nim w te wszystkie miejsca, które ocalały z dawnych czasów, wszędzie tam, gdzie można zobaczyć coś, co nie zostało zburzone albo zbezczeszczone.

–Z dawnych dobrych czasów – mruknął Tim.

–Były dobre i były złe. Ale były inne – odparła i odeszła szybkim krokiem, żeby się spakować.

Tim zgasił światła w kuchni, a potem przeszedł do salonu i tam też je zgasił.

Stanąwszy przy oknie, odsunął muślinowe firanki i obserwował przez chwilę scenę, która zamarła w bezruchu niczym miniaturowa wioska w szklanej kuli do papierów.

On też zamieszkał z własnego wyboru w szklanej kuli. Od czasu do czasu podnosił młotek, by ją strzaskać, ale nigdy go nie opuścił, ponieważ nie wiedział, co pragnie spotkać po drugiej stronie szkła.

Kojot, który przybłąkał się z pobliskiego kanionu i którego ośmielił prawdopodobnie wschodzący okrągły księżyc, potruchtał pod górę łagodnie wznoszącą się ulicą. Kiedy mijał uliczną latarnię, jego oczy zabłysły srebrem, jakby miał na nich bielmo, lecz w cieniu były lśniące i czerwone i nic im nie umykało.

Tim pojechał na północ, podążając tropem kojota, który zdążył już zniknąć. Przy znaku stopu skręcił w lewo i zjechał na dół w stronę autostrady Pacific Coast.

Co chwila zerkał w lusterko wsteczne. Nikt za nimi nie jechał.

–Gdzie chcesz się zatrzymać? – zapytał.

–Zastanowię się nad tym później.

Nadal w dżinsach i granatowym swetrze, uzupełniła ubiór karmelowego koloru sztruksową kurtką. Na kolanach trzymała torebkę. Torba podróżna leżała na tylnym siedzeniu.

–Później?

–Kiedy spotkamy się z facetem, któremu ufasz, tym, który potrafi powiązać numer rejestracyjny z nazwiskiem – odparła.

–Myślałem, że sam do niego pojedę.

–Czyżbym źle się prezentowała?

Nie była taka ładna jak na fotografii, ale nie wiadomo dlaczego robiła na nim lepsze wrażenie. Kiedy robiono jej zdjęcie w wydziale komunikacji, jej ciemnobrązowe, prawie czarne włosy były krótsze i być może specjalnie potargane.

–Prezentujesz się świetnie – zapewnił ją. – Ale kiedy pojawimy się tam razem, facet będzie skrupowany. Będzie chciał wiedzieć, co się święci.

–Więc przedstawimy mu jakąś przekonującą historię.

–To nie jest ktoś, kogo mógłbym okłamać.

–A istnieje ktoś taki?

–Jaki?

–Nieważne. Zostaw to mnie. Postaram się go jakoś oczarować.

–Ty też niczego nie zmyślaj. Z tym gościem musimy być bardzo ostrożni.

–Kto to jest? Twój tata albo ktoś w tym rodzaju?

–Dużo mu zawdzięczam. Jest solidny. Pedro Santo. Pete. Jest detektywem wydziału zabójstw i rozbojów.

–Więc jednak pójdziemy z tym na policję?

–Nieoficjalnie.

Jechali na północ wzdłuż wybrzeża. Ruch w drugą stronę był niewielki. Po drodze wyprzedziło ich kilka samochodów przekraczających limit szybkości, ale żaden nie miał na dachu policyjnych świateł.

Na zachodzie zabudowane rezydencjami urwiska opadały ku płaskiemu brzegowi. Za nadbrzeżnymi zaroślami i szerokimi plażami Pacyfik łączył się z niebem na czarnym horyzoncie.

Postrzępiona lamówka przyboju i zdobiący dalsze fale biały ścieg przywodziły na myśl skłębioną koronkową pościel, pod którą obracał się we śnie ocean.

–Chodzi o to, że nie za bardzo lubię policję – wyznała po dłuższym milczeniu Linda.

Patrzyła na jezdnię, ale jej szeroko otwarte oczy, oświetlone reflektorami nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów, wpatrzone były w coś zupełnie innego.

Tim czekał, że powie coś więcej, lecz ona milczała.

–Czy jest coś, co powinienem wiedzieć? – zapytał. –

Miałaś w przeszłości jakieś problemy?

Linda zamrugwała szybko.

–Skądże znowu. Jestem czysta jak łza. Prosta jak gwóźdź, który nigdy nie oberwał młotkiem.

–Skąd to wrażenie, że oberwałaś w życiu młotkiem, być może wiele razy, ale nigdy się nie ugięłaś?

–Nie mam pojęcia. Nie wiem, dlaczego odnosisz takie wrażenie. Może wszędzie szukasz ukrytego znaczenia?

–Jestem zwykłym murarzem.

–Większość mechaników samochodowych, których spotkałam, lepiej kojarzy fakty niż którykolwiek ze znanych mi profesorów college'u. Muszą. Żyją w realnym świecie. To samo pewnie dotyczy murarzy.

–Dlatego pewnie sami uważamy się za „twardogłowych”.

Linda się uśmiechnęła.

–To ci się udało.

Przy Newport Coast Road skręcili w prawo i skierowali się w głąb lądu. Teren wznosił się, a ocean za ich plecami miażdżyła coraz cięższa noc.

–Znam pewnego cieślę – odezwała się – który uwielbia metafory, ponieważ uważa, że samo życie jest metaforą, w której co chwila natrafia się na tajemnicę i ukryte znaczenia. Wiesz, co to jest metafora?

–Serce to samotny myśliwy polujący na samotnym wzgórzu.

–Nieźle jak na twardogłowego.

–To nie moje. Gdzieś to usłyszałem.

–Pamiętasz gdzie? Z tego, jak to powiedziałeś, wynika, że pamiętasz. Tak czy inaczej, jeżeli ten Santo jest bystry, wyczuje, że nie lubię gliniarzy.

–Jest bystry. Ale nie ma w nim niczego, czego byś nie polubiła.

–Na pewno jest wspaniałym facetem. To nie jego wina, że prawo jest czasami takie aroganckie.

Tim przesiał kilka razy te słowa przez sito, lecz nie doszukał się w nich żadnego znaczenia.

–Twój znajomy może być skautem z odznaką – dodała – a ja i tak dostaję dreszczy na widok gliniarzy. I nie tylko gliniarzy.

–Może powiesz, skąd się to wzięło?

–Z niczego. Po prostu taka jestem.

–Potrzebujemy pomocy, a Pete Santo może jej nam udzielić.

–Wiem. Tylko tak mówię.

Kiedy wjechali na ostatnie wzgórze, zamigotało pod nimi hrabstwo Orange, olbrzymi dywan światła, którego blask przyćmił gwiazdy nad ich głowami.

–Wydaje się taka potężna, taka solidna, taka trwała – powiedziała Linda.

–Co się wydaje?

–Cywilizacja. Ale jest krucha jak szkło. – Zerknęła na niego. – Lepiej się przymknę, bo dojdiesz do wniosku, że mam nierówno pod sufitem.

–Nie – odparł Tim. – To porównanie ze szkłem jest trafne. Jak najbardziej.

Przejechali kilka mil, nie odzywając się do siebie, i po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że panujące między nimi milczenie wcale nie jest krępujące. Noc za oknami była wehikułem zapomnienia, który miał wkrótce ruszyć z miejsca, lecz tu, w explorerze, jego serce ogarnęło coś w rodzaju spokoju i poczuł, że może się zdarzyć coś dobrego, nawet coś wspaniałego.

Obszedłszy dookoła bungalow, w którym pozapalał śmiało wszystkie światła, Krait wrócił do sypialni.

Niedroga, biała, welurowa narzuta naciągnięta była gładko niczym w koszarach. Ani jeden z frędzli nie był splątany z drugim.

Kraitowi zdarzyło się odwiedzać domy, w których łóżka były nieposłane, a pościel od dawna niezmieniana. Raziło go niechlujstwo.

Jeżeli dopuszczalna była broń palna, niechlujną osobę można było zastrzelić z odległości przynajmniej kilku stóp. Wtedy nie miało większego znaczenia, że nie zmienia codziennie bielizny.

Warunki kontraktu określały jednak często sposób, w jaki powinna zostać dokonana egzekucja: poprzez uduszenie, dźgnięcie nożem, zatłuczenie pałką bądź przy zastosowaniu innych, bardziej intymnych metod. Jeżeli ofiara była brudasem, potencjalnie przyjemne zadanie mogło się okazać przykrym obowiązkiem.

Kiedy trzeba było na przykład udusić kogoś garotą, ofiara

mogła sięgnąć do tyłu i próbować oślepić napastnika. Ten mógł łatwo ochronić oczy, lecz istniała możliwość, że ofiara pociągnie go za policzek, złapie za podbródek lub przesunie palcami po wargach, i jeżeli trafiło się na kogoś, kto nie mył rąk po skorzystaniu z toalety, człowiek zastanawiał się, czy wysokie honoraria i liczne bonusy tej profesji równoważą jej ujemne strony.

Szafa Lindy Paquette była niewielka i panował w niej porządek. Nie miała zbyt wielu ubrań.

Kraitowi podobała się prostota jej garderoby. On też był osobą o niewyszukanych gustach.

Z półki nad wiszącymi ubraniami zdjął kilka pudeł. W żadnym nie znalazł nic ciekawego.

Zainteresowanie osobą ofiary było zabronione. Nie powinien wiedzieć o niej nic poza nazwiskiem, adresem i rysopisem.

Zwykle respektował ten zakaz w trakcie wykonywania zadania. Wydarzenia w tawernie wymagały jednak zmiany reguł postępowania.

Miał nadzieję znaleźć fotografie rodziny i przyjaciół, roczniki ze szkoły średniej, a

także pamiątki z wakacji i minionych romansów. Również na odkurzonej komodzie i wypolerowanych nocnych szafkach nie stały żadne zdjęcia.

Kobieta najwyraźniej odcięła się od swojej przeszłości. Krait nie wiedział, dlaczego to zrobiła, ale aprobował to. Łatwiej było mu się uporać z ludźmi wykorzenionymi i samotnymi.

Miał upozorować cały incydent tak, by wyglądał na włamanie z gwałtem, a następnie zabić kobietę w sposób, który skłoni policję do przekonania, że jest zwykłym seksualnym psychopata, a ona przypadkową ofiarą.

Detale takiego zabójstwa pozostawiano niezmiennie jemu.

Potrafił kreować sceny, które przekonywały najlepszych policyjnych profilerów.

Krait otworzył szuflady komody, szukając fotografii i interesujących przedmiotów osobistych, których nie znalazł wcześniej w szafie.

Mimo że ciekawość była zabroniona, coraz mocniej ją odczuwał. Chciał wiedzieć, dlaczego wielki facet w barze postanowił zepsuć mu zabawę. Co w tej kobiecie skłoniło barowego bywalca do podjęcia takiego ryzyka?

Praca Kraita była na ogół rutynowa. Człowiek mniejszego formatu, niezdolny do czerpania satysfakcji z subtelnych niuansów tej profesji, odczuwałby po kilku latach znudzenie. Krait lubił swoją pracę między innymi z powodu krzepiącej identyczności wykonywanych zadań.

Cechą, którą cenił wysoko w każdym doznaniu, była jego powtarzalność. Kiedy spodobał mu się jakiś film, mógł oglądać go raz albo dwa razy w miesiącu, czasami dwukrotnie w ciągu jednego wieczoru. Często przez tydzień albo dwa jadł to samo na kolację.

Mimo całego swojego zróżnicowania ludzie byli przewidywalni jak film, którego akcję znał na pamięć. Człowiek, którego Krait podziwiał, powiedział kiedyś, że istoty ludzkie są jak owce, i pod wieloma względami była to prawda.

Z doświadczeń Kraita, który miał bardzo intymną styczność z tym gatunkiem, wynikało jednak, że istoty ludzkie nie dorównują owcom. Owce są potulne, lecz czujne. W przeciwieństwie do wielu ludzi owce zawsze są świadome istnienia drapieżców i potrafią zwietrzyć zapach i poznać knowania wilków.

Współczesnym Amerykanom wiodło się tak dobrze i mieli do dyspozycji tyle najrozmaitszych absorbujących rozrywek, że nie chcieli psuć sobie zabawy, przyjmując do wiadomości, że istnieją istoty obdarzone ostrymi kłami i nienasyconym

apetytem. Jeżeli od czasu do czasu rozpoznawali wilka, rzucali mu kość i tłumaczyli sobie, że to pies.

Nie wierzyli w realne zagrożenia, skupiając uwagę na zupełnie nieprawdopodobnych katastrofach: zderzeniu z ziemią potężnej asteroidy, superhuraganach dwa razy większych od Teksasu, milenijnym wirusie, który spowoduje zapaść cywilizacyjną, awarii reaktora atomowego, którego rdzeń stopi na wylot planetę, nowym Hitlerze, który wyłoni się z szeregów cierpiących na łupież telewizyjnych kaznodziejów.

Krait uważał, że ludzie bardziej przypominają bydło niż owce. Poruszał się między nimi tak, jakby był niewidzialny. Skubali sennie trawę, wierząc w bezpieczeństwo stada, nawet gdy zarzynał jednego po drugim.

Jego praca była jego przyjemnością i nie powinno mu zabraknąć jednej i drugiej aż do dnia, kiedy jakiś bardziej ekstrawagancki morderca otworzy ogień do stada i dziesiątki tysięcy rzucają się w popłochu w przepaść. Wtedy stado stanie się ostrożniejsze i przez jakiś czas Krait będzie napotykał w swojej pracy większe trudności.

Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tej kobiecie, Lindzie Paquette, ponieważ miał nadzieję, że w ten sposób trafi na trop mężczyzny, który wtrącił się, by uchronić ją przed egzekucją. Wkrótce powinien poznać nazwisko tego intruza, na razie jednak nim nie dysponował.

W szufladach komody znalazł wyłącznie ubrania, ale nawet one powiedziały mu o niej kilka rzeczy. Kobieta miała dużo skarpetek w różnych kolorach, ale tylko dwie pary nylonowych rajstop. Jej bielizna była ze zwykłej bawełny, takiej samej, z jakiej szyje się męskie slipy, bez żadnych koronek i innych ozdóbek.

Prostota jej garderoby go oczarowała.

I pachniały tak świeżo. Zastanawiał się, jakiego używa detergentu. Miał nadzieję, że to marka przyjazna dla środowiska.

Zamknąwszy ostatnią szufladę, przejrzał się w lustrze nad komodą i spodobało mu się to, co zobaczył. Nie miał zaczerwienionych policzków. Jego usta nie były zaciśnięte ani rozchylone z pożądania.

Nim skończył się podziwiać, jego uwagę przyciągnęło odbicie oprawionego w ramki obrazu. Przestał się uśmiechać i odwrócił się w jego stronę.

Powinien był go dostrzec zaraz po wejściu do pokoju. Ścian nie zdobiły inne dzieła sztuki; jedynymi dekoracyjnymi przedmiotami były stojące na nocnych szafkach zegar z fosforyzującymi wskazówkami i stary odbiornik radiowy Motoroli, oba pochodzące z lat trzydziestych i zrobione z bakelitu.

Ani zegar, ani radio nie obraziły jego poczucia smaku, za to obraz – tania odbitka – zdecydowanie go zirytował. Zdjął go ze ściany, rozbił szybę o wezglowie łóżka i wyjął odbitkę z ramy.

Złożył ją na trzy i wsunął do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki. Zachowa ją do chwili, gdy znajdzie kobietę.

Pozbawiwszy ją ubrania i możliwości obrony, wepchnie jej zwinięty plakat do gardła i każe go połknąć, a gdyby okazało się to zbyt trudne, pozwoli wypluć po to, by mógł go wepchnąć gdzie indziej, a potem jeszcze gdzie indziej, i będzie jej tam wpychał inne przedmioty, wszystko, na co przyjdzie mu ochota, aż kobieta zacznie go błagać, żeby ją zabił.

Niestety, żył w epoce, kiedy takie metody były czasem konieczne.

Przejrzał się jeszcze raz w lustrze i znów spodobało mu się to, co zobaczył. Jego twarz sugerowała, że ma niewinne serce i miłosierne myśli.

Pozory były ważne. Pozory były wszystkim, co się liczyło. I jego praca.

W uporządkowanej łazience nie znalazł nic ciekawego prócz balsamu do ust, którego nigdy wcześniej nie używał.

Powietrze było ostatnio suche i miał stale spierzchnięte usta. Produkt, z którego zwykle korzystał, okazał się pod tym względem niezbyt pomocny.

Powąchał balsam i nie wyczuwając niemiłego zapachu, polizał go. Miał zadowalający niewyraźny pomarańczowy smak. Posmarował balsamem usta i od razu poczuł na nich przyjemny chłód.

W salonie przejrzał kilka należących do kobiety starych książek w twardych okładkach. Miały staroświeckie kolorowe obwoluty i były autorstwa popularnych w latach dwudziestych i trzydziestych powieściopisarzy: Earla Derra Biggersa, Mary Roberts Rinehart, E. Phillipa Oppenheima, J.B. Priestleya i Franka Swinnertona... Z wyjątkiem Somersetu Maughama i P.G. Wodehouse'a większość była zapomniana.

Krait mógłby zabrać książkę, która wyglądała na interesującą, ale żaden z tych pisarzy już nie żył. Po lekturze książki, w której zawarte były niewłaściwe poglądy, czuł się czasami zobligowany odszukać autora i skorygować. Nigdy nie czytał książek martwych autorów, ponieważ przyjemność bezpośredniej dyskusji z żywym mistrzem pióra zdecydowanie przewyższała tę, którą można było czerpać z ekshumacji i zbeczeszczenia zwłok pisarza.

W kuchni znalazł w zlewie dwa brudne kubki po kawie. Przystanął na chwilę, zastanawiając się, co to może oznaczać.

Będąc osobą schludną, Linda nie zostawiłaby po sobie takiego bałaganu, gdyby nie musiała nagle wyjść z domu. Jakiś gość wypił z nią kawę. Być może ten gość przekonał ją, by nie traciła czasu na mycie kubków.

Ten z uchwytem w kształcie papugi zwrócił uwagę Kraita również z innego powodu. Uznał go za uroczy. Umył go, osuszył i zawinął w kuchenny ręcznik, żeby ze sobą zabrać.

W wiszącym na ścianie zestawie kuchennych noży brakowało jednego, i to też było interesujące.

Z lodówki wyjął pozostałą połówkę domowej tarty z budyniem oproszonej cynamonem, ukroił sobie spory kawałek i położył go na talerzyku, który razem z widelczykiem postawił na kuchennym stole.

Nalał sobie kawy ze stojącego na podgrzewaczu dzbanka. Kawa nie zdążyła skwaśnieć. Dolał do niej mleka.

Siedząc przy stole, jedząc tarte i popijając kawę, Krait przyjrzał się fordowi z 1939 roku. Tarta była wyśmienita. Musi pamiętać, żeby pogratulować jej wypieku.

Gdy skończył pić kawę, zawibrowała jego komórka. Dostał SMS-a.

Kiedy wrócił wcześniej do tawerny Lamplighter, chcąc poznać nazwisko wielkiego faceta, który siedział na ostatnim stołku, barman udawał, że go nie zna.

Jednak pięć minut po wyjściu Kraita z knajpy Liam Rooney do kogoś zatelefonował. Wiadomość tekstowa zawierała numer, pod który zadzwonił, oraz nazwisko osoby, na którą była zarejestrowana komórka: TIMOTHY CARRIER.

Na wyświetlaczu pojawił się również adres Carriera, Krait wątpił jednak, by mógł mu się w najbliższym czasie przydać. Jeżeli Carrier był facetem z baru i pospieszył do Laguna Beach, by ostrzec kobietę, miał dość oleju w głowie, żeby nie wracać do domu.

Poza nazwiskiem i adresem Krait chciał poznać zawód tego faceta. Carrier był licencjonowanym mistrzem murarskim.

Krait zapisał dane i komórka ponownie zawibrowała. Na wyświetlaczu pojawiła się zrobiona w wysokiej rozdzielczości

fotografia murarza. Nie było wątpiwości, że to mężczyzna z baru.

Krait osobiście wykonywał mokrą robotę, dysponował jednak potężnym wsparciem technicznym i informacyjnym.

Schował komórkę do kieszeni, nie zapisując w pamięci fotografii. W przyszłości będzie chyba potrzebował więcej informacji na temat Carrier'a, na razie jednak mógł się bez nich obyć.

W dzbanku zostało jeszcze dość kawy na jeden kubek, do którego dolał dużo mleka i wypił przy stole.

Mimo śmiałego wystroju połączona z garażem kuchnia robiła przytulne wrażenie.

Podobał mu się cały bungalow, jego czystość i prostota. Mógł tu mieszkać każdy i nie sposób było domyślić się, kim naprawdę jest.

Prędzej czy później pojawi się na rynku nieruchomości. Nabycie domu zamordowanej przez niego osoby byłoby zbyt ryzykowne, ale ta myśl sprawiła mu przyjemność.

Umył kubek, talerzyk, widelczyk i dzbanek, a także kubek z Rooseveltem, którego używała Linda bądź jej gość. Wytarł je i odstawił do szafki. Umył zlewozmywak z nierdzewnej stali i wytarł go kuchennym ręcznikiem.

Tuż przed wyjściem podszedł do forda, otworzył drzwiczki od strony kierowcy, cofnął się o krok, żeby nie opryskał go mocz, po czym rozpiął rozporek i wysikał się do samochodu. Nie sprawiło mu to przyjemności, lecz było konieczne.

Pete Santo mieszkał w skromnym otynkowanym domu z nieśmiałą suką o imieniu Zoey oraz martwą rybą o imieniu Lucille.

Elegancko wypchana Lucille, która była marlinem, wisiała nad biurkiem w gabinecie.

Pete nie był wędkarzem. Marlin wchodził w skład umeblowania domu, kiedy go kupił.

Nadał mu imię żony, która po dwóch latach małżeństwa wzięła z nim rozwód, uświadomiwszy sobie, iż nie zdoła go zmienić. Chciała, żeby odszedł z policji, został agentem nieruchomości, szykowniej się ubierał i zoperował sobie bliznę.

Małżeństwo rozpadło się, kiedy kupiła mu mokasyny z frędzlami. On nie chciał ich nosić. Ona nie chciała ich oddać do sklepu. On nie chciał ich trzymać w swojej szafie. Ona próbowała wcisnąć jeden z nich do młynka rozdrabniającego odpadki. Rachunek od hydraulików był astronomiczny.

Szczerząca ostre zęby Lucille obserwowała go jednym okiem, Wedy stał przy biurku, patrząc, jak na ekranie komputera pojawia się strona wydziału komunikacji.

–Komu powiecie, o co tutaj chodzi, skoro nie możecie tego zdradzić nawet mnie? – zapytał.

–Nikommu – odparł Tim. – Na razie nikomu. Może za dzień albo dwa, kiedy sytuacja... się wyjaśni.

–Jaka sytuacja?

–Niejasna.

–Aha. No, to teraz mam jasność. Będziesz mógł mi powiedzieć, kiedy wyjaśni się niejasna sytuacja?

–Być może. Posłuchaj, wiem, że możesz mieć z tego powodu nieprzyjemności.

–To nie ma znaczenia.

–Oczywiście, że ma znaczenie – zaprotestował Tim.

–Nie obrażaj mnie. To nie ma znaczenia. – Pete usiadł przy komputerze. – Jeżeli wyrzucą mnie z policji, zostanę agentem nieruchomości.

Wpisał swoje nazwisko, numer służbowy oraz kod dostępu i wydział komunikacji

otworzył się przed nim niczym panna młodapzed swoim kochankiem.

Wstydliva czarna labradorka Zoey obserwowała zza fotela Lindę, która przyklęła na jedno kolano i wydając czułe dźwięki, próbowała wywabić ją na środek pokoju.

Kiedy Pete wpisał podany przez Tima numer rejestracyjny, okazało się, że należy do białego chevroleta nie będącego własnością żadnej ze służb policyjnych, lecz niejakiego Richarda Lee Kraveta.

–Znasz go? – zapytał Pete.

Tim pokręcił głową.

–Nigdy o nim nie słyszałem. Myślałem, że to nieoznakowany samochód policyjny.

–Ten facet, o którymś chcesz się czegoś dowiedzieć, to policjant? – zapytał zaskoczony Pete. – Mam namierzyć dla ciebie gliniarza?

–Jeżeli jest gliniarzem, to złym.

–Popatrz na mnie. Siedzę tutaj i wykorzystuję policyjną władzę dla twoich prywatnych celów. To ja jestem złym gliniarzem.

–Ten facet, jeżeli to gliniarz, jest naprawdę zły. W porównaniu z nim, Pete, jesteś co najwyżej niegrzecznym gliniarzem.

–Richard Lee Kravet. Nie znam go. Jeżeli nosi odznakę, nie wydaje mi się, żeby należał do mojej komendy.

Pete pracował w policji Newport Beach, ale mieszkał poza obszarem miejskim, bliżej Irvine niż Newport Beach, ponieważ nawet przed rozwodem nie stać go było na dom w mieście, w którym służył.

–Możesz sprawdzić dla mnie jego prawo jazdy? – zapytał Tim.

–Owszem, czemu nie? Ale kiedy już zostanę agentem nieruchomości, będę mógł nosić takie buty, jakie chcę.

Zoey wypełzła na brzuchu zza fotela i uderzyła ogonem w podłogę w odpowiedzi na umizgi Lindy.

Oświetlony małą lampą gabinet pogrążony był w półmroku. W alchemicznym świetle monitora twarz Pete'a miała w sobie coś z blaszanego rycerza, jego blada blizna lśniła niczym wadliwy spaw.

Był wystarczająco przystojny, by nie szpecił go półcalowy pasek bladej tkanki.

Operacja plastyczna zredukowałaby albo nawet wyeliminowała tę deformację, ale Pete nie chciał iść pod nóż.

Blizna nie zawsze jest skazą. Czasami może być zapisanym na ciele odkupieniem, pamiątką po czymś, przez co się przeszło i co się straciło.

Na ekranie pojawiło się prawo jazdy. Fotografia przedstawiała zabójcę z uśmiechem Mony Lisy.

Kiedy drukarka wypluła odbitkę, Pete wręczył ją Timowi.

Według prawa jazdy Kravet miał trzydzieści sześć lat. Mieszkał w Anaheim.

Zoey obróciła się na grzbiet, uniosła wszystkie cztery łapy i zaczęła mrużyć jak kot. Linda podrapała ją po brzuchu.

Tim nadal nie miał żadnych dowodów, które świadczyłyby o tym, że ktoś wynajął płatnego mordercę. Richard Kravet zaprzeczy każdemu słowu, które padło podczas ich spotkania w tawernie.

–I co teraz? – zapytał Pete.

Oczarowawszy psa, Linda spojrzała na Tima. Jej zielone oczy, choć nadal tajemnicze, niedwuznacznie dawały do zrozumienia, że przynajmniej w tym momencie nie powinni mówić, na czym polega ich dylemat.

Tim znał Pete'a od ponad jedenastu lat, a tę kobietę od niespełna dwóch godzin, lecz mimo to uznał, że powinien zachować dyskrecję, o którą bez słów go prosiła.

–Dzięki, Pete. Nie powinieneś tak bardzo się w to angażować.

–To coś, co najbardziej lubię.

Pete Santo mówił prawdę. Lubił ryzyko, ale nigdy nie był nieostrożny.

–Długo znacie się z Timem? – zapytał Lindę, kiedy zostawiła Zoey.

–Niedługo – odparła.

–Jak się poznaliście?

–Przy kawie.

–Przy kawie w Starbucksie?

–Nie, nie tam.

–Paquette. To rzadkie nazwisko.

–Nie w mojej rodzinie.

–Jest piękne. P-A-C-K-E-T-T-E?

Linda nie potwierdziła, czy dobrze je przeliterował.

–Widzę, że należysz do tych, którzy nie mówią zbyt wiele.

–A ty nigdy nie przestajesz być detektywem.

Nieśmiała Zoey towarzyszyła Lindzie do samych drzwi.

Z różnych miejsc pogrążonego w mroku ogródka odezwał się zharmonizowany chór ropuch.

Linda pogładziła delikatnie sukę za uszami, pocałowała ją w łeb i podeszła po trawniku do stojącego na podjeździe explorera.

–Nie lubi mnie – stwierdził Pete.

–Lubi cię. Nie lubi gliniarzy.

–Czy będę musiał zmienić pracę, jeśli się z nią ożenisz?

–Nie mam zamiaru się z nią żenić.

–Moim zdaniem to jedna z tych, z którymi nic nie wskórasz bez pierścionka.

–Nie chcę niczego wskórać. Między nami nic nie ma.

–Ale będzie – przepowiedział Pete. – Ona coś w sobie ma.

–Co takiego?

–Nie wiem. Ale na pewno to ma.

Tim popatrzył, jak Linda wsiada do explorera.

–Parzy dobrą kawę – powiedział, kiedy zatrzasnęła za sobą drzwiczki.

–Nigdy w to nie wątpiłem.

Skryte w mroku ropuchy kumkały, gdy szła między nimi Linda, ale kiedy Tim postawił stopę na trawie, natychmiast umilkły.

–Klasa – mruknął Pete. – To jest to, o co mi chodzi. – Sangfroid – dodał, kiedy Tim przeszedł dwa kolejne kroki.

–„Sang” co?

–Sangfroid. To po francusku. Zimna krew. Opanowanie. Wewnętrzny spokój.

–Kto cię nauczył francuskiego?

–Profesor, który prowadził wykłady z literatury francuskiej. Zabił dziewczynę dłutem. Poćwiartował ją nożem snycerskim.

–Nożem snycerskim?

–Był poza tym rzeźbiarzem. Sangfroid o mało go nie uratowała, ale w końcu go przyskrzyliłem.

–Jestem pewien, że Linda nikogo nie poćwiartowała.

–Mówię tylko, że jest opanowana. Ale gdyby kiedykolwiek chciała mnie poćwiartować, nie mam nic przeciwko.

–Rozczarowujesz mnie, compadre. Pete się uśmiechnął.

–Wiem, że coś między wami zaiskrzyło.

–Nic nie zaiskrzyło – zapewnił go Tim i pośród milczących ropuch ruszył do explorera.

–Wydaje się całkiem w porządku jak na gliniarza – powiedziała Linda, kiedy Tim wyjeżdżał tyłem z alejki. – Ma miłego psiaka.

–Ma również martwą rybę, której dał imię swojej byłej żony.

–Może rzeczywiście była zimna jak ryba?

–Mówi, że nie miałby nic przeciwko, gdybyś chciała go poćwiartować.

–Co to ma znaczyć?

–To taki dowcip pustynnego psa – odparł Tim, wrzucając bieg.

–Pustynnego psa? – zapytała.

Zaskoczony, że otworzył tę furtkę, od razu ją za sobą zamknął.

–Nieważne.

–O co chodzi z tym pustynnym psem?

W tym momencie zadzwoniła komórka, wybawiając go z opresji. Myśląc, że to Rooney z jakimiś dodatkowymi informacjami,

odebrał po trzecim dzwonku. Na wyświetlaczu nie było numeru dzwoniącego.

–Halo?

–Tim?

–Tak?

–Czy ona jest z tobą?

Tim się nie odezwał.

–Powiedz jej, że robi wyśmienitą tartę z budyniem.

Głos odświeżył w pamięci Tima niesamowicie rozszerzone źrenice.

–Robi też niezłą kawę – dodał Richard Lee Kravet. –

Kubek z uchwytem w kształcie papugi tak mi się spodobał, że zabrałem go ze sobą.

W tej okolicy ruch był bardzo niewielki, w tym momencie ulicą nie jechał żaden samochód. Tim zatrzymał się na środku ulicy, pół przecznicy od domu Pete'a Santo.

Zabójca nie dostał jego nazwiska od Rooneya. Zagadką było, skąd wziął numer zastrzeżonego telefonu.

Linda domyśliła się, kto dzwoni, chociaż nie słyszała głosu w słuchawce.

–Jestem znów na tropie, Tim, ale nie dzięki tobie. Dostałem inną jej fotografię, zamiast tej, którą zatrzymałeś.

Linda zbliżyła do okna kopię prawa jazdy Kraveta i przyjrzała się jego twarzy w świetle latarni.

–Przed coup de grace mam ją zgwałcić – dodał Kra-vet. – Wygląda słodko. Czy dlatego odesłałeś mnie z połową pieniędzy? Zobaczyłeś zdjęcie tej dupenki i sam chcesz ją przerznąć?

–Sprawa jest zakończona – uciął Tim. – Nie wykonasz tego zlecenia.

–Bo co? Nigdy nie wrócisz do domu, ona nigdy nie wróci do domu, będziecie uciekali do końca życia?

–Pójdziemy z tym na policję.

–W ogóle mi to nie przeszkadza, Tim. Właściwie powinieneś od razu pójść na policję. Tak właśnie postępuje odpowiedzialny obywatel.

Tim zastanawiał się, czy nie powiedzieć: „Wiem, że jesteś gliniarzem, widziałem, jak odjeżdżasz z tawerny, a teraz znam twoje nazwisko”, ale ujawnienie tej wiedzy pomniejszyłoby jej wartość.

–Dlaczego to robisz, Tim? Kim ona dla ciebie jest?

–Podziwiam jej sangfroid.

–Nie bądź głupi.

–To francuskie słowo.

–Spędź z nią noc, jeśli chcesz. Przeleć ją kilka razy. Rozerwij się. A potem odwieź ją jutro rano do jej domu. Przejmę od ciebie pałeczkę i zapomnę, że się wtrąciłeś.

–Zastanowię się nad twoją propozycją.

–Lepiej będzie, jeżeli zrobisz coś więcej, Tim. Lepiej będzie, jeżeli się ze mną

dogadasz i przekonasz mnie, że masz szczerą intencję. Bo jesteś na celowniku.

–Życzę powodzenia w przeszukiwaniu stogu siana.

–Stóg siana nie jest taki wielki, jak ci się wydaje, Tim. A ty jesteś o wiele większy od igły. Wkrótce cię znajdę. Szybciej, niż ci się wydaje... i wtedy nie będę proponował, żebyśmy się dogadali.

Kravet zakończył rozmowę.

Tim natychmiast wcisnął *69, ale komórka Kraveta była zabezpieczona przed możliwością oddzwonienia.

Jakiś samochód przejechał z rykiem przez skrzyżowanie, ignorując znak stopu. Kiedy podskoczył na studziencie kanalizacyjnej, jego reflektory omiotły przednią szybę explorera.

Tim zdjął nogę z hamulca, wcisnął gaz i oddalił się od środkowej linii, spodziewając się, że samochód wjedzie na jego pas i będzie próbował zatrasować mu drogę.

Jednak samochód minął ich i we wstecznym lusterku zniknęły po chwili jego tylne światła.

Tim przejechał przez skrzyżowanie, skręcił na prawy pas i ostro zahamował.

–Co się dzieje? – zapytała Linda.

–Myślałem, że to może być on.

–W tym samochodzie? Jakim cudem?

–Nie wiem. To chyba niemożliwe.

–Dobrze się czujesz?

–Tak. Oczywiście. – Nagły podmuch wiatru zatrzęsł rosnącym koło latarni figowcem i nad przednią szybą zaroily się podobne do czarnych motyli cienie liści. – Gdyby sprzedawali sangfroid w Seven-Eleven, zatrzymałbym się i kupił sześciopak.

Rezydencja w Anaheim okazała się jednopiętrowym budynkiem z lat pięćdziesiątych. Mimo ząbkowanych listewek okapów, rzeźbionych w rokokowym stylu okiennic i alpejskich wzorków wokół drzwi budowniczym nie udało się stworzyć wrażenia, że to kalifornijskie ranczo leży w Szwajcarii albo w innym egzotycznym miejscu.

Prześwitujący przez gałęzie dwóch wielkich pinii księżyc malował cętki sztucznego lodu na posrebrzonym ze starości cedrowym dachu, ale w żadnym z okien nie paliło się światło.

Z domem Kraveta sąsiadowała hiszpańska casita oraz domek w stylu Nowej Anglii. W domku paliły się światła, lecz casita wydawała się niezamieszкана: okna były ciemne, trawnik wymagał przystrzyżenia.

Tim przejechał dwa razy obok domu Kraveta, po czym zaparkował w bocznej uliczce za rogiem.

Spojrzał na swój zegarek i zegar w samochodzie. Oba wskazywały 21.32.

–Będę potrzebował około piętnastu minut – powiedział.

–Co będzie, jeśli on tam jest? – zapytała Linda.

–I siedzi po ciemku? Nie. Jest gdzie indziej. Obserwuje mój dom albo go przeszukuje.

–Może wrócić. Nie powinieneś tam iść bez pistoletu.

–Nie mam pistoletu.

Linda wyciągnęła pistolet z otwartej torebki.

–Pójdę z tobą.

–Skąd to wzięłaś?

–Z mojej szafki nocnej. To półautomatyczny pistolet Kahr K dziewięć.

Wracała do niego ta rzecz, która zawsze czaiła się w pobliżu, przed którą nie był w stanie uciec.

Siedząc w tawernie, znajdował się we właściwym miejscu – jeden z wielu facetów na barowym stołku, z perspektywy wejścia najmniejszy mężczyzna w lokalu. Tego wieczoru tawerna okazała się jednak właściwym miejscem w niewłaściwym czasie.

Wybrał dla siebie życie, które było niczym jazda po torach kolejowych z zakrętami w znanych miejscach, w kierunku przewidywalnej przyszłości. Ta rzecz, która czaiła się w pobliżu, była jednak nie tylko jego przeszłością, lecz również przeznaczeniem. Tory na chwilę się od niej oddalały, lecz w nieunikniony sposób wiodły z powrotem.

–Nie chcę go zabijać – powiedział.

–Ja też nie. Pistolet jest na wszelki wypadek. Musimy znaleźć tam coś, co przekona gliniarzy.

–Nie znam zbyt dobrze tej broni – stwierdził, nachylając się ku Lindzie. Nie spryskała się perfumami, ale pachniała delikatnie i ten zapach mu się podobał. Zapach czystych włosów, wymytej dobrze skóry.

–Osiem strzałów, kaliber dziewięć milimetrów. Lekki spust.

–Strzelałaś z niego?

–Do celu. Na strzelnicy.

–Nikogo się nie boisz, a mimo to trzymasz broń w szafce nocnej?

–Powiedziałaś, że nikt, kogo znam, nie pragnie mojej śmierci – poprawiła go. – Ale nie znam wszystkich.

–Masz pozwolenie na noszenie broni?

–Nie. A ty masz pozwolenie na włamanie się do jego domu?

–Nie powinnaś tam ze mną wchodzić.

–Nie będę tu sama siedziała, z bronią czy bez broni. Tim westchnął.

–Nie masz właściwego podejścia...

–Więc co właściwie mam?

–Nie wiem – odparł i wysiadł z explorera. Otworzył tylną klapę i z płytkiego zagłębienia na lewarek wyjął latarkę z długim uchwytem.

Razem podeszli do domu Kraveta. Dookoła panowała cisza. Gdzieś daleko zaszczekał pies.

Opalizujące niczym węzowa skóra cienkie kłęby srebrzystych chmur ześlizgiwały się z liniejącego księżyca.

Między pograżoną w mroku casitą i alpejskim domkiem stał mur wyznaczający granicę między posiadłościami. Za furtką zaczynało się przejście biegnące wzdłuż garażu.

Nagły powiew wiatru strząsnął deszcz sosnowych igieł na betonową alejkę.

Przy bocznych drzwiach do garażu Tim zapalił na chwilę latarkę, żeby przyjrzeć się zamkowi. W drzwiach nie było zasuw.

Linda wzięła od niego latarkę, a on wsunął kartę kredytową między drzwi i framugę i szybko otworzył prosty zamek.

Linda zapaliła ponownie latarkę, kiedy tylko zamknęli za

sobą drzwi. W garażu na dwa samochody nie było żadnych pojazdów.

–Znasz się nie tylko na murarstwie – szepnęła.

–Wszyscy wiedzą, jak się otwiera takie drzwi.

–Ja nie wiedziałam.

Frontowe i tylne drzwi zaopatrzone były najprawdopodobniej w zasuwę, ale w tych między garażem i domem zamontowano tani zatrzaskowy zamek. Wiele osób uważa, że wystarczy stworzyć pozory, iż są dobrze zabezpieczeni.

–Ile lat dają za włamanie? – zapytała Linda.

–To jest wtargnięcie do cudzego domu, nie włamanie. Może dziesięć?

Zamek udało się otworzyć.

–Załatwmy to szybko – powiedziała.

–Najpierw sprawdźmy, czy nie ma tam pitbulla.

Tim wziął od niej latarkę i uchylił drzwi. W padającej przez wąską szparę jasnej smudze nie zabłyśły oczy żadnego zwierzęcia.

Kuchnia wyglądała inaczej, niż się spodziewał. W świetle latarki zobaczył perkalowe zasłony, zestaw pojemników ozdobionych wizerunkami pluszowych misiów, ścienny zegar w kształcie kota z kołyszącym się ogonem zamiast wahadła.

W jadalni Iniany obrus obszyty był koronką. Pośrodku stołu stała misa z ceramicznymi owocami.

Na sofie w salonie leżały barwne afgańskie narzuty, a przed wielkoekranowym telewizorem stały dwa wytarte skórzane fotele. Na ścianach wisiały obrazy dzieci z wielkimi oczyma, popularne w latach, kiedy Tim się urodził.

–Czy płatny zabójca mieszkałby tu razem z mamą i ta

lą? – zastanawiała się Linda, wodząc wzrokiem za światłem

latarki.

W większej sypialni była narzuta w róże, jedwabne

sztuczne kwiaty oraz toaletka z grzebieniami i szczotkami z macicy perłowej. W szafie wisiały ubrania – męskie i damskie.

Druga sypialnia była połączeniem gabinetu i pracowni krawieckiej. W szufladzie biurka Tim znalazł książeczkę czekową i kilka czekających na realizację rachunków – za telefon, prąd i kablówkę.

–Słyszałeś coś? – szepnęła Linda.

Tim wyłączył latarkę i zamarli w ciemności, nasłuchując.

Dom przywdział milczenie niczym zbroję, w której co jakiś czas słyhać było brzęk lub skrzypienie napierśników. Żaden ze stłumionych dźwięków nie sygnalizował chyba niczego poza osiadaniem starzejącego się budynku.

Tim uznał w końcu, że nikt nie czai się w ciemności, i zapalił latarkę. Linda trzymała w ręku pistolet, który wyciągnęła z torebki.

Sprawdziwszy książeczkę czekową, odkrył, że konto należy do Doris i Leonarda Halberstocków. Na to samo nazwisko wystawione były rachunki czekające na uregulowanie.

–On tu nie mieszka – powiedział.

–Może kiedyś mieszkał?

–Najprawdopodobniej nigdy tu nie był.

–Więc co tutaj robimy?

–Włamaliśmy się do cudzego domu.

Linda prowadziła, a Tim siedział obok niej, trzymając na kolanach jej otwartą torebkę z pistoletem i rozmawiając przez komórkę z Pete'em Santo.

–Właściwie samochód Kraveta nie jest zarejestrowany

w Anaheim – stwierdził Pete, który zdążył już wejść ponownie do bazy danych wydziału komunikacji. – W takim razie to musi być adres w Santa Ana.

Tim powtórzył na głos nowy adres, zapisując go na kserokopii prawa jazdy Kraveta.

–Jest tak samo fałszywy jak ten poprzedni – mruknął.

–Możesz powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Pete.

–To nie zdarzyło się w twojej jurysdykcji.

–Moja jurysdykcja obejmuje cały świat.

–Nikt nie został zabity – zapewnił Tim, dodając w myśli: na razie.

–Pamiętaj, że jestem detektywem wydziału zabójstw i rozbojów.

–Jedyną skradzioną rzeczą jest kubek z uchwytem w kształcie papugi.

–Uwielbiałam ten kubek – oznajmiła z chmurną miną Linda.

–Co ona mówi? – zapytał Pete.

–Mówi, że uwielbiała ten kubek.

–Mam uwierzyć, że chodzi wam o jakiś skradziony kubek? – zapytał Pete.

–I tartę z budyniem.

–Zostało tylko pół tarty – wtrąciła Linda.

–Co ona mówi? – zapytał przez telefon Pete.

–Mówi, że skradziono tylko pół tarty.

–Ale to i tak nie w porządku – dodała Linda.

–Ona mówi, że to nie w porządku, nawet jeżeli było tylko pół tarty – przekazał Tim.

–Nie chodzi tylko o koszt składników – zaznaczyła Linda.

–Nie chodzi o koszt składników-powtórzył Tim Pete'owi.

–Facet ukradł moje pracę i poczucie bezpieczeństwa.

–Facet ukradł jej pracę i poczucie bezpieczeństwa.

–Więc mam uwierzyć, że w tym wszystkim chodzi o skradziony kubek do kawy i pół tarty? – zapytał Pete.

–Nie. Chodzi o coś zupełnie innego. Kubek i tarta to zbrodnie popełnione przy okazji.

–Czym jest to coś zupełnie innego?

–Nie wolno mi o tym mówić. Słuchaj, możesz w jakiś sposób sprawdzić, czy Kravet nie ma prawa jazdy na inne nazwisko?

–Jakie nazwisko?

–Nie wiem. Ale skoro adres w Anaheim był fikcyjny, to samo może być z nazwiskiem. Czy wydział komunikacji ma Jakiś program rozpoznawania twarzy, za pomocą którego można by przeczesać bazę danych w poszukiwaniu wizerunku Kraveta?

–Jesteśmy w Kalifornii, chłopie. Wydział komunikacji nie jest w stanie zadbać o czystość swoich publicznych toalet.

–Czasami się zastanawiam – powiedział Tim – czy gdyby serial Incredible Hulk cieszył się większym powodzeniem i puszczał go kilka lat dłużej, gubernatorem nie zostałby Lou Ferrigno. Czy to nie byłoby miłe?

–Myślę, że zaufałbym Lou Ferrigno – stwierdził Pete.

–Mówi, że zaufałby Lou Ferrigno – powiedział Tim do Lindy.

–Ja też – odparła. – Ma w sobie wiele pokory.

–Ona mówi, że Lou Ferrigno ma w sobie wiele pokory.

–Może dlatego, że musiał przezwyciężyć głuchotę i wadę wymowy, żeby zostać aktorem – powiedział Pete.

–Gdyby Lou Ferrigno został gubernatorem, stan nie zbankrutowałby, publiczne toalety wydziału komunikacji byłyby czyste, a ty miałbyś program rozpoznawania

twarzy. Ale skoro nie jest gubernatorem, może jest jakiś inny sposób, żeby sprawdzić, czy Kravet ma prawo jazdy na inne nazwisko?

–Zastanawiałem się nad tym przez cały czas, kiedy mówiłeś o Lou Ferrigno – odparł Pete.

–Jestem pod wrażeniem.

–Gładzę również Zoey za uszami, tak jak lubi.

–Naprawdę potrafisz robić wiele rzeczy naraz.

–Jest pewna rzecz, którą mogę sprawdzić. Może to coś da. Miej przy sobie naładowaną komórkę. Odezwę się.

–Przyjąłem, świętoszku.

–Świętoszku? – zdziwiła się Linda, kiedy Tim zakończył rozmowę.

–Santo znaczy „święty”. Czasami nazywamy go świętoszkiem.

–Jacy my?

–Niektórzy z nas – sprecyzował Tim, wzruszając ramionami.

Kiedy rozmawiał przez telefon, Linda skręciła w stronę Santa Ana. Byli dziesięć minut jazdy do miejsca, w którym według wydziału komunikacji powinien parkować samochód zarejestrowany na Kraveta.

–Ty i Santo... łączy was jakieś wspólne doświadczenie? – spytała.

–Znamy się od bardzo dawna.

–Tak, ale poza tym coś was łączy.

–To na pewno nie był college. Żaden z nas nie uczył się w college'u.

–Nie chodziło mi o to, że to był college.

–Nie był to również eksperymentalny związek gejowski.

–Mam absolutną pewność, że to nie był eksperymentalny związek gejowski.

Linda zatrzymała się na czerwonych światłach i skierowała na niego swój analityczny zielony wzrok.

–Znowu zaczynasz – poskarżył się.

–Co takiego zaczynam?

–Te twoje oczy. Ten wzrok. Kiedy kroisz nim kogoś, powinnaś mieć przy sobie chirurga, który zszywałby ranę.

–Zraniłam cię?

–Nie śmiertelnie.

Światła dość długo się nie zmieniały. Linda nadal się w niego wpatrywała.

–No dobrze – mruknął. – Ja i Pete poszliśmy kiedyś na koncert zespołu Peter, Paul i Mary. To było piekło. I razem przez to piekło przeszliśmy.

–Po co poszedłeś na Petera, Paula i Mary, skoro ich nie lubisz?

–Świętoszek chodził z niejaką Barbarą Ellen, która interesowała się folkowymi zespołami retro.

–Az kim ty chodziłeś?

–Z jej kuzynką. Tylko tego wieczoru. To było piekło. Śpiewali Puff, the Magie Dragon, Michael, Row the Boat Ashore, Lemon Tree, Tom Dooley i po prostu nie mogli przestać. Mieliśmy szczęście, że wyszliśmy stamtąd zdrowi psychicznie.

–Nie wiedziałam, że Peter, Paul i Mary jeszcze występują. Nie wiedziałam, że wciąż żyją.

–To byli ludzie, którzy podszyli się pod Petera, Paula i Mary. No wiesz, tak jak w Beatlemanii. – Tim zerknął na czerwone światła. – Samochód może zardzewieć, zanim się zmienią.

–Jak miała na imię?

–Kto jak miał na imię?

–Kuzynka, z którą chodziłeś.

–To nie była moja kuzynka. To była kuzynka Barbary Ellen.

–Więc jak miała na imię? – nie dawała za wygraną Linda.

–Susannah.

–Czy przyjechała z Alabamy z banjo na kolanie?

–Opowiadam ci po prostu, co się wydarzyło, bo chciałaś wiedzieć.

–To musi być prawda. Nie potrafiłbyś tego zmyślić.

–To zbyt dziwaczne, prawda?

–Chodzi o to, że ty nie potrafisz niczego zmyślić – wyjaśniła.

–No dobrze. Więc teraz już wiesz, jak to wyglądało: ja, Pete i ta noc, która nas połączyła, piekielna noc. Odśpiewali If I Had a Hammer dwukrotnie. – Tim wskazał światła. – Zmieniły się na zielone.

–Coś was połączyło, ale to nie była peterpaulimaryma-nia – powiedziała, przejeżdżając przez skrzyżowanie.

Tim postanowił, że przejdzie do kontrataku.

–Więc jak zarabiasz na życie, poza rym, że pracujesz na własny rachunek i robisz to w domu?

–Jestem pisarką.

–Co piszesz?

–Książki.

–Jakiego rodzaju?

–Bolesne, przygnębiające, głupie, wywracające flaki książki.

–Akurat na plażę. Zostały wydane?

–Niestety. Krytykom bardzo się spodobały.

–Czy znam jakieś tytuły?

–Nie.

–Chcesz mnie sprawdzić?

–Nie. Nie zamierzam ich więcej pisać, zwłaszcza jeżeli zginę, ale nawet jeżeli nie zginę, mam zamiar napisać coś innego.

–Co takiego masz zamiar napisać?

–Coś, co nie jest pełne gniewu. Książkę, w której zdania nie ociekają goryczą.

–Zamieść to zdanie na okładce. „Zdania nie ociekają goryczą”. Natychmiast kupiłbym taką książkę. Czy piszesz pod nazwiskiem Linda Paquette, czy może używasz pseudonimu?

–Nie chcę o tym dłużej mówić.

–A o czym chcesz mówić?

–O niczym.

–Nie mam zamiaru ci się narzucać.

Spojrzała na niego z ukosa, unosząc jedną brew.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu przez dzielnicę, gdzie prostytutki ubierały się tylko trochę mniej wyzywająco niż Britney Spears i gdzie menele siedzieli oparci plecami o ścianę, zamiast wyciągnąć się na całą długość chodnika. A potem znaleźli się w mniej miłej okolicy, do której nie zapuszczali się nawet młodzi gangsterzy w swoich podrasowanych ścigaczach i błyszczących cadillacach escalade'ach.

Mijali obskurne parterowe budynki i ogrodzone płotem podwórka, składnice złomu, gdzie rozbierano prawdopodobnie na części kradzione samochody, oraz sportowe bary z oknami pomalowanymi na czarno, gdzie mianem sportu określano walki kogutów. Linda zatrzymała się w końcu przy pustej działce.

–Sądząc po numerach domów z lewej i prawej strony, tu

właśnie jest zarejestrowany nasz chevrolet – stwierdziła.

Za ogrodzeniem z siatki ciągnął się porośnięty chwastami plac.

–I co teraz? – zapytała.

–Zjedźmy coś.

–Powiedział, że odnajdzie nas szybciej, niż nam się wydaje – przypomniała Linda.

–Płatni zabójcy lubią się przechwalać.

–Więc teraz znasz się również na płatnych zabójcach?

–Udają wielkich twardzieli, straszą, że zaraz przyjdą i cię pożą. Mówiłaś, że nic nie jadłaś. Ja też nie. Zjedźmy kolację.

Linda podjechała do zamieszkanego przez klasę średnią rejonu Tustin. Tutaj menele sączyli swoją truciznę w barach, tam, gdzie było ich miejsce, a prostytutki nie paradowały półnagie po ulicach, jakby były gwiazdami popu.

Kafejka była otwarta przez całą noc. Wewnątrz unosił się zapach bekonu, frytek i dobrej kawy.

Usiedli w boksie przy oknie. Widzieli przez nie stojącego na parkingu explorera, biegnącą dalej ulicę i księżyc, który utonął nagle w morzu chmur.

Linda zamówiła cheeseburgera z bekonem i majonezem plus małą bułeczkę z masłem, którą miała zamiar zjeść, zanim podadzą główne danie.

–Sądząc po tym, jaka jesteś szczupła, byłem pewien, że

poprosisz o sałatkę – powiedział Tim, kiedy zamówił już dla siebie cheeseburgera z bekonem i majonezem i poprosił, żeby frytki były dobrze wypieczone.

–Jasne. Będę skubała arugulę, żeby mieć o sobie dobre mniemanie, kiedy jakiś terrorysta anihiluje mnie jutro bombą atomową.

–Myślisz, że mają tutaj arugulę?

–Arugulę mają dziś wszędzie. Łatwiej ją dostać niż chorobę weneryczną.

Kelnerka wróciła z piwem korzennym dla Lindy i wiśniową colą dla Tima.

Na dworze jakiś samochód zjechał z ulicy, minął explorera i zatrzymał się na drugim końcu parkingu.

–Chyba dużo ćwiczysz – powiedział Tim. – Co robisz, żeby nie przybrać na wadze?

–Rozmyślam.

–To pomaga pozbyć się kalorii, prawda?

–Jeżeli rozmyślasz o tym, że świat sypie się w gruzy, możesz spalić nawet sto trzydzieści na godzinę.

Kierowca nowo przybyłego samochodu zgasił światła, ale z niego nie wysiadł.

Kelnerka przyniosła bułeczkę z masłem. Tim popijał wiśniową colę i obserwował jedzącą Lindę. Żałował, że nie jest bułeczką z masłem.

–Można by pomyśleć, że jesteśmy na randce – westchnął.

–Jeżeli masz wrażenie, że to randka – odparła – twoje życie towarzyskie jest jeszcze żałośniejsze od mojego.

–Nie przechwalam się. Miło po prostu zjeść kolację z dziewczyną.

–Nie mów, że to jest twój sposób na podryw. Stare zagranie w stylu „ucieknijmy gdzieś razem, bo poluje na ciebie płatny zabójca”.

Podano im cheeseburgery i frytki. Z samochodu w drugim końcu parkingu nadal nikt nie wysiadał.

–Randki nie są już łatwe – stwierdził Tim. – To znaczy znalezienie kogoś odpowiedniego. Wszyscy chcą mówić

o Amerykańskim idolu i pilatesie.

–A ja nie chcę słuchać faceta, który rozprawia o swoich modnych skarpetkach i o tym, co zamierza zrobić z włosami.

–Faceci o tym rozmawiają? – zapytał z niedowierzaniem.

–I o tym, że chcą sobie wydepilować klatkę piersiową. Jeśli w ogóle do czegoś dochodzi, masz wrażenie, że kochasz się z dziewczyną.

Samochód stał w cieniu, dość daleko, i Tim nie mógł dostrzec, kto siedzi w środku. Może była to po prostu jakaś nieszczęsna para, która pokłóciła się po kolacji.

–Będę potrzebował twojego pistoletu – powiedział po miłej rozmowie i satysfakcjonującym posiłku.

–Jeżeli nie masz pieniędzy, zapłacę. Nie ma powodu, żebyśmy musieli się ostrzeliwać.

–Obawiam się, że to może okazać się konieczne.

–Masz na myśli tego białego chevroleta na parkingu?

–Widzę, że pisarki są dość spostrzegawcze – stwierdził zaskoczony.

–Z mojego doświadczenia wynika coś wprost przeciwnego. Jak nas znalazł? Czy ten sukinsyn czaił się gdzieś, kiedy przystanęliśmy przy tamtej pustej działce? Musiał nas śledzić od tamtego miejsca.

–Nie widzę numerów rejestracyjnych. Może to nie on. Po prostu podobny samochód.

–Tak, jasne. Może to Peter, Paul i Mary.

–Chciałbym, żebyś wyszła pierwsza, ale przez tylne drzwi i kuchnię.

–Zwykle to ja mówię coś takiego swojemu towarzyszowi.

–Za kafejką jest alejka. Skręć w prawo i podbiegnij do końca przecznicy. Zabiorę cię stamtąd.

–Dlaczego oboje nie wyjdziemy tylnym wyjściem i nie zostawimy twojej terenówki?

–Bez samochodu zginiemy. A jeśli jakiś ukradniemy, wpadniemy w jeszcze większe tarapaty.

–Więc masz zamiar wyjść i się z nim strzelać?

–On nie wie, że widziałem jego samochód. Wydaje mu się, że jest anonimowy. Kiedy się nie pojawisz, pomyśli, że poszłaś do toalety i za chwilę do mnie dołączysz.

–Co zrobi, kiedy odjedziesz beze mnie?

–Może wejdzie tutaj i zacznie cię szukać. Może pojedzie za mną. Nie wiem. Wiem, że jeśli wyjdziemy razem przez frontowe drzwi, zastrzeli nas oboje.

Zastanawiając się nad sytuacją, Linda przygryzła dolną wargę.

Tim zdał sobie sprawę, że zbyt intensywnie przygląda się tej wardze. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Linda pilnie go obserwuje.

–Jeśli chcesz, mogę ją przygryźć za ciebie – zaproponował.

–Skoro nie zamierzasz się z nim strzelać, dlaczego nie mogę zabrać ze sobą pistoletu? – chciała wiedzieć.

–Nie mam zamiaru wszczynać strzelaniny. Ale jeśli zacznie strzelać, nie chciałbym, żeby moją jedyną taktyką było ciskanie w niego butami.

–Naprawdę lubię ten mały pistolecik.

–Obiecuję, że go nie popsuję.

–Wiesz, jak się z nim obchodzić?

–Nie jestem jednym z tych facetów, którzy depilują klatkę piersiową.

Linda podała mu niechętnie torebkę pod stołem.

Tim położył ją na krzesło obok siebie, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nie obserwuje go kelnerka ani żaden z klientów, po czym wyjął pistolet i wsunął go sobie za pasek, pod hawajską koszulę.

Spojrzenie Lindy nie było już ostre, ale poważne i wymowne. Miał wrażenie, że w tym momencie zaczęła go lepiej rozumieć.

–Kafejka jest otwarta przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – powiedziała. – Moglibyśmy po prostu zaczekać, aż odjedzie.

–Moglibyśmy powiedzieć sobie, że tak naprawdę to nie on, lecz ktoś inny, kto nie ma z nami nic wspólnego. Moglibyśmy to sobie powtarzać przez całą drogę do drzwi, a potem wyjść na dwór i mieć to z głowy. Wiele osób by tak zrobiło.

–Niewiele zrobiliby to w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym – odparła.

–Szkoda, że twój ford nie jest prawdziwym wehikułem czasu.

–Wracam tam. Wracam przez cały czas. Jack Benny w radiu, Benny Goodman z Empire Room w Waldorf-Astoria...

–Hitler w Czechosłowacji i w Polsce – przypomniał jej.

–Wracam do tego wszystkiego.

Kelnerka zapytała, czy życzą sobie czegoś jeszcze. Tim poprosił o rachunek.

W dalszym ciągu nikt nie wysiadał z białego chevroleta. Ruch na ulicy zmniejszył się. Gęstniejące chmury zgasiły księżyc.

Kiedy kelnerka przyniosła rachunek, Tim miał już przygotowane pieniądze łącznie z napiwkiem.

–Skręć w prawo w alejkę – przypomniał Lindzie. –

Pobiegnij do końca przecznicy. Czekać, aż podjadę od wschodu główną ulicą.

Wyszli z boksu. Linda położyła rękę na jego ramieniu i przez chwilę myślał, że chce go pocałować w policzek, ale potem się odwróciła.

Na brzuchu pod paskiem czuł zimny dotyk pistoletu.

Popychając oszklone drzwi i wychodząc z kafejki, Tim Carrier miał wrażenie, że z nocy uszło całe powietrze, zostawiając próżnię, w której nie mógł zaczerpnąć oddechu.

Chwilę później królewskie palmy zadrżały w podmuchu bryzy i wrażenie duszności nie było już tak dotkliwe.

Tim odetchnął najpierw płytko, potem głęboko i poczuł się lepiej. Był gotów.

Chwilowego paraliżu nie spowodował lęk przed Kravetem, lecz obawa przed tym, co nastąpi, gdy już się z nim upora. W ciągu ostatnich lat udało mu się zachować anonimowość. Tym razem mogło się to okazać niewykonalne.

Udając odprężonego i nie interesując się stojącym w drugim końcu parkingu chevroletem, podszedł do explorera. Usiadł za kierownicą i kiedy zgasła wewnętrzna lampka, zerknął w stronę podejrzanego pojazdu.

Mając stąd lepszy widok, zobaczył siedzącego w samochodzie mężczyznę, szarą plamę jego twarzy. Był od niego zbyt oddalony, by dostrzec szczegóły; nie potrafił rozstrzygnąć, czy to facet, któremu dał dziesięć tysięcy dolarów w tawernie.

Wyciągnął pistolet zza paska i położył go na siedzeniu pasażera.

Uruchomił silnik, lecz nie zapalił świateł. Prawie nie dodając gazu, ruszył w stronę drzwi kafejki, jakby miał zamiar podjechać po Lindę.

W lusterku wstecznym zobaczył, że w chevroletcie otwierają się drzwiczki od strony kierowcy i wysiada z niego wysoki mężczyzna.

Kiedy explorer zbliżył się do kafejki, mężczyzna z chevroleta ruszył w stronę wejścia. Miał pochyloną głowę, jakby był pogrążony w zadumie.

Gdy wyszedł z cienia i znalazł się w świetle latarni, okazało się, że jest tego samego wzrostu i budowy ciała co zabójca.

Tim zatrzymał się przy wejściu, pozornie czekając na Lindę, w rzeczywistości jednak pragnąc, by mężczyzna maksymalnie oddalił się od chevroleta. Pamiętał, że jeśli będzie zwlekał zbyt długo, zabójca może nagle podbiec do explorera i zastrzelić go za kierownicą.

Jakieś czterdzieści jardów przed sobą miał wyjazd z parkingu. Czekał być może ułamek sekundy za długo, a potem zapalił światła, wdepnął gaz i ruszył ostro z

miejsca.

Los gra znaczonymi kartami, więc oczywiście na ulicy, która jeszcze przed chwilą była całkiem pusta, pojawiły się nagle trzy samochody, które pędziły ku niemu prowadzącym na wschód pasem, przekraczając znacznie prędkość.

Tim, który w każdej chwili spodziewał się strzału, brzęku szkła i kulki w głowę, nie miał zamiaru się zatrzymać. Wyjeżdżając na ulicę, zdał sobie jednak sprawę, że jeżeli skręci w prawo, jeden z pędzących pojazdów rąbnie go prosto w zderzak.

Miał wrażenie, że przeszywa go na wskroś zgrzyt hamulców, jazgot klaksonów i światła reflektorów. Zamiast skręcić

w prawo, przeciął na wprost dwa prowadzące na wschód pasma.

Dwa samochody i ciężarówka minęły go, wyrażając dezaprobatę głośnym trąbieniem. Żaden z pojazdów nie musnął nawet zderzaka explorera, ale owionął go ich oddech.

Kiedy znalazł się na pasie prowadzącym na zachód, jadące nim pojazdy były jeszcze w bezpiecznej odległości, ale szybko się zbliżały. Skręciwszy na zachód, obejrzał się i zobaczył, że Kravet zdążył już wrócić do chevroleta. Siedział za kierownicą i zamykał za sobą drzwiczki.

Tim zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni, przejechał ponownie przez żółtą środkową linię i ruszył na wschód śladem pojazdów, z którymi o mało się nie zderzył.

Zbliżając się do następnego dużego skrzyżowania, zerknął w tylne i boczne lusterko i zobaczył, że chevrolet wyjeżdża z parkingu przy kafejce.

Ignorując znak stopu, Tim skręcił ostro w lewo, przejechał piętnaście jardów boczną uliczką, przy której stały starsze dwupiętrowe domy, po czym zawrócił i stanął przy krawężniku. Mając przed sobą szerszą ulicę, z której właśnie zjechał, zostawił silnik na chodzie i zgasił światła.

Zabrał pistolet z fotela, wysiadł i przybrał pozycję strzelecką, trzymając broń w obu rękach.

Brzmienie silnika chevroleta, który się zbliżał, choć był jeszcze niewidoczny, wskazywało, że ma moc o wiele większą niż normalny tego typu samochód i bez względu na to, co twierdził wydział komunikacji, może być specjalnie podrasowanym do pościgów pojazdem policyjnym.

Zabłyły światła reflektorów i chwilę później chevrolet wjechał w uliczkę.

Tim oddał trzy strzały z bliskiej odległości w pędzący wprost na niego samochód. Celował nie w przednią lub boczną szybę od strony kierowcy, lecz w przednią oponę.

Kiedy chevrolet minął go, posłał kolejne dwie kule w tylną. Zobaczył, że przednia guma pęka i spada z obręczy. Najprawdopodobniej przestrzelił również tylną.

Zaskoczony kierowca najwyraźniej przestraszył się, że zostanie postrzelony i stracił kontrolę nad kierownicą. Chevrolet wjechał na krawężnik, ściął hydrant przeciwpożarowy i uderzył w drewniany płot. W powietrze poleciały roztrzaskane sztachety i skłębione pędy dzikiej róży.

Z kikuta pompy, na której zamontowany był hydrant, strzelił w górę gejzer, wysoka na trzydzieści stóp kolumna wody.

Kiedy chevrolet toczył się po trawniku, Tim zastanawiał się, czy nie podejść i nie otworzyć drzwiczki od strony kierowcy. Kravet był prawdopodobnie ogłuszony i dezorientowany. Może udałoby się wyciągnąć go z samochodu i odebrać mu broń, zanim zdąży jej użyć.

Nie chciał zabić Kraveta. Musiał wiedzieć, kto go wynajął. Linda nie będzie nigdy bezpieczna, dopóki nie pozna tożsamości człowieka, który przyniósł pieniądze do tawerny.

Skorumpowany gliniarz, wykonujący na boku zabójstwa na zlecenie, mógł okazać się zbyt twardy, by przestraszyła go sama groźba. Ale jeśli poczuje w nozdrzu gorącą lufę pistoletu i zobaczy w oczach swojego przeciwnika gotowość do pociągnięcia za spust, może zdradzić nazwisko. Nie był przecież człowiekiem honoru.

Zanim jeszcze chevrolet zatrzymał się w miejscu, na werandzie domu, przed którym stanął, zapaliły się światła. Przez frontowe drzwi wyszedł brodaty mężczyzna z dużym brzuchem.

Woda z hydrantu tryskała w górę pod ogromnym ciśnieniem i spadała na chodnik z tak głośnym hukiem, że policyjne syreny można było usłyszeć z odległości najwyżej pół przecznicy.

Rozchlapując po drodze pieniącą się wodę, Tim pobiegł do explorera, siadł za kierownicą i położył pistolet na fotelu pasażera. Według Lindy w magazynku było osiem naboí. Wystrzelił pięć.

Do skutecznej realizacji każdej strategii potrzebna jest nie tylko odwaga, lecz także chłodna kalkulacja i ekonomia działania.

Dojeżdżając do skrzyżowania, Tim zobaczył, że chevrolet próbuje wyjechać tyłem z trawnika. Spod tylnych kół bryzgało błoto, darń i płatki róż. Samochód miał wyraźne

problemy z przyczepnością.

Z co najmniej jedną przestrzeloną oponą i bliżej nieokreślonymi innymi uszkodzeniami nie nadawał się do pościgu.

Poza chłodną kalkulacją i ekonomią działania roztropny człowiek musi być zawsze przygotowany na to, co nieoczekiwane.

Zamiast przejechać na oczach Kraveta przez skrzyżowanie i pojechać na południe, tam gdzie czekała Linda, Tim skręcił w lewo, na wschód. Zapalił światła i dopiero po minięciu dwóch przecznic skręcił w prawo w poprzeczną ulicę.

Przez cały czas zerkał w lusterko wsteczne i zachowywał czujność, ale jego umysł wracał do chwili, kiedy wystrzelił pięć pocisków.

Pistolet miał gładko chodzący podwójny mechanizm spustowy z siłą nacisku około siedmiu funtów.

Sprężyna powrotna musiała mieć siłę nacisku około szesnastu funtów wystarczającą dla amunicji ze standardowym ciśnieniem gazów prochowych.

Broń wyjątkowo dobrze leżała w jego dłoni.

Nie wiedział, co o tym myśleć.

Powtarzał sobie, że nie każdy pistolet służyłby mu tak idealnie, że wszystko to jest zasługą świetnej kompaktowej broni, ale wiedział, że okłamuje sam siebie.

Podchodząc do tylnego wyjścia z kafejki, Linda obejrzała się tylko raz i zobaczyła, jak za Timem zamykają się frontowe drzwi.

Chociaż знаła go dopiero od kilku godzin, zabrakło jej tchu na myśl o tym, że może go już nigdy nie zobaczyć.

Postanowił jej pomóc, chociaż mógł ją zostawić na pożarcie wilkom. Nie miała powodu oczekiwać, że wyprowadzi się z jej życia równie nieoczekiwanie, jak w nie wkroczył.

Żadnego powodu z wyjątkiem doświadczenia. Wcześniej czy później wszyscy odchodzą. Albo wpadają w szparę w podłogę, albo są wciągani w tę szparę, krzycząc i nie potrafiąc się niczego złapać.

Kiedy ma się dość czasu, można wytłumaczyć sobie, że samotność jest czymś lepszym, że to idealny stan do refleksji, właściwie coś w rodzaju wolności.

A kiedy jest się o tym przekonany, głupotą jest otwieranie drzwi i wpuszczanie kogoś do środka. Ryzykuje się utratę z trudem zdobytej równowagi, komfortu, który nazywa się spokojem ducha.

Nie sądziła, by Tim dał się zastrzelić, nie tutaj, nie dziś w nocy, kiedy zachowywał czujność. Coś w nim sugerowało, że zna się na rzeczy, że nie jest człowiekiem, którego łatwo zabić.

Mimo to liczyła się z tym, że dojdzie do końca alejki i nigdy się go nie doczeka.

Kiedy zbliżyła się do drzwi, nagle wyszła przez nie kelnerka, balansując tacą z pełnymi talerzami.

–Tu jest kuchnia, kochanie – powiedziała do Lindy. – Wstęp tylko dla personelu.

–Przepraszam. Szukałam toalety.

–To tam – odparła kelnerka, wskazując drzwi po prawej stronie.

Linda weszła do ubikacji, w której pachniało sosnowym środkiem dezynfekującym i mokrymi papierowymi ręcznikami. Odczekała chwilę, po czym opuściła ubikację i spróbowała ponownie. Unoszące się w kuchni zapachy były znacznie przyjemniejsze.

Minęła piekarnik, długą płytę grzewczą i głębokie frytownice wypełnione gorącym olejem, uśmiechnęła się do jednego i skinęła głową drugiemu kucharzowi, i pokonała już dwie trzecie drogi, kiedy o mało nie zderzył się z nią mężczyzna z wielkimi

płatkami uszu, który wyszedł zza wysokiej szafki.

Nie spostrzegłaby, że ma wielkie płatki uszu, gdyby nie nosił w nich kolczyków, ze srebrną różyczką w lewym i rubinem w prawym.

Poza tym wyglądał jak kulturysta z obsesją na punkcie mydła i wyczerpującą wiedzą na temat wszystkich filmów Quentina Tarantino: napakowany, wyszorowany i głupkowaty. Na przypiętym do białej koszuli identyfikatorze widniał napis: DENNIS JOLLY/KIEROWNIK NOCNEJ ZMIANY.

–Co pani tu robi? – zapytał.

–Szukam tylnych drzwi – odparła, ponieważ zablokował jej wąskie przejście i nie mogła się obok niego przecisnąć.

–Wstęp mają tutaj tylko pracownicy.

–Tak, rozumiem. Przepraszam za najście. Wyjdę po prostu tylnymi drzwiami i zniknę.

–Nie mogę na to pozwolić, proszę pani. Musi pani opuścić kuchnię.

Mimo kolczyków i czerwonego krawata facet starał się robić wrażenie poważnego i cieszącego się autorytetem.

–Chcę to właśnie zrobić – odpowiedziała. – Chcę opuścić kuchnię przez tylne drzwi.

–Będzie pani musiała wyjść tym samym wejściem, przez które pani weszła.

–Ale tylne drzwi są bliżej. Jeżeli wyjdę tym samym wejściem, którym weszłam, będę w kuchni dłużej, niż gdybym skorzystała z tylnych drzwi.

Tim mógł już wyjeżdżać z parkingu. Jeżeli Kravet nie ruszył za explorerem, jeżeli wszedł do kafejki, szukając Lindy, musiała się stąd jak najszybciej wynieść.

–Jeśli nie ma pani pieniędzy, żeby zapłacić rachunek, nie będziemy z tego robili wielkiego problemu – oświadczył kierownik nocnej zmiany.

–Rachunek płaci mój towarzysz. Myśli, że jestem w damskiej toalecie. Nie chcę z nim wychodzić. Chcę stąd wyjść sama.

Różowa buzia Dennisa Jolly'ego pobladła. Zaniepokojony otworzył szerzej wodniste oczy.

–Czy jest agresywny? Nie chcę, żeby tu za panią wpadł i narozrabiał.

–Niech pan na siebie popatrzy. Jest pan taki umięśniony, na pewno da pan sobie z nim radę.

–Na mnie niech pani nie liczy. Po co miałbym dawać sobie z kimś radę?

–Właściwie nie jest wcale agresywny. – Linda zmieniła taktykę. – Facet jest po prostu obleśny. Bez przerwy mnie obmacuje. Nie chcę z nim znowu wsiadać do samochodu. Niech pan mnie wypuści tylnymi drzwiami.

–Jeżeli tu wejdzie i pani nie zastanie, będzie na nas wkurzony. Musi pani wyjść tą samą drogą, którą pani weszła.

–Co jest z tobą nie tak? – zapytała.

–No dobrze, facet lubi obłapkę – powiedział Dennis Jolly. – Jeżeli nie jest agresywny, tylko nie potrafi po prostu trzymać rąk przy sobie, możesz pozwolić, żeby odwiózł cię do domu i trochę się pomigdał. Pomaca ci cycki i po sprawie. To nic takiego.

–To nie jest nic takiego.

Linda zerknęła w głąb kuchni. Nie było tam ani śladu Kraveta. Jeżeli się stąd szybko nie wydostanie, nie będzie jej u wylotu alejki, kiedy pojawi się tam Tim.

–To nie jest nic takiego – powtórzyła.

–Możesz mu powiedzieć, żeby spadał, kiedy już odwiezie cię do domu. Wtedy nie będzie na nas wkurzony.

Linda zrobiła krok do przodu, zbliżyła twarz do jego twarzy, złapała go za pasek i w ciągu może jednej sekundy wysunęła go ze szlufki przy klamrze.

–Hej! – Dennis trzepnął ją nieskutecznie po dłoniach,

kiedy rozpięła klamrę paska. – Przestań! Co ty robisz? Hej! – Cofnął się o krok, ale ona odnalazła suwak zamka błyskawicznego i rozpięła mu spodnie. – Nie! Hej! Hej!

Linda szła za nim krok w krok wąskim przejściem i łapała za ręce, kiedy próbował zapiąć z powrotem rozporek.

–Masz jakiś problem? – zapytała, opryskując go śliną

przy „p”. – Chcę cię tylko trochę poobmacywać. Jesteś

nieśmiały, Denny? To tylko mała obłapka. Nic takiego. Z

pewnością nic takiego. Nie mam wątpliwości, że będzie bardzo mała. Boisz się, że w ogóle nie zdołam go znaleźć, Denny?

Kierownik nocnej zmiany wpadł na stół z nakryciami i strącił z niego stos talerzy, które rozbiły się z głośnym brzękiem taniego fajansu.

–Czy ktoś kiedyś zawiązał ci go w supełek, Denny? –

zapytała, odsuwając ręce, którymi próbował się zasłonić, i się

gając w głąb rozporka. – Spodoba ci się. Daj mi go zawiązać.

Wściekle się czerwieniąc, pryskając śliną i rozpaczliwie cofając, w czym przeszkadzała mu nadmiernie rozwinięta muskulatura – zbyt wielki byk znalazł się w zbyt ciasnej zagrodzie korralu – pan Jolly potknął się i upadł.

Linda opanowała chęć wymierzenia mu żartobliwego kopniaka, przestąpiła przez niego i pobiegła dalej przez kuchnię.

–Ty stuknięta dziwko! – wrzasnął za nią załamującym

się, piskliwym głosem niedorostka.

W przedsionku było troje drzwi. Logika podpowiadała, że na zewnątrz można wyjść przez te, które znajdują się w tylnej ścianie. Niestety, okazało się, że prowadzą do chłodni z mrożoną żywnością. Za drzwiami po lewej było małe zagracone biuro. Za drzwiami po prawej pomieszczenie gospodarcze ze zlewem.

Zdając sobie sprawę z popełnionego błędu, wróciła do pierwszych drzwi, otworzyła je i weszła do chłodni, która była jednocześnie miejscem odbioru żywności. Przez drzwi w przeciwległej ścianie wychodziło się na alejkę.

Po obu stronach wyjścia stały duże kontenery na śmieci. Nie pachniały tak miło jak bekon, hamburgery i słodkie bułeczki.

W kilku miejscach alejkę oświetlały zamontowane nad drzwiami lampy, generalnie jednak pograżona była w głębokim mroku i mogły czyhać w niej różne zagrożenia.

Wytrącona z równowagi przez spotkanie w kuchni Linda dopiero po kilkunastu krokach zdała sobie sprawę, że pobiegła w lewo zamiast w prawo. Zawróciła i ruszyła w stronę

dalszego końca alejki.

Mijając drzwi do kuchni, usłyszała, jak w alejkę skręca za nią z ulicy jakiś samochód.

Na zastawionej kontenerami wąskiej jezdni mógł się zmieścić tylko jeden pojazd. Linda zeszła na bok, chcąc go przepuścić.

Silnik nie pracował normalnie, coś w nim stukąło i brzęczało. Właściwie nie chodziło tylko o silnik.

Obróciwszy się przez ramię, zobaczyła, że samochód ma tylko jeden reflektor i przechyla się na lewą stronę. Jedna albo dwie opony od strony kierowcy były przestrzelone. Strzępy gumy łopotały głośno, stalowe obręcze kół zgrzytały po asfalcie, karoseria podskakiwała na uszkodzonych resorach i coś – być może tłumik-szorowało po jezdni, krzesząc snopy iskier, które wlatywały niczym robaczki świętojańskie spod podwozia.

W świetle jednej z lamp rozpoznała białego chevroleta.

Nie wiedziała, jak Tim tego dokonał, ale była pewna, że to on. Uznał widać, że chevrolet jest całkowicie unieszkodliwiony, lecz w starym gruchocie kołatały się jeszcze resztki życia.

Kravet nie dał się nabrać. Domyślił się, że wyszła z kafejki tylnymi drzwiami. Przyjechał po nią.

Kiedy zawróciła w stronę kuchni, otworzyły się drzwi i stanął w nich Dennis Jolly ze spuchniętym z oburzenia grubym karkiem i kolczykami błyszczącymi w wielkich płatkach uszu.

Wiedziała, że jeśli będzie chciała wrócić do kafejki, zastąpi jej drogę, a być może nawet uwięzi w kuchni, żeby dać jej nauczkę.

–Jeśli cię zobaczy – ostrzegła Dennisa – odstrzeli ci łeb.

Ton jej głosu, dbałość o własną skórę oraz piekielny terkot chevroleta przekonały kierownika nocnej zmiany, żeby zrejterować sekundę po tym, jak się pojawił.

Chevrolet ruszył z rykiem do przodu niczym siwy koń Apokalipsy, a Linda rzuciła się do ucieczki.

Linda biegła, ściskając pod prawą pachą torebkę i wymachując rytmicznie lewą ręką, jakby chciała podciągnąć się do przodu.

Nie sposób uciec pieszo przed samochodem, który jest w dobrym stanie technicznym, istniała jednak szansa w wyścigu z okaleczonym chevroletem. Tak czy inaczej, nie miała wyboru.

Czy nie powinna otworzyć drzwi jednej z mieszczących się przy alejce firm? W większości były to sklepy. Biura. Pralnia chemiczna. Salon kosmetyczny zamknięty o tej porze. Ale restauracja i kilka barów za dziesięć jedenasta musiały być jeszcze otwarte.

Jeżeli wpadnie do lokalu, w którym wciąż siedzą ludzie, Kravet nie wejdzie za nią, nie pozabija wszystkich gości, żeby ją załatwić. To zbyt ryzykowne. Barman może mieć broń. Podobnie jak któryś z klientów. Całe zajście może zarejestrować kamera. Kravet wycofa się i będzie czekał.

Jeżeli jednak drzwi będą zamknięte na klucz, nic jej nie uratuje. Chevrolet był zbyt blisko. Nie miała żadnego marginesu bezpieczeństwa. Kravet rozjedzie ją, zgniecie na miazgę,

przygważdżając do ściany budynku.

Sądząc po dźwięku silnika, samochód musiał ją doganiać. Miała nad nim przewagę trzydziestu, potem dwudziestu stóp.

Do południowego końca alejki było jeszcze potwornie daleko. Czowała, jak płaczą jej się nogi. Żałowała, że połakomiła się na cheeseburgera z bekonem.

Rozgnieciona stopą puszka od coli przywarła do jej buta na jeden, dwa, trzy kroki, wybijając ją z rytmu, a potem odpadła z brzękiem na bok.

Kakofonia rozsypującego się chevroleta rozbrzmiewała tuż za nią. Linda w każdej chwili spodziewała się, że wygięły przedni zderzak uderzy w jej goleń. Kiedy hałas zdawał się sięgać szczytu, rozległ się nagle przeraźliwy zgrzyt szorującego o metal metalu. Być może samochód otarł się bokiem o jeden z kontenerów na śmieci.

Fala uderzeniowa potężnego dźwięku pchnęła ją do przodu, dodając skrzydeł.

Hałas był coraz potężniejszy, ale chyba się oddalał. Linda zdała sobie sprawę, że jeszcze przed chwilą czuła za sobą gorący niczym smoczy oddech odór przegrzanego silnika i spalonego oleju. Teraz już go nie czuła.

Oglądając się w biegu przez ramię, zobaczyła, że chevrolet wpadł bokiem na kontener ze śmieciami i szepił się z nim. Kravet próbował przyspieszyć, ale metalowe kółka wielkiego pojemnika wrzynały się w asfalt. Kontener, wleczony wzdłuż ściany budynku, zdzierał z niej tynk i wyrwał drzwi razem z framugą, zostawiając za sobą strugę nieprzetrawionych śmieci. Jego kłapa otwierała się i zamykała niczym paszcza krokodyla.

Pędząc przed siebie i oddalając się od chevroleta, Linda była coraz bezpieczniejsza albo tak jej się tylko zdawało. Wybiegając z alejki na ulicę, o mało nie wpadła pod pędzący na zachód samochód. Spoglądając na wschód i wypatrując

explorera, nie dostrzegła go wśród kilku nadjeżdżających aut.

W alejce za jej plecami umilkły nagle odgłosy demolki. Kravet porzucił samochód.

Teraz będzie ją ścigał pieszo. Ma broń. Strzeli jej w plecy.

Trzymając się blisko krawężnika, Linda pobiegła ulicą na wschód, mając nadzieję, że zobaczy samochód Tima.

Krait przejechałby ją, gdyby nagle nie przyplątał się ten kontener.

Człowiek niniejszego formatu, ktoś, u kogo emocje nie były idealnie zrównoważone przez intelekt, mógłby wpaść we wściekłość i w przyływie furii strzelić do kobiety przez przednią szybę, choć pod tym kątem i z tej odległości nie zdołałby zapewne oddać śmiertelnego strzału.

Nawet jeżeli Krait nie był stworzony do tej roboty, przychodziła mu z taką samą łatwością, z jaką żołądź spada z gałęzi na poszycie lasu. Człowiek mniejszego formatu nie mógłby odnosić w niej tylu sukcesów, ile od dawna odnosił Krait. Nie sądził, by mógł się z nim równać jakikolwiek inny śmiertelnik.

Zdarzały się w istocie chwile, kiedy zastanawiał się, czy w ogóle jest człowiekiem. Logika i zasady racjonalnego rozumowania podpowiadały mu, że różni się od innych przedstawicieli ludzkiej rasy i zdecydowanie nad nimi góruje.

To nie była jedna z owych chwil.

Kiedy samochód stanął, przekręcił kluczyk w stacyjce,

lecz silnik nadal pracował. To dziwne, że w wyniku kraksy uszkodzeniu uległa akurat ta funkcja systemu elektrycznego.

Spod samochodu wydobywał się gryzący zapach rozlanej benzyny. Nie było wątpliwości, że pracujący silnik albo krótkie zwarcie doprowadzi wkrótce w ten czy inny sposób do zapalenia się chevroleta.

Krait westchnął poirytowany tym, że wszechświat zorganizowano w sposób, który czasami psuje mu szyki. No cóż, nikt nie obiecywał mu, że życie będzie usłane różami – w gruncie rzeczy było wprost przeciwnie.

Ponieważ kontener zawisł z boku samochodu, nie mógł wysiąść od strony kierowcy. Kiedy przesiadł się na sąsiedni fotel i spróbował otworzyć drzwiczki od strony pasażera, okazało się, że są zablokowane.

Mógł przeczołgać się na tylne siedzenie i spróbować wydostać się tamtędy, był jednak wystarczająco doświadczony, by wiedzieć, kiedy kosmos uparcie stara się spłatać mu figla. Tylne drzwiczki również nie dadzą się otworzyć i chwilę później samochód stanie w ogniu, co niektórym mogłoby się wydać zabawną ironią losu, lecz w poważny sposób utrudniłoby wykonanie powierzonej mu misji.

Wyciągnął swojego SIG-a P245 i przestrzelił w trzech miejscach przednią szybę,

która popękała i rozsypała się niczym tafla lodu. Pistolet załadowany był nabojami.45 ACP, w związku z czym pocisk mógł przelecieć przez całą alejkę i przy odrobinie szczęścia trafić w szyję przechodzącą dziwkę, młodą matkę albo księdza.

Schowawszy broń do kabury i uważając na ręce, które miały kluczowe znaczenie w jego pracy, Krait wyczołgał się przez wybitą szybę na maskę chevroleta, starając się zachowywać z największą, na jaką go było stać, godnością.

Kobieta dotarła do końca alejki i skręciła w lewo albo w prawo, znikając mu z pola widzenia.

Krait ruszył za nią, stawiając szybkie kroki, lecz nie biegnąc. Pościg wymagający biegu był najczęściej pościgiem skazanym na niepowodzenie.

Poza tym biegnący mężczyzna nie sprawia wrażenia kogoś, kto panuje nad sytuacją. Może nawet sprawiać wrażenie spanikowanego.

Pozory nie są rzeczywistością, ale często stanowią dla niej przekonującą alternatywę. Pozory można przeważnie kontrolować w przeciwieństwie do faktów, które są takie, jakie są. Kiedy fakty są zbyt drastyczne, można zmontować pogodną wersję sytuacji i przykryć nią fakty, tak jak przykrywa się poobijany stary toster zrobionym na drutach pokrowcem w kociaki.

Pozory stanowiły walutę, którą Krait posługiwał się w swojej profesji.

Idąc szybko, lecz nie biegnąc, z kulturalnym uśmiechem na twarzy, dotarł do końca alejki i wyszedł na chodnik przy głównej ulicy. Rozejrzał się w prawo i w lewo i zobaczył stojącego jednym kołem na krawężniku explorera, do którego wsiadała kobieta.

Strzelając z P245, potrafił z odległości piętnastu jardów trafić w numerowane koła tarczy strzelniczej.

Explorer stał w odległości trzydziestu, trzydziestu pięciu jardów. Krait ruszył na wschód chodnikiem, zbliżając się do celu.

Magazynek P245 miał sześć nabołów. Zostały mu trzy i nie miał przy sobie zapasowej amunicji.

Ponieważ miał upozorować morderstwo w taki sposób, by wyglądało na następstwo brutalnego gwałtu, pierwotnie nie zamierzał do niej strzelać. Nie widział wcześniej powodu, by używać broni palnej.

Sytuacja uległa jednak zmianie.

Miał do celu dwadzieścia jardów, kiedy go zobaczyli. Carrier wrzucił tylny bieg, zjechał na jezdnię i zaczął się z dużą szybkością cofać.

Gdyby jechał za nim jakikolwiek samochód, musiałby się z nim zderzyć albo przynajmniej zwolnić. Jednak tej nocy obracające się wiecznie koło wszechświata wyraźnie mu sprzyjało i dojechał na wstecznym biegu aż do skrzyżowania, gdzie wykręcił zgrabnie tyłem i popędził przecznicą na południe, znikając z pola widzenia.

Jednak nawet to nie wyprowadziło Kraita z równowagi. Z jego ust nie padło nawet ciche przekleństwo. Sfrustrowany, lecz uśmiechnięty, schował broń do kabury i ruszył dalej chodnikiem, chociaż już nie tak szybkim krokiem jak wcześniej.

Nawet jeżeli różnił się od przedstawicieli ludzkiej rasy i zdecydowanie nad nimi górował, o czym świadczyły dowodnie inne wydarzenia, miał przecież swoje miejsce na tym żalonym świecie. W gruncie rzeczy zajmował w nim wysoką pozycję. Czasami dochodził do wniosku, że w jego żyłach płynie błękitna krew.

Jako wielki książę tego świata miał obowiązek zachowywać się stosownie do swojej pozycji, zawsze w sposób godny i obyczajny, ze stylem, gracją i dyskretną pewnością siebie, roztaczając wokół aury władzy i niezłomnej determinacji.

Przecinając skrzyżowanie, skręcił na południe. Nie miał zamiaru ścigać explorera na piechotę, lecz maksymalnie oddalić się od alejki, w której chevrolet płonął już niczym piekielna pochodnia.

Kiedy policja odnajdzie jego samochód, może zacząć patrolować pobliskie ulice, szukając podejrzanych przechodniów. Chociaż Kraitowi nie groziło zatrzymanie, wolał nie komplikować sytuacji, wikłając się w niepotrzebne spory.

Na wschodzie odezwały się policyjne syreny.

Nie biegnąc, nawet przez chwilą nie biegnąc, Krait przyspieszył kroku, stąpając z dyskretną pewnością siebie. Z podniesionym podbródkiem, cofniętymi ramionami i wypiętą piersią kroczył niczym książę na wieczornej przechadzce. Do pełni obrazu brakowało mu tylko laski ze srebrną gałką i orszaku domowników.

Pokonał prawie całą przecznicę przy akompaniamencie coraz głośniejszych i zbliżających się syren, a potem musiał minąć jeszcze jedną, zanim umilkły.

W końcu znalazł się w dzielnicy porządných piętrowych domów. W tę miłą południowo kalifornijską noc wiktoriańskie piernikowe kominy z cegły i wysokie dwuspadowe dachy robiły wrażenie czegoś, co pojawiło się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Krait zatrzymał się pod kwitnącymi gałęzmi zakarandy, na podjeździe, na którym

leżały zapakowane w wodoodporną folię cztery wydania lokalnej gazety.

Zwykle, kiedy ktoś wyjeżdża na wakacje i zapomina odwołać dostawę gazet, sąsiad zabiera gromadzące się na podjeździe egzemplarze, by utrudnić rozpoznanie celu potencjalnym włamywaczom. Fakt, że nikt tu tego nie zrobił, sugerował, że mieszkańcy tego domu nie mieszkali w nim wystarczająco długo, by nawiązać bliższą znajomość z sąsiadami, względnie że nie byli przez nich lubiani.

W jednym i drugim przypadku dom oferował schronienie, w którym Krait mógł się odświeżyć i zamówić nowy sprzęt. Mógł tego dokonać w ciągu kilku godzin. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że właściciele wrócą w tak krótkim czasie.

Gdyby wrócili, dałoby im się z nimi radę.

Podniósł gazety i zabrał je na ganek.

Ażurowe panele oplecione kwitnącym jaśminem osłaniały werandę przed sąsiadami. Jego zapach był zbyt intensywny jak na człowieka o jego prostych upodobaniach, jednak zielona zasłona bardzo mu się przydała.

Przyświecając sobie minilatarką, zbadał szybki po obu stronach frontowych drzwi. Nie znalazł śladu podłączonych do alarmu czujników magnetycznych.

Z kabury znacznie mniejszej niż ta, w której trzymał pistolet, wyciągnął pistolet do otwierania zamków firmy LockAid, urządzenie sprzedawane wyłącznie służbom policyjnym.

Gdyby musiał wybierać, czy iść na akcję bez pistoletu, czy bez lockaida, bez wahania zrezygnowałby z broni palnej. W niespełną minutę, a często jeszcze szybciej, lockaid ustawiał w równej linii wszystkie zapadki w najbardziej wyrafinowanych zamkach.

Pistolet nie był jedynym narzędziem, za pomocą którego mógł wykonać zlecenie. Mógł zabijać, korzystając z szerokiego arsenału, w tym również spotykanych na co dzień przedmiotów, których większość ludzi nie traktuje w ogóle jako broni – na przykład stalowej sprężyny umieszczonej w pojemniku na papier toaletowy. Mógł także oczywiście zabijać gołymi rękami.

Tymczasem lockaid nie tylko ułatwiał mu pracę, lecz gwarantował dostęp do każdego dowolnego miejsca, przywileje i władzę nie mniejszą niż ta, która przysługiwała dawnym królom jeszcze przed utworzeniem parlamentów, kiedy każde drzwi w królestwie stały otworem przez Jego Wysokością.

Traktował to urządzenie z podobnym sentymentem, z jakim człowiek mniejszego formatu myśli o swej starej kochanej matce lub o dzieciach.

Krait nie pamiętał swojej matki. Jeżeli kiedykolwiek ją miał, musiała już nie żyć, on jednak skłaniał się do przekonania, że jedną z wielu rzeczy, które różnią go od przedstawicieli rodzaju ludzkiego i sprawiają, że nad nim góruje, jest fakt, że przyszedł na świat w sposób odmienny od całej reszty.

Nie wiedział, na czym mógłby polegać ten szczególny sposób. Nie rozmyślał nad tym zbyt długo; nie był w końcu biologiem ani teologiem.

Co do dzieci uważał je za niekoherentne, niepojęte, nudne i w zasadniczy sposób niewytłumaczalne. Dorośli poświęcali mnóstwo czasu na opiekę nad dziećmi i wydawano na nie horrendalne sumy ze środków publicznych, mimo że były małe, słabe, niedouczzone i nie mogły się niczym odwdziżyć społeczeństwu.

Krait nie miał żadnych wspomnień z dzieciństwa. Szczerze wierzył, że nigdy go nie miał, ponieważ z obrzydzeniem myślał o bawiącym się w piaskownicy małym Kraicie z zawszonymi włosami, wilgotnym kaszlem, brakującymi trzema zębami i smarkami zwisającymi u nosa.

Po uporaniu się z zamkiem zatrzaskowym i zasuwą wszedł do domu i wsłuchiwał się przez chwilę w panującą w nim ciszę.

–Halo, jest tu kto!? – zawołał.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zamknął za sobą drzwi i zapalił kilka lamp w salonie.

Wystrój wnętrza był zbyt bogaty i zbyt kobiecy jak na jego gust. Upodobanie do prostoty było w nim tak silne, że gdyby nie fakt, iż mnichom nie wolno mordować ludzi, z pewnością osiągnąłby pełnię szczęścia jako mnich w jakimś rządzącym się szczególnie surowymi regułami zakonie.

Zanim w pełni zadomowił się w tym miejscu, obszedł salon, przesuając palcami po szczytach drzwi i wysokich mebli. Z zadowoleniem stwierdził, że ich płaszczyzny są równie czyste, jak te widoczne na pierwszy rzut oka.

Sprawdzając poduszki kanapy i tapicerkę foteli, nie wykrył żadnych przebarwień spowodowanych przez pot i olejek do włosów. Nie było też ani jednej plamy po jedzeniu i piciu.

Przyświecając sobie minilatarką, zajrzał pod sofę i kredens. Żadnych kotów kurzu.

Upewniwszy się, że właściciel przestrzega czystości, rozsiadł się na sofie i oparł stopy o stolik do kawy.

Po wysłaniu zakodowanej wiadomości tekstowej opisującej zwięźle jego sytuację

zażądał nowego środka transportu, nowej broni oraz skromnego zestawu zaawansowanych technologicznie urządzeń, które mogły mu się przydać, gdyby jego misja stała się bardziej skomplikowana.

Dołączył adres, pod którym aktualnie przebywał, i poprosił o podanie przybliżonej godziny dostawy, kiedy tylko uda się ją ustalić.

Następnie rozebrał się do bielizny i zaniósł ubranie do kuchni.

Tim jechał, nie myśląc o jakimś konkretnym celu podróży. Klucząc uliczkami i unikając dróg szybkiego ruchu, kierował się generalnie na południe, w stronę wybrzeża. Niebo było coraz niższe i powoli zrywał się wiatr.

Linda opowiedziała mu bez przesadnej ekscytacji o Dennisie Jollym i jego wielkich płatkach uszu, o rozsypującym się chevrolecie, a także o potrzebie skorzystania z toalety.

Zatrzymali się na stacji benzynowej, zatankowali i oboje odwiedzili łazienkę. Tim kupił opakowanie tumsów o smaku waniliowym.

Potrzebował antacydów, ale Linda odmówiła, gdy zaproponował jej tabletkę. Jej niewzruszony spokój nie przestawał go intrygować.

Kiedy ruszyli dalej, opowiedział jej o chevrolecie, zniszczonym hydrancie, drewnianym płocie i o pojawieniu się w najmniej odpowiednim momencie brzuchatego brodacza.

–Przestrzeliłeś opony? – zapytała.

–Jedną, a może dwie.

–Na środku ulicy?

–Rozegrało się to tak szybko, że nie miałem czasu ustawić zapór i zablokować przecznicy.

–Niesamowite.

–Niekoniecznie. Na wielu ulicach na tej planecie więcej się strzela, niż jeździ.

–Skąd zwykły murarz bierze odwagę, żeby stanąć na drodze samochodu prowadzonego przez płatnego zabójcę i przestrzelić mu opony?

–Nie jestem zwykłym murarzem. Jestem znakomitym murarzem.

–Coś w sobie masz, ale jeszcze nie wiem co – mruknęła, wyjmując magazynek z pistoletu, który jej oddał.

–Więc należymy do tego samego klubu – odparł. – Podaj mi tytuł którejs z swoich powieści.

–Rozpacz.

–To tytuł twojej powieści?

–Tak.

–Podaj jakiś inny.

–Ostatnie stadium raka.

–Jeszcze jeden.

–Martwi i wyzuci z nadziei.

–Pozwól, że zgadnę... nie trafiły na listę bestsellerów.

–Nie, ale całkiem nieźle się sprzedawały. Mam swoich czytelników.

–Jaki jest wskaźnik ich samobójstw? Nie bardzo rozumiem. Powiedziałaś, że piszesz bolesne, głupie, wywracające flaki książki. Ale patrząc na ciebie, nie widzę osoby cierpiącej na chroniczną depresję.

–Nie jestem w depresji – odparła, wkładając do magazynku naboje kalibru dziewięć milimetrów, które wyławiała z torebki. – Po prostu wydawało mi się, że powinnam być.

–Dlaczego wydawało ci się, że powinnaś być?

–Bo spędzałam za dużo czasu z ludźmi, z tymi uniwersyteckimi typkami, a oni uwielbiają czarnowidztwo. I z powodu tego wszystkiego, co się wydarzyło.

–A co się takiego wydarzyło?

–Przez dłuższy czas byłam taka wściekła, taka rozgoryczona, że nie było we mnie miejsca na depresję – stwierdziła, nie odpowiadając na jego pytanie.

–W takim razie powinnaś chyba pisać gniewne książki.

–Było w nich trochę gniewu, ale przede wszystkim cierpienie, udręka, nieszczęście i nieznośny smutek.

–Cieszę się, że wtedy z tobą nie chodziłem. Smutek z jakiego powodu?

–Po prostu jedź dalej – odparła.

–Co będziesz pisała, kiedy przestaniesz już pisać książki, w których jest cierpienie, udręka i nieznośny smutek? – zapytał, jadąc dalej.

–Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Może historię o murarzu, któremu odbiła szajba na koncercie Petera, Paula i Mary.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Tim zawahał się, bojąc się, że może do niego dzwonić Kravet, ale to był Pete Santo.

–Hej, Bramkarzu, wdepnąłeś w coś bardzo dziwnego.

–Nie nazywaj mnie Bramkarzem. Co jest takiego dziwnego?

–Wiesz, że faceci, którzy używają kilku fałszywych nazwisk, zachowują często te same inicjały?

–Mów dalej – poprosił Tim, zatrzymując się przy krawężniku w willowej dzielnicy.

–Więc ustawiłem wyszukiwanie w bazie danych wydziału komunikacji na wszystkie imiona na R i nazwiska na K.

Pozostałe parametry wziąłem z prawa jazdy Kraveta: mężczyzna, brązowe włosy, brązowe oczy, sześć stóp wzrostu, data urodzenia.

–I co?

–Mam dwadzieścia kilka trafień. Dziewięć dotyczy tego, czego szukamy. Fotografia tego samego faceta, naszego faceta z tym obleśnym niewyraźnym uśmiechem. Robert Krane, Reginald Konrad, Russell Kerrington...

–Myślisz, że któreś z nich może być jego prawdziwym nazwiskiem?

–Przepuszczę je wszystkie przez lokalne, stanowe i ogólnokrajowe policyjne bazy danych, żeby sprawdzić, czy nie pojawi się ktoś z odznaką. Ten facet musi mieć jakieś koneksje.

–Dlaczego?

–Tu właśnie zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Według urzędu komunikacji o te prawa jazdy wystąpiono w dziewięciu różnych biurach na terenie stanu. Ale wszystkie mają tę samą fotografię, a nie dziewięć różnych.

Kiedy Tim przyswajał sobie te informacje, Linda odwróciła się i wyjrzała przez tylną szybę – zupełnie jakby łatwiej ich było znaleźć, kiedy stali w miejscu.

–Więc facet ma dojścia w urzędzie komunikacji – stwierdził Tim.

–Przeciętny zakapior, kiedy chce mieć fałszywe prawo jazdy, nie idzie do urzędu komunikacji, tylko kupuje je od fałszerza. Takie prawko jest dobre w wielu

sytuacjach, ale nie we wszystkich. Powiedzmy, że zatrzymają go za przekroczenie szybkości. Jeżeli wypisujący mandat gliniarz zachce sprawdzić jego wcześniejsze przewinienia, nie znajdzie ich w bazie danych. To zwykle podrobione prawko bez żadnych korzeni.

–Ale tych dziewięć praw jazdy ma korzenie.

–I to jakie. Człowieku, można tylko stanąć na baczność

i zaśpiewać God, Bless America. Więc albo facet ma dojścia w urzędzie komunikacji, albo potrafi zamataczyć same akta.

–Zamataczyć?

–Spreparować je, umieścić fałszywe dane.

–Powinienem zapisać się na kurs policyjnej nowomowy.

–Oszczędź sobie zbędnych wydatków i poproś najpierw o transplant osobowości – odciął się Pete. – Ale jest coś więcej. Kalifornia ma od niedawna umowy z wydziałami komunikacji w sąsiednich stanach. Ten Kravet Krane Konrad, czy jak tam jeszcze się nazywa, ma trzy prawa jazdy w Nevadzie i dwa w Arizonie, każde na inne nazwisko, ale każde z tym samym zdjęciem.

–To całkiem udane zdjęcie – stwierdził Tim.

–Owszem – zgodził się Pete.

–Ten uśmiech.

–Te oczy. O co w tym wszystkim chodzi, compradre!

–Już to przerabialiśmy. Kubek z papugą. Tarta.

–Te prawa jazdy i zamataczne bazy danych to przestępstwa. Teraz, kiedy o nich wiem, nie mogę po prostu siedzieć na dupie i nic nie robić. Nawet dla ciebie.

Nazwisko Richard Lee Kravet prawie na pewno nie było prawdziwym nazwiskiem zabójcy, więc nie można było z nim powiązać spalonego w alejce chevroleta. Poza tym zniszczony samochód mógł co najwyżej świadczyć o nieostrożnej jeździe.

–Gdyby wśród tych wszystkich nazwisk udało ci się znaleźć to, które jest prawdziwe, gdybyśmy dowiedzieli się, dla kogo naprawdę pracuje i gdzie naprawdę mieszka, wtedy może mógłbym ci opowiedzieć całą historię.

–Za dużo gdybania. Po prostu cię ostrzegam. Mam twardy tyłek i trochę na nim

posiedzę, ale nie do dnia Sądu Ostatecznego.

–Dzięki, Pete – powiedział Tim. – Zadzwoń, kiedy będziesz miał coś nowego.

–Przypuszczam, że będę nad tym siedział aż do rana. Zawiadomiłem już, że biorę jutro chorobowe.

–Jeżeli będziesz coś miał, dzwoń bez względu na porę.

–Nadal jesteście razem?

–Tak. Wsuwa cheeseburgery z bekonem i nienawidzi aruguli.

–Lubi Amerykańskiego idola?

–Nie ogląda go.

–Mówiłem ci, że coś w niej jest. Nie mówiłem? Zapytaj, jaki jest jej ulubiony film wszechczasów.

–Pete chce wiedzieć, jaki jest twój ulubiony film wszech czasów – powiedział Tim, zwracając się do Lindy.

–Szkłana pułapka albo Człowiek w ogniu, wersja z Den-zelem Washingtonem.

Tim powtórzył jej odpowiedź przez telefon.

–Ty cholerny szczęściarzu – mruknął Pete.

W pralni Krait znalazł wieszaki na swoje spodnie, koszulę i sportową marynarkę i zawiesił wszystkie trzy sztuki garderoby na uchwytach kuchennych szafek.

Ubrany tylko w bieliznę, skarpetki i buty zasunął żaluzje w oknach kuchennych. Nie pochwalał ludzi, którzy robią z siebie widowisko.

Znalazł dwie szczotki do ubrań, jedną z twardym, drugą z miękkim włosiem. Odkrycie gąbki do ubrań sprawiło mu wielką przyjemność.

Jak widać, właściciele dbają o stan swojej garderoby tak samo jak o czystość domu.

Kusiło go, żeby przed wyjściem zostawić im list z wyrazami aprobaty, lecz również pewną radą. Na rynku pojawiły się ostatnio nietoksyczne, ulegające biodegradacji płyny do chemicznego czyszczenia, których jeszcze nie mieli. Nie miał wątpliwości, że będą zadowoleni z rekomendowanych przez niego produktów.

Używając lekko zwilżonej gąbki tylko tam, gdzie było to

konieczne, a następnie różnych szczotek, w zależności od charakteru i stanu każdej z tkanin, szybko odświeżył ubranie.

Ponieważ pralnia była mała, rozstawił deskę do prasowania w kuchni. Właściciele mieli wysokiej jakości wielofunkcyjne żelazko.

Użył kiedyś żelazka tej samej marki do torturowania pewnego młodego człowieka, zanim go zabił. Niestety, pod koniec sesji to wspaniałe urządzenie do niczego się już nie nadawało.

Uprasowawszy swoje rzeczy, zaczął szukać pasty do butów, odpowiedniej szczotki i szmatki do polerowania. Odkrył cały zestaw pod zlewem kuchennym.

Po odłożeniu wszystkiego na miejsce ubrał się i wspiał na górę w poszukiwaniu dużego stojącego lustra. Znalazł je w głównej sypialni.

Spodobało mu się to, jak wyglądał. Można go było wziąć za nauczyciela, przedstawiciela handlowego i w ogóle kogokolwiek.

Lustra go intrygowały. Wszystko było w nich odwrócone, co sugerowało jakąś tajemniczą prawdę o życiu, której jeszcze nie poznał.

Przeczytał raz wywiad z pisarką twierdzącą, że spośród fikcyjnych postaci najsilniej identyfikuje się z młodą Alicją Lewisa Carrolla. W duchu uważała się za Alicję w

krainie czarów.

Ponieważ pisarka zaprezentowała wiele innych godnych pożałowania opinii, Krait złożył jej pewnego wieczoru wizytę. Okazała się całkiem drobna. Bez trudu podniósł ją i cisnął w stojące lustro, żeby sprawdzić, czy w magiczny sposób przejdzie do krainy czarów.

Niestety, nie była Alicją. Lustro się roztrzaskało, a kiedy nie zdołała przez nie przejść, zadbał o to, by przeszły przez nią fragmenty lustra.

Dopiero gdy zawibrowała komórka, Krait zdał sobie sprawę, że stoi przed lustrem w sypialni od dobrych kilku minut.

Z SMS-a wynikało, że może oczekiwać zamówionej dostawy około godziny drugiej.

Zerkając na zegarek, stwierdził, że została mu jeszcze godzina i pięćdziesiąt pięć minut.

Nie przejął się zbyt długo zwłoką. Ujrzał w niej sposobność, by zawrzeć bliższą znajomość z rodziną, która nieświadomie zapewniła mu schronienie.

Zaczął od szafek w głównej sypialni. Z zadowoleniem odkrył, że w wielu przypadkach ludzie ci preferują te same co on marki pasty do zębów, antacydów, proszków na ból głowy...

Kiedy napotykał markę, której wybór był jego zdaniem pomyłką, wyrzucał produkt do najbliższego kosza do śmieci.

W dwóch szufladach komody odnalazł kolekcję erotycznej bielizny. Z zainteresowaniem rozłożył, zbadał i złożył z powrotem każdą sztukę.

To odkrycie nie wzbudziło w nim dezaprobaty. Jeżeli przeciętna osoba ma do czegoś prawo, to przede wszystkim do nieskrępowanej ekspresji własnej seksualności.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wyrazić swojej seksualności, spuszczać się w którąś z najbardziej prowokacyjnych sztuk bielizny i wkładając ją z powrotem do szuflady. Potem jednak uznał, że zachowa siły dla Lindy Paquette.

W drugim końcu korytarza był pokój ich córki. Wszystko wskazywało, że ma kilkanaście lat.

Garderoba dziewczyny, sposób, w jaki ozdobiła swój pokój, oraz muzyczne upodobania, których można się było domyślić na podstawie niewielkiej kolekcji płyt, świadczyły o tym, że nie jest zbuntowaną nastolatką.

Kraitowi nie spodobało się to, że tak wyraźnie podporządkowała się ojcu i matce.

Choć dzieci były generalnie irytujące i niepojęte, pod jednym względem mogły się okazać przydatne. Międzypokoleniowa wrogość i pogarda dostarczają narzędzi, za pomocą których można kształtować i kontrolować społeczeństwo.

W szufladzie nocnej szafki, poza innymi rzeczami, znalazł zamykany na zameczek pamiętnik. Wyłamał zamek.

Dziewczyna nazywała się Emily Pelletrino. Miała wyraźny i ładny charakter pisma.

Krait przeczytał parę kartek, a potem kilka przypadkowo wybranych akapitów, lecz nigdzie nie znalazł rewelacji, które trzeba by trzymać pod kluczem. Emily uważała, że jej rodzice są nieświadomie zabawni, ale kochała ich i szanowała. Nie brała narkotyków. W wieku czternastu lat nadal była dziewicą.

Dopóki nie poznał bliżej ugrzecznionej Emily, nic w tym domu nie wzbudziło jego wyraźnej niechęci. Nie podobało mu się jej zadowolenie z siebie.

Po wykonaniu obecnego zadania mógłby, jeżeli pozwoli mu na to rozkład zajęć, wrócić tu po Emily. Chętnie zabrałby ją na tydzień albo dwa w jakieś odosobnione miejsce.

Po zapoznaniu dziewczyny z repertuarem nowych doświadczeń i odmieniających świadomość substancji i idei odwiezie ją do domu. Po tym wszystkim Emily nie będzie już miała o sobie tak dobrego mniemania. Będzie również w zupełnie inny sposób traktowała ojca i matkę i nienaturalna dynamika tej rodziny zostanie skorygowana.

Kiedy na podjeździe zatrzymał się samochód, Krait siedział w salonie, w dalszym ciągu zapoznając się z klanem Pelletrino. Zerknąwszy na zegarek, stwierdził, że zamówienie dostarczono punktualnie o drugiej.

Nie wyszedł na zewnątrz, żeby pozdrowić kurierów. Stanowiłoby to naruszenie protokołu.

Nie podszedł również do okna i nie uchylił zasłony. Kurierzy go nie interesowali. Byli zwykłymi chłopcami na posyłki – trzeciorzędnyimi postaciami dramatu.

Wróciwszy do kuchni, sprawdził zawartość zamrażarki i znalazł w niej idealną porcję lazanii domowej roboty. Podgrzał ją w mikrofalówce i zjadł, popijając piwem.

Lazania była wyśmienita. Kiedy tylko było to możliwe, preferował posiłki domowe.

Pozmywał po sobie, zgasił światła, zamknął drzwi frontowe i wyszedł na podjazd.

Czekający na niego chevrolet był granatowy, nie biały, poza tym jednak nie różnił się chyba od pojazdu, który musiał porzucić w alejce.

W żadnym innym oświetleniu ani otoczeniu ten zwyczajny sedan nie mógłby nabrać sportowego charakteru. Jednak pod nisko sunącymi chmurami, nierealnym światłem latarni i potrząsanymi przez wiatr gałęziami żakarandy granatowy chevrolet wydawał się mocniejszy od białego i Krait wyraźnie odczuwał tę różnicę.

Kluczyki tkwiły w stacyjce. Na siedzeniu pasażera leżała teczka.

Nie musiał zaglądać do bagażnika, żeby wiedzieć, że jest w nim niewielka walizka.

O godzinie 2.32 w nocy nie był ani trochę zmęczony. Przewidując długą noc z Paquette, spał aż do czwartej po południu.

Za kilka minut dowie się, gdzie ukrywa się kobieta i jej samozwańczy obrońca. Jeszcze przed nastaniem świtu Timothy Carrier będzie gryzł ziemię, podobnie jak wszyscy rycerze zasiadający przy okrągłym stole.

Odwaga Carriera i jego obeznanie z bronią zaintrygowały, lecz bynajmniej nie onieśmieliły Kraita. Niedawne wydarzenia nie nadwątlily jego pewności siebie i nie chciał w tym momencie dowiadywać się czegoś więcej o tym człowieku.

Im więcej wiedział o swoich ofiarach, tym szybciej mógł się domyślić, dlaczego ktoś chce ich śmierci. Jeżeli będzie wiedział, dlaczego ktoś zamierza ich zlikwidować, może nadejść dzień, gdy ktoś zechce zlikwidować i jego.

Carrier nie był głównym celem, lecz mimo to Krait uważał, że mądrzej będzie stosować zasadę „nie pytaj za dużo”.

Nawet jeśli kobieta nie zginie przed nastaniem świtu, znajdzie się w każdym razie pod jego kuratelą. Nie będzie wobec niej tak wyrozumiała, jak byłby, gdyby została w domu i przyjęła z pokorą to, co ją czeka.

Przez nią i przez tego durnego murarza Krait stracił w końcu kubek z uchwytem w kształcie papugi, który miał dla niego tak wielkie znaczenie.

Zachował przynajmniej tubkę skutecznego balsamu do ust.

Zapalił silnik. W chevroletcie rozbłysła tablica rozdzielcza.

Część druga

Niewielki czteropiętrowy hotel zbudowano dawno temu na skraju nadmorskiego urwiska. Grube niczym pnie pędy bugenwilli okrywały fioletowym i czerwonym baldachimem treliaż przy wejściu, wiatr obsypywał chodnik podobnymi do konfetti płatkami.

Meldując się tam kwadrans po północy, Tim wpisał ich w księdze gości jako „pana i panią Carrierów”. Recepcjonista wsunął do terminalu jego kartę Visa.

Za przesuwanymi szklanymi drzwiami pokoju na drugim piętrze był balkon z dwoma krzesłami i niskim stolikiem z kutego żelaza. Od sąsiedniego balkonu dzieliły ich trzy stopy.

Pod czarnym jak węgiel niebem leżał czarny jak kopeć ocean. Piana na grzywach długich fal snuła się niczym dym w stronę brzegu i rozwiewała na popielatej plaży.

Rosnące na północy i na plaży potężne palmy daktylowe szumiały na wietrze tak głośno, że nie słychać było łagodnego przyboju.

–Dzisiaj nic ich to nie obchodzi – powiedziała Linda, stając przy balustradzie i patrząc na zachód, w stronę niewidocznego widnokręgu.

–Kogo co nie obchodzi? – zapytał.

–Recepcjonistów, czy para ma ślub.

–Och, wiem. Ale to nie wydawało się właściwe.

–Strzeżesz mojej czci?

–Chyba sama sobie z tym świetnie radzisz.

Linda oderwała wzrok od niewidocznego horyzontu i spojrzała na niego.

–Podoba mi się sposób, w jaki mówisz.

–Jaki sposób?

–Nie mogę znaleźć na to odpowiedniego słowa.

–A jesteś podobno pisarką.

Zostawiając balkon na pastwę wiatru, wrócili do środka i zamknęli przesuwane drzwi.

–Które chcesz łóżko? – zapytał.

–To będzie dobre – odparła, ściągając narzutę.

–Moim zdaniem jesteśmy tutaj bezpieczni – powiedział. Linda zmarszczyła czoło.

–Dlaczego mielibyśmy nie być?

–Wciąż się zastanawiam, jak nas znalazł przy tej kafejce.

–Naprawdę musi mieszkać w pobliżu tej pustej posesji, na którą był zarejestrowany jego samochód. I przypadkiem zobaczył, jak koło niej przejeżdżamy.

–Nic nie zdarza się przypadkiem.

–Czasami się zdarza. Istnieje coś takiego jak pech.

–Tak czy inaczej, powinniśmy być przygotowani na różne rzeczy – stwierdził. –
Może powinniśmy spać w ubraniach?

–I tak miałam zamiar spać w ubraniu.

–No tak, oczywiście.

–Nie rób takiej rozczarowanej miny.

–Nie jestem rozczarowany. Jestem zdruzgotany.

Kiedy Linda była w łazience, Tim zgasił górne światło.

Lampa na szafce nocnej między łózkami miała trzy ustawienia mocy światła; nastawił je na najśłabsze, po czym przycupnął na skraju łóżka i wykręcił numer tawerny, w której Rooney nadal krzątał się za barem.

–Gdzie jesteś? – zapytał Rooney.

–Po tej stronie rajy.

–Nigdy nie zawędrujesz dalej.

–Tego się właśnie obawiam. Słuchaj, Liam, czy on rozmawiał z kimś poza tobą?

–Rekin w butach?

–Tak, on. Czy rozmawiał z jakimś klientem?

–Nie. Tylko ze mną.

–Może poszedł na górę i rozmawiał z Michelle?

–Nie. Kiedy wszedł, siedziała ze mną za barem.

–Ktoś dał mu moje nazwisko. I numer komórki.

–Nie tutaj. Czy twój numer nie jest zastrzeżony?

–Tak twierdzi mój operator.

–Co to za facet, Tim?

–Sam chciałbym to wiedzieć. Słuchaj, wyszedłem z wprawy z kobietami, musisz mi pomóc.

–Nie zauważyłem, żebyś kiedykolwiek miał jakąś wprawę. Z kobietami?

–Podsuń mi coś miłego, co mógłbym wykorzystać w rozmowie z kobietą.

–Miłego? Miłego na jaki temat?

–Nie wiem. Coś o włosach.

–Możesz powiedzieć: podobają mi się twoje włosy.

–Jak udało ci się skłonić Michelle, żeby za ciebie wyszła?

–Powiedziałem, że jeśli odrzuci moje oświadczenia, zabiję się.

–W tej znajomości jest trochę za wcześnie na groźby

samobójcze – stwierdził Tim. – Muszę kończyć.

Wychodząc z łazienki ze świeżo umytą twarzą i spiętymi z tyłu włosami, Linda promieniała. Promieniała także wtedy, gdy do niej wchodziła.

–Podobają mi się twoje włosy – powiedział Tim.

–Moje włosy? Myślałam, żeby je ściąć.

–Są takie lśniące i takie ciemne, że wydają się niemal czarne.

–Nie farbuję ich.

–Nie, oczywiście. Nie chciałem powiedzieć, że je farbujesz albo nosisz perukę czy coś w tym rodzaju.

–Perukę? Wyglądają na perukę?

–Nie, nie. W żadnym wypadku nie wyglądają na perukę.

Tim uznał, że najlepiej będzie, jeśli wyjdzie z pokoju. Na progu łazienki popełnił jednak błąd, ponownie się do niej zwracając:

–Chcę, żebyś wiedziała, że nie użyję twojej szczoteczki do zębów – powiedział.

–Nigdy bym nie pomyślała, że to zrobisz.

–Myślałem, że mogłaś. To znaczy, mogłaś o tym pomyśleć.

–Teraz już pomyślałam.

–Gdybyś pozwoliła mi skorzystać z twojej pasty, mógłbym po prostu umyć zęby palcem.

–Wskazujący jest lepszy od kciuka – doradziła mu.

Kiedy po kilku minutach wyszedł z łazienki, leżała na pościeli z zamkniętymi oczami i rękami na brzuchu. W przyćmionym świetle lampy zdawała się spać. Tim podszedł do swojego łóżka i starając się nie hałasować, usiadł na nim i oparł się plecami o wezglowie.

–Co będzie, jeżeli Pete Santo nie zdoła wyłowić spośród tych wszystkich nazwisk tego, które jest prawdziwe?

–zapytała.

–Uda mu się.

–A jeśli nie?

–Wtedy spróbujemy czegoś innego.

–To znaczy?

–Do rana coś wymyślę.

–Zawsze wiesz, co robić, prawda? – powiedziała po krótkiej chwili.

–Chyba żartujesz.

–Nie zbywaj mnie.

–Wygląda na to, że kiedy jestem pod presją, podejmuję na ogół właściwe decyzje – odparł po kolejnej krótkiej chwili Tim.

–Czy w tym momencie presja jest wystarczająca?

–Wzrasta.

–A kiedy nie jesteś pod presją?

–Wtedy jestem bezradny.

Zadzwońla jego komórka. Podniósł ją z szafki nocnej, gdzie się ładowała.

–Zdarzyło się coś śmiesznego – oznajmił Pete Santo.

–To dobrze. Chętnie się pośmiejemy. Poczekaj, przełączę na głośne mówienie. – Tim położył telefon na szafce nocnej. – Mów.

–Sprawdzam te wszystkie nazwiska w policyjnych bazach danych, stanowych i krajowych w nadziei, że któraś z jego tożsamości okaże się na tyle prawdziwa, że można ją będzie powiązać z jakąś odznaką i etatem. Nagle dzwoni mój telefon. To Hitch Lombard. Mój szef.

–Twój szef? Zadzwońil do ciebie teraz, po północy?

–Właśnie skończyłem z nim rozmawiać. Hitch dowiedział się, że idę jutro na chorobowe, i miał nadzieję, że nic mi nie jest.

–Czy gotuje również rosół chorym detektywom?

–Udałem, że to zupełnie normalne, że do mnie dzwoni, i powiedziałem, że to coś z żołądkiem. Wtedy zapytał, nad jaką sprawą aktualnie pracuję, a ja odparłem, że nad trzema, i wymienilem je, tak jakby ich nie znał.

–Powinien je znać?

–Oczywiście. Na to on mówi, że ponieważ zawsze mam obsesję na punkcie swoich spraw, na pewno siedzę w tym momencie przy komputerze, pracując nad jedną z nich, mimo że jestem chory.

–To niesamowite – mruknął Tim.

–Z wrażenia o mało nie spadłem z krzesła.

–Skąd ktoś mógł wiedzieć, że przeczesujesz bazy danych, sprawdzając Kraveta i jego inne nazwiska?

–Mają coś w oprogramowaniu. Jeśli ktoś interesuje się Kravetem i jego innymi nazwiskami, włącza się alarm. Kogoś zawiadomili.

–Kogo? – zapytała Linda, siadając na łóżku.

–Kogoś, kto stoi o wiele wyżej w łańcuchu pokarmowym niż ja – odparł Pete. – Kogoś, kto stoi wyżej od Hitcha Lombarda, wystarczająco wysoko, żeby po odebraniu polecenia, że ma mnie uciszyć, Hitch odparł: „Tak jest, proszę pana, zaraz to zrobię, ale czy mogę najpierw pocałować pana w dupę?”.

–Co to za facet, ten Lombard? – chciała wiedzieć Linda.

–Nie jest taki zły. Ale w czasie akcji na ulicy człowiek cieszy się, że Hitch siedzi za biurkiem i nie bierze w niej udziału. Powiedział, że kiedy poczuje się lepiej i wróć do pracy, chce mi powierzyć ważne dochodzenie i powinienem się na nim całkowicie skoncentrować.

–Więc odebrał ci wszystkie aktualne sprawy? – zapytał Tim.

–Od tej chwili, dziś w nocy – potwierdził Pete.

–Uważa, że jedna z tych spraw doprowadziła cię do Kraveta?

–Nie powiedział tego, ale zgadza się. W ogóle nie wymienił jego nazwiska, lecz to oczywiste.

–Możliwe, że nie zna nawet nazwiska „Kravet” i innych nazwisk tego faceta i w ogóle nie wie, o co chodzi – podsunęła Linda.

–Ktoś gdzieś złapał Hitcha za jaja i zmiażdży je, jeżeli się nie przymknę. Nie musieli mu nawet mówić, dlaczego mam się przymknąć. Wystarczyło, że złapali go za jaja.

Rozmawiając z Pete'em, Tim przyglądał się w niskim świetle lampy swoim rękoma. Były szorstkie i pokryte odciskami.

Być może kiedy ta sprawa dobiegnie końca, będą jeszcze bardziej szorstkie i mniej zdolne do czułego dotyku.

–Bardzo mi pomogłeś, Pete – powiedział. – Doceniam to.

–Jeszcze nie skończyłem.

–Już z tym skończyłeś. Dobrali ci się do dupy.

–Muszę po prostu zmienić taktykę – stwierdził Pete.

–Mówię poważnie. Już z tym skończyłeś. Nie skacz w przepaść.

–A od czego jest przepaść? Zresztą to dotyczy w równej mierze mnie, jak i ciebie.

–To, co mówisz, nie ma sensu.

–Nie pamiętasz, jak razem dojrzeliliśmy? – zapytał Pete.

–To stało się tak szybko, że niewiele zapamiętałem.

–Czy to znaczy, że przeszliśmy przez to wszystko niepotrzebnie?

–Nie chciałbym tak myśleć.

–Na pewno nie przeszliśmy przez to wszystko, żeby ci sami co zawsze dranie postawili na swoim.

–Oni zawsze stawiają na swoim – odparł Tim.

–W porządku. Na ogół tak. Ale raz na jakiś czas muszą zobaczyć, jak jeden z nich dostaje w kość. Żeby zatrzymali się na chwilę i pomyśleli, że być może istnieje jakiś bóg.

–Gdzieś to słyszałem.

–Sam to powiedziałaś.

–Dobra, nie będę się spierał sam ze sobą. Chcemy teraz trochę odpocząć.

–Może jutro będziesz mógł mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

–Może – mruknął Tim i zakończył rozmowę.

Linda znów położyła się na łóżku, z głową na poduszce, zamkniętymi oczami i rękami na brzuchu.

–Poezja – westchnęła.

–Jaka poezja? – zdziwił się Tim. – Ta sprawa, która się wydarzyła – odezwał się, kiedy nie odpowiedziała – ta, przez którą pisałaś przejmujące książki...

–Książki pełne przejmującego smutku.

–Ta sprawa, czymkolwiek była... czy jesteś pewna, że nie ma nic wspólnego z tym,

co dzieje się teraz?

–Na sto procent. Przemyślałam to z dwunastu punktów widzenia.

–Przemyśl to z trzynastego.

Linda wyjęła pistolet z torebki i położyła go w zasięgu ręki.

–Myślisz, że tutaj zginiemy? – zapytała.

–Postaramy się nie zginąć.

Pokój na drugim piętrze miał w sobie coś z wąwozu pułapki w starym westernie. Gdyby pojawili się źli ludzie, można się było z niego wydostać, wyłącznie stawiając im czoło.

Przeciętny płatny zabójca, jeśli w ogóle istnieje ktoś taki, nie próbowałby prawdopodobnie wykonać zlecenia w hotelu. Wolałby zabić ofiarę na ulicy, gdzie dysponowałby wieloma drogami ucieczki.

Pamiętając o niezaspokojonym głodzie w czarnej pustce oczu zabójcy, Tim nie przypuszczał, by można go było określić mianem przeciętnego. Kravet nie miał żadnych zahamowań. Mógł zrobić wszystko.

Siedząc na łóżku, obserwował leżącą z zamkniętymi oczami Lindę. Lubił na nią patrzeć, zwłaszcza gdy nie przeszywała go na wskroś spojrzeniem.

Widział wiele kobiet, które były od niej piękniejsze. Nie spotkał żadnej, której bardziej lubiłby się przyglądać.

Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Nie starał się tego analizować. W dzisiejszych czasach ludzie poświęcają zbyt wiele czasu na próbę zrozumienia swoich uczuć – i w końcu żadne z nich nie są autentyczne.

Chociaż pokój na drugim piętrze mógł się okazać bardziej pułapką niż schronieniem, nie przychodziło mu na myśl żadne inne miejsce, które byłoby bezpieczniejsze. Świat składał się z samych wąwozów pułapek.

Instynkt podpowiadał mu, że dopóki będą w ruchu, dopóty będą bezpieczni. Musieli jednak odpocząć. Ruszając dalej, donikąd by nie dojechali, doprowadziliby się tylko do stanu skrajnego wyczerpania.

Tim wstał jak najciszej z łóżka i przez minutę przyglądał się Lindzie.

–Śpisz? – zapytał w końcu.

–Nie – odparła. – A ty?

–Wyjdę tylko na dwie minuty na korytarz.

–Po co?

–Rozejrzeć się.

–Dlaczego?

–Nie wiem. Pistolet leży na nocnej szafce.

–Nie zastrzelę cię, kiedy wrócisz.

–Taką mam nadzieję.

Tim wyszedł na korytarz, zatrzasnął za sobą delikatnie drzwi i sprawdził, czy są zamknięte.

Przy klatkach schodowych po obu stronach korytarza jarzyły się czerwone tabliczki z napisem: WYJŚCIE. Windy były przy północnym końcu.

Na lewo od nich znajdowało się sześć pokoi. Na klamkach czworga drzwi wisiały wywieszki: NIE PRZESZKADZAĆ.

Po prawej stronie były cztery pokoje. Wywieszki wisiały tylko na klamkach najbliższych dwóch.

Drzwi od południowej klatki schodowej zaskrzypiały cicho, kiedy je otworzył. Na podeście nasłuchiwał przez chwilę

szumu morza w spiralnej muszli schodów, ale usłyszał tylko ciszę.

Zszedł dwa piętra na parter. Drzwi po lewej stronie prowadziły na korytarz, drzwiami po prawej wychodziło się na zewnątrz. Oświetlona alejka biegła ku frontowi hotelu. Rosnące przy niej hibiskusy kołysały się w powiewach wiatru, wielkie czerwone kwiaty nachylały się ku niemu, jakby chciały go ostrzec przed niebezpieczeństwem.

Po drugiej stronie alejki był trzykondygnacyjny parking. Tim podszedł do stojącego tam explorera.

Każdy, kto przybył do hotelu, powinien niezależnie od pory oddać samochód pracownikowi, który odstawiał go na parking. Tim prędeż oddałby na przechowanie własne stopy, niż powierzył kluczyki parkingowemu, ograniczając w ten sposób w znacznym stopniu swoją mobilność.

Między północą i szóstą rano na służbie był tylko jeden parkingowy, który pełnił ponadto funkcję boya, ale nie czekał na gości przed wejściem. Po przyjeździe powinno się po niego zadzwonić.

Tim nie zadzwonił i zaparkował tam, gdzie chciał.

Teraz, kilka minut przed pierwszą w nocy, zabrał z explorera latarkę i mały zestaw narzędzi w winylowym futerale.

Z różnych miejsc otwartej po obu bokach betonowej budowli dochodziły złowrogie

szepty i upiorne głosy hulającego po parkingu wiatru, który zabawiał się w brzuchomówcę.

Po powrocie do pokoju na drugim piętrze Tim zamknął drzwi i zasunął zasuwkę. Założył również łańcuch, choć wszystkie te środki bezpieczeństwa mogły nie przetrwać jednego mocnego kopnięcia. Jednak nawet różnica dwóch albo trzech sekund mogła stanowić o życiu lub śmierci.

Podszedł do łóżka Lindy, która tak jak poprzednio leżała na plecach z zamkniętymi oczami.

–Śpisz? – zapytał szeptem.

–Nie – wyszeptała. – Jestem martwa.

–Muszę zapalić więcej świateł.

–Nie krępuj się.

–Muszę coś sprawdzić.

–Dobrze.

–Będę się starał nie robić hałasu.

–Nie możesz przeszkadzać komuś, kto jest martwy.

Przez chwilę stał w miejscu i się jej przyglądał.

–Znowu chodzi ci o moje włosy? – zapytała, nie otwierając oczu.

Zostawiając ją razem z jej wspaniałymi włosami, Tim zapalił górne światło i podszedł do drzwi na balkon.

Zaniepokoiło go własne odbicie w szybie. Wyglądał jak niedźwiedź. Wielki, niezgrabny, rozczochrany, bezradny niedźwiedź. Nic dziwnego, że nie chciała otworzyć oczu.

Każdy z dwóch szklanych paneli miał cztery stopy szerokości. Ten po prawej stronie był zamontowany na stałe. Otwierał się tylko ten po lewej, nasuwając się na prawy od wewnątrz.

Ponieważ hotel był ekskluzywny, przywiązywano dużą wagę do szczegółów. Metalowa rama drzwi nie została uszczelniona masą szpachlową, lecz dopasowana bezpośrednio do ściany, dzięki czemu tapetę można było przyciąć tuż przy szkłe.

Nawet płaskie śruby blokujące mogłyby zepsuć widok, w związku z czym zamontowane na stałe drzwi nie były zabezpieczone od środka.

Tim przesunął o kilka cali ruchome drzwi. Ciekawski wiatr dmuchał mu w twarz, kiedy kilka razy podniósł i opuścił zasuwkę.

Hotel zbudowano dawno temu i te drzwi były tutaj od samego początku. Ponieważ działo się to w bardziej niewinnej epoce i ponieważ balkon wisiał mniej więcej pięćdziesiąt stóp

nad plażą, nie zaopatrzono ich w porządny zamek.

Prosty zatrzask pozwalał zamykać drzwi, ale mógł ustąpić już przy umiarkowanym nacisku.

Podnosząc się z kucek, żeby poprosić Lindę o pomoc, Tim zobaczył, że obserwuje go, stojąc tuż za nim.

–Więc jednak nie jesteś martwa – stwierdził.

–To prawdziwy cud. Co się dzieje?

–Chcę sprawdzić, czy mogę to zrobić, nikogo nie budząc.

–W ogóle nie śpię. Przedtem też nie spałam. Pamiętasz?

–Może masz zaburzenia snu?

–Niewykluczone.

–Chcę zobaczyć, czy mogę to zrobić, nie budząc ludzi w sąsiednim pokoju. Możesz mnie zamknąć na balkonie?

–Jak najbardziej.

Tim wyszedł z latarką i zestawem narzędzi na balkon. Wiatr, mocniejszy niż wcześniej, smagnał go po twarzy, jakby tracił do niego cierpliwość.

Linda przesunęła z powrotem drzwi i zatrzaskała je. Stała po drugiej stronie i patrzyła na Tima.

Kiedy do niej pomachał, ona zrobiła to samo.

Spodobało mu się to, że pomachała. Wiele kobiet pokazałoby mu, żeby się pospieszył, albo stałyby, wzięwszy się pod boki i piorunując go wzrokiem. Spodobała mu się jej poważna mina, kiedy machała.

Zastanawiał się, czy nie pomachać znowu, ale się powstrzymał. Nawet kobieta tak wyjątkowa jak ta mogła mieć ograniczoną cierpliwość.

Postanowił, że zacznie od drzwi zamontowanych na stałe. Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiał męczyć się z zatraskiem w drugim panelu. Przyświecając sobie latarką, szybko zlokalizował dwie śruby w górnej części ramy oraz dwie w części pionowej.

Z zestawu narzędzi wyjął jeden z trzech śrubokrętów krzyżakowych. Okazało się, że wybrał właściwy już za pierwszym razem.

Rama drzwi miała niespełna siedem stóp wysokości. Żeby dosięgnąć śrub, musiał pracować z rękami uniesionymi nad głową, ale nie sprawiło mu to większych trudności.

Oczekiwał, że po kilkudziesięciu latach śruby będą zardzewiały, i nie pomylił się. Kiedy przekręcił mocno śrubokręt, główka śruby ułamała się, a trzpień spadł z brzękiem do pustej metalowej prowadnicy.

Druga śruba w górnej części ramy również się ułamała, lecz te w części pionowej obróciły się ze zgrzytem. Hałas, który robił, nie zaniepokoiłby jednak nawet księżniczki cierpiącej na bezsenność z powodu ukrytego pod dwudziestoma materacami ziarnka grochu.

Wszystkie przesuwane drzwi umieszczane są w prowadnicach już po zamontowaniu ramy i dlatego łatwo je wyjąć. Ponieważ te drzwi zostały wyprodukowane w wieku niewinności, słupki paneli zaopatrzone w wystające bolce, aby ułatwić zadanie monterowi.

Gdyby panele miały sześć stóp szerokości, nie zdołałby sam podnieść jednego. Ale one były szerokie tylko na cztery stopy, a on był wielkim rozczochranym niedźwiedziem.

Uniósł drzwi do góry i górny bolec wszedł w znajdujący się nad nim otwór. Dolny bolec wysunął się z prowadnicy.

Gdyby przechylił dolną część drzwi w swoją stronę i powoli je uniósł, górny bolec również wysunąłby się z otworu. Mógłby wyjąć je z ramy i położyć na balkonie.

To, co robił, było jednak tylko próbą mającą na celu sprawdzenie, czy uda mu się względnie cicho usunąć panel. Napinając mięśnie, na powrót umieścił drzwi w ramie. Po usunięciu śrub można je było teraz przesunąć równie łatwo jak drzwi po lewej stronie.

Zabrał narzędzia i latarkę i dał znak Lindzie, żeby wpuściła go do środka. Zasuważąc

za sobą drzwi, zerknął na zegarek.

–Zajął mi to jakieś cztery minuty – stwierdził.

–Pomyśl, ile rzeczy mógłbyś tutaj zdemontować w ciągu godziny.

–Gdybyś spała...

–Nie potrafię już sobie tego w ogóle wyobrazić.

–...mógłbym dostać się tu z balkonu, nie budząc cię. Na pewno nie obudziłbym ludzi w sąsiednim pokoju.

–Kiedy Kravet wdrapie się pięćdziesiąt stóp z plaży i wejdzie przez te drzwi, będziemy wiedzieli, że jest złym bliźniakiem Spidermana.

–Jeżeli odnajdzie nas tak samo szybko, jak to się stało w kafejce, wolałbym, żeby zaatakował nas tutaj, a nie czekał na parkingu. Kiedy będziemy szli do explorera i mijali te wszystkie samochody i betonowe filary, będzie miał nas jak na dłoni.

–Dzisiaj nas nie znajdzie – odparła.

–Nie byłbym tego taki pewien.

–Nie jest czarodziejem.

–Tak, ale słyszałaś Pete'a Santo. Kravet ma dojścia.

–Zostawiliśmy go bez środka transportu.

–Nie zdziwiłoby mnie, gdyby potrafił latać. Tak czy owak, czuję się lepiej. Nie będziemy już teraz w wąwozie pułapce.

–Zupełnie nie wiem, o czym myślisz, i nie dbam o to. – Linda ziewnęła. – Chodź do łóżka.

–Brzmi zachęcająco.

–Nie to miałam na myśli – odparła.

–Ja też nie miałem tego na myśli – zapewnił ją.

Firanki za przesuwanymi drzwiami były zasunięte, lampka na szafce nocnej maksymalnie przyciemniona.

Na podłodze przy łóżku leżała torba podróżna Lindy, spakowana i gotowa do zabrania, gdyby musieli się szybko ewakuować.

Ściągnąwszy na bok narzutę, leżała na plecach, z głową na poduszce. Nie zdjęła butów.

Tim usadowił się w fotelu. Zamierzał spać w pozycji siedzącej.

Przysunął fotel do samych drzwi, żeby obudził go każdy nietypowy hałas na korytarzu. Z miejsca, w którym siedział, widział zasłonięte firankami przesuwane drzwi na balkon.

Nie chcąc zasnąć z załadowanym pistoletem w dłoni, wsunął jego lufę między pluszowe siedzenie i bok mebla, skąd mógł go wyciągnąć równie szybko jak z kabury.

Na zegarze cyfrowym na szafce nocnej była 1.32.

Patrząc z tej odległości i pod tym kątem, nie mógł dostrzec, czy Linda ma otwarte, czy zamknięte oczy.

–Śpisz? – zapytał.

–Tak.

–Co się stało z całą twoją złością?

–Kiedy byłam zła?

–Nie dzisiaj. Powiedziałaś, że przez dłuższy czas byłaś taka wściekła, taka rozgoryczona.

Linda milczała przez chwilę.

–Chcieli przerobić jedną z moich książek na serial telewizyjny – powiedziała w końcu.

–Kto chciał?

–Ci sami co zwykle psychopaci.

–Jaką książkę?

–Robak, który mnie gryzie.

–Nie słyszałem nigdy tego tytułu.

–Oglądałam telewizję...

–Przecież nie masz telewizora.

–To było w recepcji jednej ze stacji. Na dużym ekranie puszczały tam na okrągło własne programy.

–Jak to wytrzymują?

–Podejrzewam, że przeciętna recepcjonistka nie żyje zbyt długo. Przyszłam tam na spotkanie. Puszczały jakiś talk-show.

–I nie mogłaś zmienić kanałów.

–Ani rzucić czymś w ekran. Wszystko w tych recepcjach jest miękkie, nie ma twardych przedmiotów. Możesz się domyślić dlaczego.

–Doskonale cię rozumiem.

–Wszyscy goście programu byli wściekli. Nawet prowadzący był wściekły z ich powodu.

–Dlaczego byli wściekli?

–Dlatego, że byli ofiarami. Ludzie byli w stosunku do nich niesprawiedliwi. Ich rodziny, system, kraj, życie było wobec nich bardzo niesprawiedliwe.

–Lubię oglądać naprawdę stare filmy – wyznał Tim.

–Ci ludzie wściekali się, że są ofiarami, ale świetnie się z tym czuli. Nie wiedzieliby, kim być, gdyby nie byli ofiarami.

–Urodziłem się pod szklanym obcasem i zawsze tam żyłem – zacytował Tim.

–Kto to powiedział?

–Jakaś poetka, nie pamiętam jej nazwiska. Dziewczyna, z którą chodziłem, mówiła, że to jej życiowe credo.

–Chodziłeś z dziewczyną, która opowiadała takie rzeczy?

–Niedługo.

–Była dobra w łóżku?

–Bałem się to sprawdzić. Więc oglądałaś ten talk-show, w którym brali udział wściekli ludzie.

–I nagle zdałam sobie sprawę, że chroniczny gniew skrywa uzalanie się nad sobą.

–Czy twój gniew też skrywał uzalanie się nad sobą?

–Myślałam, że tak nie jest. Ale kiedy odkryłam go u tych ludzi, zorientowałam się, że ze mną jest podobnie. I zrobiło mi się niedobrze.

–To musiała być ważna chwila.

–Żebyś wiedział. Ci ludzie kochali swój gniew, zawsze chcieli być wściekli i nawet na łożu śmierci mieli zamiar się nad sobą uzalać. Ogarnął mnie nagle śmiertelny lęk, że skończę tak samo jak oni.

–Nigdy nie mogłabyś skończyć tak jak oni.

–Owszem, mogłabym. Byłam na najlepszej drodze. Ale dałam sobie spokój z gniewem.

–Można to zrobić?

–Dorośli to potrafią. Nie potrafią tylko ci, którzy nigdy nie dorosną.

–Nakręcili ten serial?

–Nie. Nie zostałam na spotkaniu.

Patrzył na nią przez pokój. W ciągu całej rozmowy w ogóle się nie poruszyła. Jej spokój nie był zwykłym spokojem: to była pogoda ducha kobiety, której nie mogły dotknąć w życiu żadne burze ani mrok – albo przynajmniej taką miała nadzieję.

–Posłuchaj wiatru – powiedziała głosem niewyraźnym

ze zmęczenia.

Wiatr, który owiewał balkon, nie był hałaśliwy i zaciętrzewiony, lecz cichy i kołyszący do snu niczym odbywające nieskończoną podróż nieskończone stado ptaków.

–Brzmi jak skrzydła, na których dolecisz do domu –

dodała szeptem, który ledwie usłyszał.

Przez chwilę się nie odzywał.

–Śpisz? – zapytał w końcu.

Nie odpowiedziała.

Chciał przejść przez pokój i przyjrzeć jej się z bliska, lecz był zbyt zmęczony, żeby wstać z fotela.

–Coś w sobie masz – mruknął.

Będzie jej strzegł podczas snu. Był zbyt spięty, żeby spać. Pod tym czy innym nazwiskiem Richard Lee Kravet czaił się gdzieś w pobliżu. Nadchodził.

Może rozszerzone źrenice były spowodowane zażywaniem jakiegoś leku. Ale jak mógł absorbować tyle światła i nie oślepnąć?

Z pistoletem wciśniętym między siedzenie i bok fotela, w niezakłóconej niczym ciszy na korytarzu, słuchając szumu wiatru, który prznosił w mrok cały świat, Tim zapadł w sen.

Śniła mu się porośnięta kwiatami łąka, gdzie bawił się jako chłopiec, czarodziejski las, którego nie widział nigdy w życiu, i Michelle z odłamkami czegoś błyszczącego w lewym oku i krwawiącym kikutem lewej ręki.

O godzinie 3.16 nad ranem Krait zaparkował przy autostradzie Pacific Coast, pół przecznicy na południe od hotelu.

Po wysłaniu zakodowanej wiadomości tekstowej, w której poprosił o podanie ostatnich transakcji opłaconych kartą kredytową Timothy'ego Camera, ze specjalnym uwzględnieniem nazwy hotelu, Krait otworzył dyplomatkę, którą dostarczono mu wraz z nowym samochodem.

Wewnątrz, na piankowej wyściółce, spoczywał wykonany na specjalne zamówienie pistolet maszynowy Glock 18 z czterema pełnymi magazynkami. Były tam także dwa skonstruowane zgodnie z najnowszą technologią tłumiki oraz kabura z szelką naramienną.

Krait podziwiał tę broń. Z podobnego do niej pistoletu wystrzelił, ćwicząc kilka tysięcy pocisków. Do dziewięćmilimetrowych naboju parabellum obracających się 1300 razy na minutę Glock 18 nadawał się jak żaden inny.

Specjalne magazynki zawierały po trzydzieści trzy naboje.

Maksymalizowały potencjał broni w trybie ognia ciągłego. Krait załadował jeden z nich.

Ponieważ robiona na zamówienie lufa została wydłużona i nagwintowana, bez trudu nakręcił na nią jeden z tłumików.

Z tym pistoletem łączyło go coś w rodzaju pokrewieństwa. Broń nie pamiętała, kto ją wytworzył, podobnie jak Krait nie pamiętał matki ani dzieciństwa. Podobnie jak on była czysta, nieubłagana i służyła śmierci.

Dla księcia tego świata zmodyfikowany Glock 18 wydawał się stosownym Ekskaliburem.

Zatrzymawszy się wcześniej na czerwonych światłach, Krait ściągnął sportową marynarkę. Teraz rozpiął zamocowaną pod pachą kaburę i schował ją razem z SIG-iem P245 pod siedzeniem kierowcy.

Następnie nałożył nową kaburę przystosowaną do zaopatrzonego w tłumik Glocka z wydłużonym magazynkiem. Poprawiwszy ją, wysiadł z chevroleta, poruszył kilka razy ramionami i uznał, że leży jak ulał.

Sięgnął do samochodu po marynarkę, włożył ją i wsunął do kabury Glocka, który zawisał wygodnie przy jego prawym boku.

O tak późnej porze autostradą Pacific Coast podróżował wyłącznie wiatr. Krait nappełnił płuca nocnym powietrzem. Bez smrodliwych wyziewów z rur wydechowych wiatr pachniał czystością.

W takiej chwili można było uwierzyć, że nadejdzie dzień, gdy po drogach nie będą kursować żadne pojazdy, gdy żadna istota ludzka nie będzie przemierzać nadmorskich wzgórz i w ogóle żadnego lądu. Kiedy upadli poniosą klęskę i pozbawieni zostaną ostatniej nadziei, wiatr i deszcz usuną wszelkie ślady tego, czego nie stworzyła bezmyślna natura, a ziemia otuli nędzne kości, by ukryć je na zawsze przed słońcem i księżycem. Pod zimnymi gwiazdami pozostanie pustka

wyzbyta wszystkich namiętności, oczekiwań i nadziei. Ciszy nie zakłóci żadna pieśń ani śmiech. Panujący bezruch nie będzie bezruchem modlitwy ani kontemplacji, lecz bezruchem nicości. I wtedy praca dobiegnie końca.

Siedząc w ciemnym samochodzie, Krait czekał na informacje, o które poprosił. Otrzymał zakodowaną wiadomość tekstową o 3.37.

W ciągu ostatnich dwunastu godzin Timothy Carrier użył dwukrotnie swojej karty Visa – za pierwszym razem, żeby kupić benzynę, następnie, przed niespełną trzy i pół godziny, rejestrując się w hotelu, niedaleko którego parkował teraz Krait.

Ponieważ hotel należał do sieci dysponującej ogólnokrajowym systemem rezerwacji, informatorzy Kraita mogli również odkryć, że pan i pani Carrierowie nocują w pokoju 308.

Określenie „pan i pani” rozbawiło go. Cóż za błyskawiczny romans.

Myśląc o tym, jak nocują razem w hotelowym pokoju, przypomniał sobie, że poproszono go, by zgwałcił kobietę.

Chciał ją zgwałcić. Gwałcił kobiety, które były mniej atrakcyjne od niej. Nie miał z tym nigdy kłopotu, jeżeli o to właśnie prosili go suplikanci, składając swoją petycję.

Pragnął również wsadzić jej w każdy z otworów fizjologicznych reprodukcję dzieła sztuki, którą wyciął z ramek w jej sypialni.

Niestety, dynamika tej misji uległa zmianie. Z jego doświadczenia wynikało, że w tych rzadkich przypadkach, kiedy wyeliminowany został element zaskoczenia, sukces można odnieść wyłącznie poprzez bezwzględne zastosowanie przeważającej siły.

Żeby uzyskać dostęp do kobiety, będzie najprawdopodobniej musiał zabić Carriera. W czasie ataku mogła zginąć od przypadkowego strzału. Poza tym, jeżeli zacznie krzyczeć i stawiać opór, Krait będzie być może musiał ją zabić, uprzednio nie

gwałcą.

To też było do zaakceptowania. W tych okolicznościach było to wszystko, na co mógł liczyć. Dwa kolejne trupy stanowiły postęp na drodze ku pustym autostradom, ku milczeniu nicości.

Krait wysiadł z samochodu i zamknął drzwi na kluczyk. W epoce, w której się znalazł, nie można było liczyć na ludzką uczciwość.

Zamiast od razu podejść do hotelu, ruszył w stronę stojącego obok piętrowego parkingu.

Explorer stał tam, gdzie spodziewał się go znaleźć: w południowo-zachodnim rogu dolnej kondygnacji.

Jeżeli garaż patrolował strażnik, w tym momencie był na innym poziomie. Najprawdopodobniej jednak dozór odbywał się za pomocą kamer, które Krait dostrzegł w kilku miejscach.

Kamery wcale go nie peszyły. Elektroniczne obrazy można utracić, systemy mogą się zepsuć.

W świecie, który z każdym dniem oddala się od prawdy, coraz więcej ludzi akceptuje to, co wirtualne, w miejsce tego, co realne. A wszystko to, co wirtualne, jest także podatne na manipulację.

Nie przejmował się również nigdy odciskami palców ani DNA. Były to zwyczajne wzory, pierwsze pozostawione przez tłustą skórę, drugie – utrwalone w strukturze makromolekuły.

Te wzory muszą być odczytywane przez ekspertów, którzy oceniają ich przydatność dowodową. Poddany różnym rodzajom presji ekspert może błędnie odczytać wzór albo nawet go zmienić. Wiara, jaką Amerykanie pokładają w „ekspertach”, jest taka wzruszająca.

Zamiast wyjść z parkingu przy głównej bramie, opuścił go drugimi drzwiami, które wychodziły na oświetloną alejkę biegnącą wzdłuż południowej ściany hotelu.

Wzdłuż alejki rosły kołyszące się na wietrze hibiskusy. Hibiskus nie jest rośliną trującą.

Krait potrzebował kilka razy trującej rośliny przy realizacji swoich misji. Zarówno bielun dziedzierzawa, jak oleander i konwalia majowa świetnie spełniły swoje zadanie.

Jednak hibiskus był bezwartościowy.

Podszedł do drzwi. Za nimi znajdowała się klatka schodowa. Wspiął się na trzecie piętro.

Jakiś dźwięk zbudził Tima z niespokojnego snu.

Dawno temu przekonał się, że przetrwanie może zależeć od obudzenia się tak szybko, jakby sen był odrzucanym na bok kocem. Z jasnym umysłem wyprostował się w fotelu i wyciągnął pistolet spod siedzenia.

Przez dłuższą chwilę nie usłyszał niczego więcej, mimo że bacznie nasłuchiwał. Czasami dźwięk rozlega się we śnie i budzi daną osobę, ponieważ jest tym samym dźwiękiem, który słyszało się, widząc, jak ktoś umiera w prawdziwym życiu.

Cyfrowy zegar pokazywał czas za pośrednictwem jarzących się zielonych cyfr. Była 3.44. Spał przez jakieś dwie godziny.

Spojrzał w stronę drzwi balkonowych.

Nic nie poruszyło firankami.

Usłyszał szum wiatru, który nie był natarczywy ani wścibski, ale szorstki, rytmiczny, dodający otuchy.

Po krótkim milczeniu odezwała się Linda i Tim zdał sobie sprawę, że obudził go jej senny głos.

–Molly – powiedziała. – Och, Molly, nie, nie.

W jej słowach słysząc było smutek i tęsknotę.

Śpiąc, obróciła się na bok i leżała teraz w pozycji płodowej, obejmując poduszkę, którą przyciskała mocno do piersi.

–Nie... nie... och, nie – zamruczała, a potem jej głos

zmienił się w ledwo słyszalny lament, przesywającą skargę,

która nie była płaczem, ale czymś o wiele gorszym.

Wstając z fotela, Tim wyczuł, że tej kobiecie nie przyśnił się pozbawiony znaczenia koszmar, lecz przeniosła się we śnie w przeszłość, gdzie ktoś o imieniu Molly naprawdę istniał i być może został utracony.

Zanim mówiąc przez sen, zdążyła ujawnić jakąś prawdę o sobie, w uśpionym hotelu rozległ się inny dźwięk. Tym razem dobiegał z korytarza.

Stojąc przy drzwiach, Tim przyłożył głowę do szczeliny przy framudze. Wydawało mu się, że słyszy ciche skrzypnięcie drzwi prowadzących na południową klatkę schodową.

Zimne powietrze łaskotało małżowinę jego ucha.

Na korytarzu znowu zapadła cisza, ale teraz był w niej element wyczekiwania, obawa przed osłabieniem czujności.

Jeżeli Tim prawidłowo zidentyfikował hałas, ktoś musi stać na podeście, trzymając otwarte drzwi na klatkę i obserwując korytarz na drugim piętrze.

Potwierdzenie nadeszło wraz z charakterystycznym skrzypnięciem drzwi, które nie zamknęły się same, lecz zostały ostrożnie przymknięte.

W dzisiejszych czasach niewielu późno wracających gości, nawet niewielu pracowników hotelu tak bardzo dba o to, żeby nikogo nie obudzić.

Tim przystawił oko do wizjera. Szerokokątna soczewka pozwalała mu zobaczyć zniekształcony widok korytarza.

To nie był punkt, od którego nie ma powrotu, ponieważ Tim przekroczył go już wcześniej tej nocy. Wchodząc do jej domu, widząc, że Linda ma zamiast telewizora plakat przedstawiający telewizor, podjął decyzję tak samo nieodwołalną jak kurs, który obrał Kolumb, podnosząc kotwicę w sierpniu 1492 roku.

W tym momencie znajdował się w punkcie ważnym podczas każdego niebezpiecznego przedsięwzięcia – w punkcie, kiedy umysł stawia czoło eskalacji wyzwań albo okazuje się zbyt ograniczony, by wygrać pojedynek, kiedy serce staje się wskazującym drogę kompasem albo cofa się przed podróżą, kiedy równie możliwe są sukces i klęska.

W obejmowanej przez rybie oko wizjera panoramie pojawił się mężczyzna. Miał odwróconą głowę i lustrował wzrokiem drzwi po wschodniej stronie korytarza. A potem spojrzał w stronę Tima. Zniekształcona przez wypukłą soczewkę twarz była jednak bezsprzecznie twarzą zabójcy o wielu tożsamościach.

Różowe gładkie policzki. Niezmienny uśmiech. Oczy niczym dwie studzienki kanalizacyjne.

Postrzelenie Kraveta przez drzwi wymagało potężniejszej broni niż dziewięćmilimetrowy pistolecik.

Poza tym, kiedy ten zabójca zginie, z pewnością zostanie wynajęty następny. A Tim nie będzie już miał przewagi wynikającej z tego, że zna jego rysopis.

Cofnął się od drzwi, obrócił i pospieszył do Lindy, która przestała już mówić przez sen.

Jego plan wydał mu się nagle czymś w rodzaju rzutu kością, a nie przemyślaną strategią.

Kiedy położył dłoń na ramieniu Lindy, natychmiast się ocknęła, zupełnie jakby ukończyła tę samą co on szkołę przetrwania.

–On tu jest – powiedział Tim, a ona usiadła i wstała z łóżka.

W ogniu akcji Krait czuł się niczym młody bóg, nigdy nie miał żadnych wątpliwości i zastrzeżeń. Wiedział, co trzeba zrobić, i wiedział, co lubi. Momenty takie jak ten stanowiły spełnienie jego potrzeb i pragnień.

Zamknawszy za sobą drzwi na klatkę schodową, wyciągnął Glocka z nowej kabury i trzymając go przy boku, ruszył korytarzem.

Drzwi do nieparzystych pokoi znajdowały się po jego prawej, drzwi do parzystych po lewej, wzdłuż zachodniej ściany. Piąty od klatki schodowej był pokój 308.

Według hotelowego rejestru Carrier i kobieta zameldowali się tu trzy i pół godziny temu. W przeciwieństwie do Kraita nie spali do czwartej po południu, szykując się do tego, co przyniesie poniedziałkowa noc. Zmęczeni chcieli wierzyć, że na razie są bezpieczni.

Krait odnosił sukcesy dzięki temu, że ludzie nie potrafili stawić czoła rzeczywistości. Kiedy uciekali w świat pobożnych życzeń, pojawiał się zupełnie niedostrzegalnie, ponieważ był rzeczywistością, której nie chcieli widzieć.

W drodze na górę zatrzymał się na pierwszym piętrze, żeby przyjrzeć się drzwiom. Hotel zastąpił oryginalne mechaniczne zamki elektronicznymi blokadami na kartę.

Jego ukochany pistolet do otwierania zamków na niewiele mógł się tutaj przydać. Krait był jednak przygotowany i na taką ewentualność.

Po powrocie na klatkę schodową zatrzymał się na chwilę, by wyjąć z portfela coś, co przypominało zwykłą kartę kredytową. W rzeczywistości był to analityczny skaner, który potrafił odczytać i skopiować każdy kod w elektronicznym zamku.

W przeciwieństwie do pistoletu LockAid tego urządzenia nie mogli kupić nawet policjanci. Nikt nie mógł go kupić. Dostawało się je w prezencie, w dowód uznania.

Stanąwszy przy drzwiach do pokoju 308, Krait wsunął kartę do szczeliny zamka. Kiedy wskaźnik zmienił kolor z czerwonego na zielony, nie wyjął jej, ponieważ pozostawienie karty w otworze gwarantowało, że zamek się nie zamknie.

Lockaid robił trochę hałasu, gdy go się używało. Skaner analityczny pracował bezszelestnie.

Przełącznik na zamku Glocka pozwalał używać go w trybie automatycznym lub półautomatycznym. Mimo że Krait preferował prostą taktykę i nieskomplikowaną

broń, nastawił pistolet na ogień ciągły.

Trzymając w obu rękach Glocka i zakładając, że drzwi zabezpieczone są łańcuchem, cofnął się o krok i kopnął je najmocniej i najwyżej, jak to było możliwe.

Płytką łańcuszka odpadła od framugi, drzwi otworzyły się na oścież, a Krait wpadł do środka na lekko zgiętych kolanach, z wyciągniętymi przed siebie rękami, omiatając pokój lufą najpierw w prawo, potem w lewo, i schodząc z drogi drzwiom, które odbiły się od zamocowanego na ścianie odbojnika.

Dwa łóżka. Pościel na jednym lekko zmięta, drugie przykryte narzutą. Lampka na nocnej szafce.

Ani śladu po panu i pani. Może nie spali i usłyszeli skrzypnięcie drzwi prowadzących na schody?

Tylko dwa miejsca, gdzie mogli się schronić: balkon i łazienka.

Drzwi do łazienki na pół uchylone. W środku ciemno.

Trzymając mocno Glocka, żeby zrównoważyć obciążenie lufy przez tłumik, posłał krótką serię w mrok, roztrzaskując lustro i prawdopodobnie kilka płytek glazury, zasypując łazienkę rykoszetami i odłamkami i zahaczając jednym pociskiem o drzwi.

Łagodna siła odrzutu zamortyzowana w dużej części przez tłumik. Hałas, który nie obudziłby śpiocha, jeżeli był jakiś w pobliżu. Zero płomienia wylotowego.

Żadnych krzyków w łazience. Żadnych strzałów. Nikogo tam nie ma. Zostawić to na później.

Szklane drzwi na balkon zasłonięte kotarami. Carrier ma pistolet. Przed odsunięciem kotar ostrzelać balkon.

Żałując szkód, jakie musiał spowodować, Krait posłał kolejną krótką serię. Kotary podwinęły się do góry, szklane drzwi zniknęły, coś głośno zagrzechotało. Odsunawszy na bok kotary, wyszedł na balkon. Pod jego stopami zachrzęściło hartowane szkło.

Czując słony, świeży zapach wiatru, podszedł do balustrady i spojrzał w dół. Tuż pod balkonem skały, niżej plaża i łamiące się fale. Razem około pięćdziesięciu stóp. Za wysoko, żeby nie złamać sobie nogi przy skoku.

Nie wątpił w prawdziwość danych, które otrzymał od swoich informatorów. W ciągu ostatnich lat ani razu nie miał powodu ich kwestionować.

Szukając innego wytłumaczenia zniknięcia jego zwierzyny, Krait zerknął w lewo i prawo na ścianę hotelu. Balkony. Wszędzie identyczne, zaopatrzone w balustrady balkony. Puste balkony.

Puste teraz.

Balkon, na którym stał, od następnego dzieliły niespełna trzy stopy. Jeśli ktoś nie miał lęku wysokości, mógł bez trudu przeskoczyć z jednego na drugi.

Stąpając po chrzęszczącym szkle, Krait nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przesuwane drzwi są lustrem, a on sam znalazł się w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą przebywała Alicja.

Po powrocie do pokoju 308 zauważył pewien ważny szczegół, który umknął wcześniej jego uwagi: brak jakichkolwiek rzeczy osobistych.

W łazience nie znalazł rannych ani zabitych. Ręczniki były używane, ale żadne przybory toaletowe nie stały na otaczającym umywalkę blacie.

Carrier i kobieta nie wyszli stąd, kiedy zaskrzypiały drzwi na klatkę schodową. Znacznie wcześniej znaleźli pusty pokój i przenieśli się tam, nie informując o tym recepcji.

Krait wyszedł na korytarz, wyjął skaner z elektronicznego zamka i schował go do kieszeni.

Kopnięcie w drzwi i rozbicie szyb obudziło gości. Dwaj mężczyźni – jeden w bieliźnie, drugi w piżamie – odważyli się wyjść na korytarz.

Uśmiechając się, Krait wycelował do nich z Glocka.

Mężczyźni wycofali się do pokoi i zamknęli za sobą drzwi.

Do tej pory ktoś musiał zatelefonować do recepcji, żeby zgłosić zakłócenie spokoju. A jeden lub obaj mężczyźni dzwonią W tej chwili pod 911.

Puls Kraita tylko nieznacznie przekroczył normalne u niego sześćdziesiąt uderzeń na minutę. Sprawiał wrażenie spokojnego i był spokojny.

Rozstrzygnięcie tego, co pojawiło się pierwsze w jego życiu: pozór spokoju czy sam spokój, było tak samo trudne jak pytanie, co było pierwsze: jajko czy kura. Pierwociny jego osobowości ginęły w pomroce dziejów i w ogóle się nimi nie interesował.

Policja w tym mieście miała, jak wszędzie w Kalifornii, braki kadrowe. Przybycia

radiowozu nie należało się spodziewać wcześniej niż za pięć minut, chyba że patrol był akurat gdzieś w pobliżu.

Tak czy inaczej, będzie miał do czynienia z dwoma, najwyżej czterema policjantami. Na tak dużym terenie mógł, bawiąc się z nimi w kotka i myszkę, z łatwością dotrzeć do zaparkowanego przy autostradzie samochodu.

Jeśli gliniarze pojawią się wcześniej, będzie musiał ich zabić. Nie miał pod tym względem żadnych zahamowań.

Po zachodniej stronie korytarza było jedenaście pokoi. Z sześciorga drzwi znajdujących się za numerem 308 tylko na klamkach czworga zawieszono były wywieszki: **NIE PRZESZKADZAĆ**.

Nie miał powodu sądzić, że dwa pokoje bez wywieszek są puste albo że tam właśnie skryli się uciekinierzy. Carrier mógł je zawiesić, lecz równie dobrze mógł zdjąć je z klamek, żeby jeszcze bardziej pomieszać mu szyki.

Na południe od 308 były cztery pokoje. Wywieszka: **NIE PRZESZKADZAĆ** leżała na podłodze przed drzwiami ostatniego. Krait przyjrzał się jej, a potem zerknął na zamknięte drzwi.

Był prawie całkowicie pewien, że wywieszka nie leżała na podłodze, kiedy pojawił się tutaj przed kilkoma minutami. Być może ktoś ją potracił, opuszczając pośpiesznie pokój.

Pokój 300 znajdował się tylko kilka kroków od południowej klatki schodowej.

Wyczuwając, że sprytna para zbiegła już dwa piętra na dół i opuściła hotel, Krait nie chciał tracić czasu na otwieranie skanerem pokoju i jego szybką inspekcję.

Carrier i kobieta biegną teraz z pewnością do stojącego na parkingu explorera, względnie już do niego wsiadają.

Krait nie zbiegł w dół po schodach, ponieważ panika nie leżała w jego naturze. Zszedł po nich z umiarkowanym pośpiechem.

Kilka sekund po tym, jak drzwi do pokoju numer 308 otworzyły się z głośnym trzaskiem, Tim i Linda wyskoczyli z pokoju numer 300 i zbiegli na dół po schodach.

Na dworze wiatr sypnął im pod stopy czerwone płatki hibiskusa. Tim otworzył pilotem explorera, który błysnął światłami i zaćwierkał. Kiedy usiadł za kierownicą, Linda wzięła od niego pistolet.

Pokój numer 300 był rzeczywiście pusty, gdy Tim zdemontował wcześniej przesuwane szklane drzwi i wszedł tam przez balkon. Wpuścił Lindę do ich nowej kwatery przez frontowe drzwi i zawiesił na klamce wywieszkę z napisem: **NIE PRZESZKADZAĆ.**

Następnie przespał się dwie godziny, choć sen był mroczną krętą drogą wypełnioną koszmarami.

Teraz uruchomił silnik, zapalił światła, wyjechał z parkingu i ruszył na południe autostradą Pacific Coast. Na skrzyżowaniu skręcił w lewo, w głąb lądu.

–No dobrze-mruknęła Linda. – Teraz jestem przerażona.

–Nie sprawiasz takiego wrażenia.

–Możesz mi wierzyć. – Odwróciła się, żeby zerknąć przez tylną szybę. – Jestem Richardem Dreyfussem, który siedzi z tyłu łodzi i rekin właśnie skacze mu na twarz. Jak ten facet nas odnalazł?

–Myślę, że przez kartę kredytową.

–To, że jest gliniarzem, nie oznacza jeszcze, że trzyma za jaja facetów z MasterCard.

–To była Visa – uściślił Tim, skręcając w willową uliczkę. – Facet jest kimś o wiele ważniejszym od gliniarza.

–Bez względu na to, kim jest, musi mieć chyba jakiś nakaz sądowy, żeby śledzić tego rodzaju rzeczy – zauważyła.

–Czy trzynastoletni hakerzy nie włamują się bez pozwolenia do każdego systemu, na jaki przyjdzie im ochota?

–Więc twoim zdaniem to jakiś superglina z porąbanym siostrzeńcem, który śledzi dla niego na okrągło wszystkie transakcje Visy?

–Może gdzieś jest budynek pełen facetów, którzy byli kiedyś porąbanymi siostrzeńcami i włamywali się do komputerów stacji telewizyjnych, żeby zostawić obsceniczne wiadomości dla Nikki Cox, a teraz są o piętnaście lat starsi i przeszli na ciemną stronę mocy.

–Budynek pełen facetów? – powtórzyła. – Twierdzisz, że mamy ich wszystkich przeciwko sobie?

–Wcale tego nie twierdzę. Nie wiem.

Wzgórze wylaniało się zza wzgórza. Tim kluczył uliczkami, wjeżdżając coraz wyżej i wyżej. Wszystkie mijane przez nich domy, mimo architektonicznej różnorodności, miały w sobie coś złowieszczonego.

–Słuchaj, zdążyłam cię już uznać za faceta, który zna się na różnych rzeczach – powiedziała Linda.

–Nie na takich rzeczach. To nie jest moja liga.

–Wcale tego nie zauważyłam.

–Na razie miałem trochę szczęścia.

–Tak to określasz?

Nad latarniami zwieszały się potrząsane wiatrem drzewa pieprzowe; cienie ich gałęzi drżały niczym obnażone nerwy.

–Kto to jest Nikki Cox? – zapytała Linda.

–Występowała w serialu Żyli długo i nieszczęśliwie.

–Dobry serial?

–Podły, w większości taki sobie, z gadającym wypchanym królikiem z kłapciatymi uszami.

–Kolejny królik.

–Byłem nastolatkiem, hormony tryskały mi z uszu. Oglądałem każdy odcinek z wywalonym jęzorem.

–To musiał być niesamowicie seksowny wypchany królik.

Wzdłuż każdej przecznicy w dwóch albo trzech domach za zasłonami paliły się przyćmione światła. W epoce, gdy nadawano serial z Nikki Cox, o tak późnej porze

można było zobaczyć trzy razy mniej oświetlonych okien. Teraz nastąpiła dekada – a może stulecie – bezsenności.

–Dokąd jedziemy? – zainteresowała się Linda.

–Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

–Dokądkolwiek jedziemy, uzgodnijmy jedną rzecz.

–Jaką?

–Ani słowa więcej o tej cholernej Nikki Cox.

–Właśnie przypomniałem sobie imię królika: Pan Kłapciaty.

–O nim możesz mówić.

–Myślę, że jesteśmy bezpieczniejsi w drodze. Koniec z hotelami.

–Cieszę się, że przechodząc na drugi balkon, nie spadłeś i się nie zabiłeś.

–Ja też się z tego cieszę. Przez jakiś czas pojeździmy sobie i spróbujemy to przemyśleć.

–Myślałam, że spadniesz. Gdybyś spadł, to byłaby moja wina.

–A to dlaczego?

–Nie byłoby cię tutaj, gdyby ktoś nie chciał mnie zabić.

–Więc przestań robić rzeczy, z powodu których ludzie chcą cię zabić.

–Popracuję nad tym.

Z każdą mijaną przecznicą w Timie umacniało się przekonanie, że w dalszym ciągu nie są bezpieczni. Balansowali na rozciągniętej nad otchłanią, zawieszanej na przerdzewiających uchwytach linie.

Co chwila zerkał we wsteczne i w boczne lustro, spodziewając się pościgu.

–Mam przyjaciółkę. Nazywa się Teresa i mieszka w Dana Point – powiedziała Linda.

– Wyjechała na tydzień z domu, ale wiem, gdzie trzyma zapasowy klucz.

Gnane wiatrem liście magnolii sunęły rynsztokiem niczym podniecone szczury.

–Tim? Nie moglibyśmy się u niej zaszyć?

Chociaż szybkościomierz pokazywał zaledwie trzydzieści mil na godzinę, intuicja podpowiadała mu, że jedzie za szybko, że wpadnie w kłopoty, nim zdąży się zorientować. Zwolnił do dwudziestu, a potem do piętnastu mil na godzinę.

–O co chodzi? – zapytała, wpatrując się w noc.

–Nie czujesz tego?

–Czuję, że ty to czujesz, ale nie wiem, co to jest.

–Kamień – powiedział.

–Kamień?

–Wyobraź sobie bardzo wysokie urwisko.

Prowadzące z południa na północ uliczki były niczym zęby grzebienia – wszystkie kończyły się przy biegnącym ze wschodu na zachód trzonie. Tim po raz kolejny skręcił w lewo, w stronę trzonu grzebienia i odkrył, że ten kończy się przy skrzyżowaniu z ostatnią biegnącą z południa na północ uliczką.

–Urwisko? – przypomniała mu.

–Urwisko tak wysokie, że nie widzisz jego szczytu ginącego gdzieś we mgle. Nie tylko wysokie, ale z wiszącym niczym w łamiącej się fali nawisem. My żyjemy w dole, w jego cieniu.

Tim skręcił w lewo, w ostatnią uliczkę na osiedlu. Po obu jej stronach stały domy. Światła reflektorów omiotły kilka zaparkowanych przy krawężniku samochodów.

–Czasami wielkie kamienie odrywają się od nawisu wysoko nad nami – mówił, zwalniając do dziesięciu mil na godzinę. – Odrywają się zupełnie bezszelestnie. Nie słyhać, jak lecą, te wielkie, bezgłośnie kamienie, ale powietrze... być może ugina się pod ich ciężarem, kiedy się zbliżają. I to właśnie czujesz.

Każda z tutejszych uliczek miała trzy przecznice z domami po obu stronach. Jedynie przy ostatniej uliczce, na odcinku drugiej i trzeciej przecznicy, domy stały tylko po lewej stronie.

Po prawej ciągnęły się tereny zielone z boiskami pogrążone o tej porze w głębokim mroku.

Spadający bezgłośnie kamień, bezszelestne tsunami wyprzedzające czyniony przez siebie hałas, ziemia, pod którą biegnie nieznana nikomu linia uskoku...

W ciągu ostatnich godzin powróciła do niego wyostrzona niegdyś świadomość

zagrożenia. Teraz była ostra niczym brzytwa.

Wełniane chmury i stale potężniejszy wiatr od dawna zapowiadały burzę, lecz kiedy niebo rozdarły błyskawice, Tima całkowicie to zaskoczyło i o mało nie wcisnął hamulca.

Domy, drzewa i zaparkowane samochody zmrużyły oczy przed oślepiającym światłem, a potem zrobiły to jeszcze raz, gdy blask ponownie rozszczępił niebo, odłupując potężną połąć gromu.

Chociaż cienie wpadły w o wiele większą kontuzję niż wtedy, gdy poruszał nimi tylko wiatr, światło błyskawicy odsłoniło jedną rzecz, której nie było widać w blasku rzadko ustawionych latarni. Pod olbrzymim drzewem laurowym stał, opierając się plecami o jego pień, mężczyzna w ciemnym ubraniu.

Kiedy wychylił się lekko z ukrycia, by spojrzeć w stronę explorera, błyskawica pokryła srebrem jego twarz, upodabniając go do mima. Był Kravetem, Kranem, Kerringtonem, Konradem i Bóg wie, kim jeszcze, kimś tak wszechobecnym, jakby nie był po prostu człowiekiem o stu nazwiskach, lecz setką ludzi dzielących ten sam umysł i misję.

–To niemożliwe – szepnęła Linda, nie mogąc oderwać oczu od upiornej twarzy, która pojawiała się i znikwała w rytmie rozbłysków nieba.

Rozwiązanie zagadki, skąd wzięła się tutaj ta zjawia, można było zostawić na później. Przetrawanie jest ważniejsze od spekulacji.

Tim skręcił w lewo i dodał gazu.

Zabójca wyszedł spod drzewa i podniósł broń, niczym śpiący do dawna w ziemi złośliwy duch, którego wskrzesiło uderzenie pioruna.

Najkrótsze wahanie doprowadziłoby do innego, bardziej krwawego rozwiązania, ale explorer wjechał na krawężnik dokładnie w tej samej chwili, gdy Kravet wyszedł z ukrycia. Zanim zdążył podnieść broń i oddać strzał, musiał uskoczyć do tyłu, by uniknąć przejechania przez samochód.

Gdyby Tim przejechał obok niego lub wrzucił tylny bieg, seria z pistoletu maszynowego roztrzaskałaby przednią i boczną szybę od strony pasażera. Najlepszym wyjściem była jazda wprost na zabójcę.

Cofając się, Kravet upadł.

Tim skręcił w jego stronę, mając nadzieję, że go przejedzie, połamie mu nogi w kostkach, kolana, cokolwiek. Zabójcy udało się jednak cofnąć stopy. Tim dodał gazu i wjechał do parku.

Betonowe stoły piknikowe, betonowe ławki. Drabinki, huśtawki. Wiatr, który bujał na nich duchy dzieci.

Tylna szyba rozprysła się i Tim poczuł, jak kula uderza w tył jego fotela.

Linda zsunęła się w dół na siedzeniu, nim zdążył ją ostrzec.

Kolejny pocisk zadzwonił o metal i terenówka oberwała być może po raz trzeci, ale huk gromu zagłuszył kanonadę mniejszego kalibru.

Znaleźli się poza zasięgiem pistoletu, grozić im mogła co najwyżej zabłąkana kula. Broń miała przedłużoną lufę i zaopatrzona była prawdopodobnie w tłumik, co jeszcze bardziej ograniczało jej zasięg.

Kravet nie będzie tam stał, licząc, że mu się poszczęści. Był facetem, który przez cały czas się przemieszczał.

Pędząc tak szybko, jak się dało, po nieznanym terenie, Tim szukał drugiego końca parku, jakiegoś wyjazdu.

Pulsujące światło burzy wyluskiwało z mroku puste trybuny, drucianą siatkę i boisko baseballowe.

Chociaż ostatnia eksplozja gromu wydawała się dość potężna, by strzaskać każdą tamę, nie padła jeszcze ani jedna kropla deszczu.

Siedząc sztywno w fotelu, Linda podniosła głos, żeby przekrzyczeć szum wiatru wpadającego przez wybitą tylną szybę.

–Wyjechaliśmy z hotelu dziesięć minut temu i już nas znalazł?

–Zawsze będzie nas znajdował.

–Jak to możliwe, że tam na nas czekał? – zdziwiła się Linda.

–Ma wyświetlacz na tablicy rozdzielczej. I wcale nie taki zwyczajny.

–Wyświetlacz na tablicy rozdzielczej? Co przez to rozumiesz?

–Komputerową mapę. Zobaczył układ ulic i domyślił się, że dojedziemy do tamtego miejsca. I tak się stało.

–Namierzył nas? – zapytała, kiedy podskakując na wertepach, ruszyli dnem porośniętego trawą rowu odpływowego.

–Właśnie to sobie uświadomiłem. Mam tu zamontowany transponder. To była dodatkowa opcja: żeby można było odnaleźć skradziony samochód. Gliniarze mogą śledzić złodzieja za pomocą satelity.

–Wolno im tak robić, jeżeli samochód nie został ukradziony?

–W nie większym stopniu, jak mordować na zlecenie, żeby spłacić wcześniej hipotekę.

Rów kończył się u podnóża niskiego wzniesienia i Tim wjechał na górę. Światło burzy wyprało zielen z targanej wiatrem trawy.

–Firma namierzająca samochód nie przekazałaby swoich danych pierwszemu lepszemu zblatowanemu gliniarzowi. Zanim uaktywniliby transponder i zrobili to, co zwykle robią, musiałbyś najpierw zgłosić kradzież.

–On chyba nie załatwia tego przez firmę.

–Więc przez kogo?

–Znowu mamy do czynienia z budynkiem, w którym siedzą porąbani siostrzeńcy. Włamali się do komputera firmy i przekazują dane z satelity do samochodu Kraveta.

–Nienawidzę tych facetów – mruknęła Linda.

Na szczycie wzniesienia było boisko do piłki nożnej. Tim zobaczył latarnie odległej ulicy i ruszył szybko w jej stronę. Szybkościomierz pokazywał sześćdziesiąt mil na godzinę.

–Więc nie ma sposobu, żeby się go pozbyć – westchnęła.

–Nie ma.

Pierwsze duże krople uderzyły w przednią szybę z głośnymi pacnięciami, niczym owady o twardej skorupie.

–Jeżeli się zatrzymamy, będzie dokładnie wiedział, gdzie jesteśmy. Będzie wiedział i nas dogoni.

–Albo przeanalizuje mapę – dodał Tim – i domyśli się, jaką drogę wybierzemy.

–I znowu będzie gdzieś na nas czekał.

–To mnie jeszcze bardziej niepokoi.

–Gdzie jest ten transponder? Nie możemy się zatrzymać i go wyrwać?

–Nie wiem, gdzie jest.

–Jakie jest najbardziej prawdopodobne miejsce? – zaczęła się zastanawiać.

–Moim zdaniem montują go w najróżniejszych miejscach, w bardzo wielu różnych miejscach, żeby złodziej tak łatwo go nie znalazł.

Mijali kolejne tereny zielone z betonowymi stołami piknikowymi, betonowymi ławkami i betonowymi koszami na śmieci.

–Wszystkie te betonowe meble są jak piknik w gułagu – stwierdził.

–Kiedy byłam małą dziewczynką, w parku były drewniane ławki.

–Ludzie zaczęli je kraść.

–Nikt nie chce betonu.

–Ależ chcą – odparł. – Tylko nie mogą go wynieść.

Dotarli do końca parku, przecięli chodnik i zjechali z krawężnika na jezdnię.

Krople deszczu nie były już nieliczne i duże. Tim włączył wycieraczki.

–Zyskaliśmy trochę czasu – powiedział. – Jeżeli ma tak jak wcześniej zwykły samochód, a nie terenówkę, nie będzie ryzykował drogi przez park. Będzie musiał go objechać.

–Co teraz?

–Chcę zyskać jeszcze więcej czasu.

–Ja też. Jakieś pięćdziesiąt lat.

–I nie chcę zjechać na dół i się na niego nadziać. Jeżeli Skręcimy na rogu i okaże się, że zablokował samochodem ulicę, już po nas. Więc pojedziemy w górę.

–Znasz tak dobrze ten teren?

–Chciałbym go znać. A ty?

–Niezbyt dobrze – przyznała.

Na skrzyżowaniu skręcił w prawo. Mokra jezdnia zaśniła, kiedy niebo przecięła błyskawica.

–Chcę podjechać pod górę – wyjaśnił Tim – minąć dzielnicę willową i grzbiet wzniesienia. Może jest tam jakaś stara wiejska droga, którą moglibyśmy zjechać szybko na południe.

–Za grzbietem wzniesienia jest prawdopodobnie busz.

–Więc mogą być jakieś drogi pożarowe.

–Dlaczego na południe? – zapytała Linda.

–Ważniejsza od kierunku jest dla mnie szybkość. Zanim pozbędziemy się naszego środka lokomocji, chcę mieć pięć minut przewagi.

–Chcesz porzucić explorera?

–Musimy to zrobić. Jeżeli będziemy jechali, aż któremuś z nas zabraknie benzyny, nam przydarzy się to wcześniej. On będzie jechał tuż za nami i nie będziemy mogli wybrać miejsca, w którym zaczniemy uciekać na piechotę.

–Kiedy zameldowaliśmy się w hotelu, myślałam, że mamy chwilę spokoju, że uda nam się wymyślić jakiś plan – poskarżyła się.

–Dopóki to się nie skończy, nie będziemy mieli najmniejszej chwili spokoju. Teraz to rozumiem. Powinienem to przewidzieć wcześniej. Aż do samego końca wszystko jest zawieszane na ostrzu noża.

–Wcale mi się to nie podoba.

–Nie ma powodu, żeby ci się podobało.

–Wszystko sypie się w gruzy.

–Nic nam się nie stanie – zapewnił Tim.

–To nie brzmi jak mowa-trawa, ale chyba nią jest.

Tim nie chciał jej okłamywać.

–Nie chcesz chyba, żebym powiedział, że już po nas?

–Chyba że to prawda. Wtedy to powiedz.

–Moim zdaniem nie.

–Dobrze. To już coś.

W światłach reflektorów srebrzyste strugi deszczu przypominały anielskie włosie, ale nie przywodziło im to raczej na myśl Bożego Narodzenia.

Tim zignorował znaki stopu. Na mokrej jezdni łatwo było wpaść w poślizg.

Kravet spodziewał się, że pomyślą o transponderze i satelitarnym śledzeniu samochodu. Ponieważ zależało im na tym, żeby się od niego dostatecznie oddalić, będzie starał się trzymać jak najbliżej, żeby nie stracić ich z oczu, kiedy porzucą explorera i ruszą na piechotę.

–Naładowałaś pistolet? – zapytał Tim.

–Magazynek jest pełny.

–Masz więcej amunicji w torebce?

–Niewiele. Cztery naboje. Może sześć.

–Nie chcę wdawać się z nim w strzelaninę. To, co trzymał w ręku, wyglądało na pistolet maszynowy.

–Pistolet maszynowy wcale mi się nie podoba.

–W magazynku może mieć trzydzieści kilka nabojów. Jeśli zechce, może go opróżnić w niecałą minutę, strzelać długimi seriami.

–Zdecydowanie powinniśmy unikać strzelaniny.

–Chyba że do niej dojdzie.

–Przyszła mi do głowy niewesoła myśl – oznajmiła Linda.

–Możesz się nią podzielić.

–Czy jesteśmy pewni, że on działa w pojedynkę?

–Takie sprawia wrażenie w barze. Facetom, którzy mają licencję na zabijanie, płaci się przelewem jak wszystkim, a nie wręcza forszę w kopercie.

–Ale jeżeli ma tych wszystkich porąbanych siostrzeńców i Bóg wie, jakie jeszcze techniczne wsparcie, dlaczego widzimy tylko jego?

–Jacyś ludzie wynajęli go, żeby nie można ich było powiązać z twoją śmiercią.

Udzielają mu wsparcia, ale nie wysyłają własnych zbirów. Pociągają tylko za sznurki.

–To było wtedy, kiedy myśleli, że łatwo będzie mnie zabić. Że to będzie wyglądało na kolejny mord seksualnego zbrojnego. Ale teraz już na to nie wygląda.

–Zrobiło się głośno – zgodził się Tim.

–Więc jeśli dojdą do wniosku, że to wymknęło się spod kontroli, mogą udzielić Kravetowi bardziej realnego wsparcia. Co wtedy?

–Wtedy mamy przechłapanie.

–Może nie powinieneś mi jednak mówić prawdy.

Prowadząca pod górę ulica skończyła się przy skrzyżowaniu w kształcie litery T. Nowa ulica biegła z północy na południe wzdłuż najwyższego wzniesienia w miasteczku.

Tim skręcił na południe i przyspieszył. Domy były tu większe i bardziej okazałe niż niżej. Po minięciu dwóch przecznicy trafił w ślepy zaułek.

–Niech to szlag – mruknął, po czym objechał rosnący pośrodku ronda koralodrzew i boleśnie świadom tego, ile stracili czasu, ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyjechali.

Trzy przecznice za skrzyżowaniem północna część ulicy również kończyła się ślepym zaułkiem.

Gdyby zjechali z powrotem w dół poprzeczną ulicą, nadziałiby się na Kraveta. A on widziałby na swoim wyświetlaczu, że się zbliżają.

Tim objechał kolejny koralodrzew, zaparkował przy krawężniku i zgasił silnik i światła.

–Daj mi pistolet – poprosił.

–Co robimy?

–Zapasowe naboje z twojej torebki. Też ich potrzebuję. Szybko.

Linda pogrzebała w torebce i znalazła pięć naboji.

–Mamy, no nie wiem, może dwie minuty – powiedział, wrzucając je do kieszeni koszuli. – Weź swój neseser, torebkę i latarkę.

–Może zatrąbimy? Obudzilibyśmy wszystkich w okolicy.

–Nie. Chodź.

–Będzie zbyt wielu świadków. Kravet nie będzie strzelał.

–Będzie – upierał się Tim. – Nie chcemy, żeby ktoś tu zginął.

Otworzył drzwiczki, wyszedł na deszcz i wiatr i ruszył z powrotem w stronę ronda, które dopiero co okrążyli. Już po kilkunastu krokach był przemoczony do suchej nitki.

W południowej Kalifornii rzadko trafiały się w maju tak rześiste ulewy. Deszcz nie był ciepły, ale Timowi nie zrobiło się zimno.

Pięć stojących przy rondzie domów miało podobną architekturę – od stylu współczesnego z lekkimi akcentami tokańskimi do klasycznego stylu tokańskiego.

Wysokie na sześć stóp mury dzieliły poszczególne posiadłości, zapewniając prywatność każdej rodzinie. Między tymi murami i ścianami domów znajdowały się furtki. Niektóre z nich mogły być zamknięte.

Przy tej pogodzie nie zostawiono na dworze żadnych psów, które mogłyby ich oszukać. Poza tym w dzielnicy, w której każda rezydencja warta była trzy miliony dolarów, psy mieszkaly w domach, stanowiły część rodziny i nikt nie trzymał ich w budzie ani na łańcuchu.

Pięć posesji. Kravet będzie chodził od bramy do bramy. Przeszuka każde podwórko. Ziemia była tutaj droga, z widokiem na ocean, dlatego podwórka miały niewielkie rozmiary. Nie będzie potrzebował nawet pięciu minut, żeby sprawdzić je wszystkie.

Zaraz za ślepym zaułkiem zaczynał się kanion. Za ogródkami opadały porośnięte krzakami i dzikim winem strome zbocza, po których trudno było schodzić.

W podobnych do tego miejskich kanionach żyły grzechotniki, kojoty i rysie. Niebezpieczne górskie lwy rzadko zapuszczały się tak daleko, ale nie można było wykluczyć spotkania i z nimi.

Schodząc do kanionu, Tim nie mógł na początku używać latarki z obawy, że Kravet zobaczy światło. Nie wyobrażał sobie jednak zejścia na dół po ciemku.

Ogródki zapewniały jedynie iluzoryczne bezpieczeństwo, sam kanion również stanowił coś w rodzaju ślepego zaułka.

Linda podeszła do niego. Piękna. Przemoczona.

Niebo rozszczepiło się z głośnym trzaskiem i oślepiło ich ostre światło. Jasne

odłamki zatańczyły w kałużach.

Mógłby przysiąc, że przez dolną ściankę zegarka czuje na skórze odmierzającą czas wskazówkę.

Na podwórku utrzymanego we współczesnym stylu budynku stała umieszczona przez agencję nieruchomości tablica z napisem: NA SPRZEDAŻ. Żaluzje we wszystkich oknach na parterze i na pierwszym piętrze były zasunięte. Mogło to oznaczać, że rezydencja jest pusta.

W prostokątnej ramce nad skrzynką pocztową było miejsce na numer posesji i nazwisko. Numer pozostał w ramce, nazwisko usunięto.

Na frontowych drzwiach nie wisiał żaden sejf z kluczem. Nie musiało to wcale oznaczać, że ktoś tu mieszkał. Nawet jeżeli dom był pusty, właściciele chcieli najprawdopodobniej, by pokazywano go wyłącznie zaaprobowanym kontrahentom, dyskretnie, po wcześniejszym ustaleniu terminu.

Tim oddał pistolet Lindzie i kiedy wzięła go bez komentarza, wyciągnął z ziemi dwa wbite na głębokość sześciu albo ośmiu cali stalowe słupki, na których zamocowana była tablica z napisem: NA SPRZEDAŻ.

Biegająca łukiem przez sąsiednią posesję alejka z ułożonych nieregularnie płyt chodnikowych z obrzeżami z wylanego betonu prowadziła do domu utrzymanego w tradycyjnym tokańskim stylu.

Tim wbił słupki tablicy koło sąsiedniej posesji. Wilgotna ziemia nie stawiała większego oporu. Tablica lekko się przechyliła, ale poza tym była całkiem przekonująca.

Dwie posesje od domu, który naprawdę wystawiono na sprzedaż, jakieś dziecko zostawiło na trawniku rower. Tim złapał go i przeniósł tam, skąd usunął tablicę agencji nieruchomości.

Linda obserwowała go, nie zadając żadnych pytań i niczego nie komentując, nie robiąc zdziwionej miny, lecz analizując wszystko niczym uczennica przyglądająca się równaniom na tablicy.

Tim doszedł do wniosku, że mógłby się w niej łatwo zakochać. Może już się zakochał.

Oddała mu pistolet, zanim o to poprosił.

–Chodź – rzucił, a ona pospieszyła za nim do domu,

który uważał za niezamieszkanie.

Uzbrojone po zęby niebo ciskało w dół jasne włócznie, w powietrzu unosił się swąd, wstrząsy kołysały nocą.

Podeszli do bramy z boku domu. Była zamknięta tylko na zatrask.

Ruszyli ścieżką prowadzącą między domem i murem posesji. Kryte dachem patio z tyłu budynku dawało osłonę przed deszczem.

W oknach kuchni albo jadalni rolety zsunięte były aż do parapetów. W innych oknach wisiały zasłony.

W znajdujących się trochę dalej oszklonych drzwiach nie było żadnych zasłon. Linda oświetliła latarką wnętrze nieumeblowanego salonu.

Tim złapał pistolet za lufę, zaczekał, aż burza znowu wyszczerzy białe zęby, i zsynchronizował uderzenie w szybę z odgłosem gromu. Sięgnął do środka, odnalazł blokadę i otworzył drzwi.

Linda weszła za nim do środka, zamknęła drzwi i przez chwilę stali, nasłuchując. Brak mebli mógł oznaczać tylko jedno: nikt tu nie mieszka.

–W takich miejscach zamontowany jest na ogół alarm – powiedział Tim. – Ale ponieważ utrudnia życie agentom nieruchomości i w domu nie ma niczego wartościowego, często go się wyłącza.

–Jak to wszystko może się dzieć wśród tych domów za miliony dolarów i rozciągającej się na dole, rozmigotanej riwiery? – zapytała Linda, patrząc na patio, ciemny basen, czarną dziurę kanionu, stojące w szeregu na niższych wzgórzach uliczne latarnie i światła nadmorskiego miasta.

–Powiedziałaś chyba, że cywilizacja jest krucha jak szkło...

–Może jest jeszcze gorzej – odparła. – Może jest tylko mirażem.

–Zawsze są tacy, którzy chcą zgasić światła. Na razie mieliśmy szczęście. Zawsze brakuje im trochę do zdobycia większości.

Linda odwróciła się, jakby cały ten widok sprawiał jej ból.

–Czy jesteśmy tutaj bezpieczni?

–Nie.

–Miałam na myśli krótką chwilę.

-Nie. Nawet przez krótką chwilę.

Krait przejechał obok porzuconego explorera. Zamiast zatrzymać się przy krawężniku, stanął przy wysepce pośrodku ronda, gdzie parkowanie było zabronione.

Deszcz go denerwował. Wiedział, że jego ubranie będzie do wyrzucenia.

Nie mógł nic poradzić na burzę. Już dość dawno zdał sobie i niechęcią sprawę, że nie ma wpływu na pogodę.

Przez jakiś czas podejrzewał, że potrafi panować nad żywiołami. Przekonanie to zrodziło się w nim, ponieważ często otrzymywał dokładnie taką pogodę, jaka była potrzebna do przygotowania i popełnienia morderstwa.

Przeczytał kilka książek o psychokinezie, władzy umysłu nad materią. Pewni ludzie potrafili zginać łyżeczki, w ogóle ich nie dotykając. Eksperci od zjawisk paranormalnych twierdzili, że można przenosić obiekty z miejsca na miejsca, wyobrażając sobie, że się przemieszczają.

Krait zgiał kiedyś łyżeczkę, ale nie siłą woli, po prostu z frustracji. Zawiązał ją w supeł.

Zastanawiał się, czy nie złożyć wizyty autorowi, który napisał książkę o rozwijaniu w sobie zdolności psychokinetycznych. Miał ochotę zmusić faceta do połknięcia związanej w supeł łyżeczki.

Krait lubił zmuszać ludzi do połykania rzeczy, których nikt nie chciał połykać. Nie wiedział, dlaczego sprawiało mu to przyjemność, ale odkąd sięgał pamięcią, nic nie dawało mu większej satysfakcji.

Z powodu niezwykłych kształtów i rozmiarów niektórych rzeczy ludzie, których zmuszał do ich połknięcia, często konali w trakcie tej czynności. Z tego względu uznał, że lepiej nie zaczynać wieczoru od najlepszego numeru, lepiej zachować go na później.

Kiedy ludzie byli martwi, nie można było z nimi już wiele zrobić.

Autor piszący o psychokinezie napisał również kilka książek o przepowiadaniu przyszłości. Być może były przydatniejsze od tekstów o zginaniu łyżeczek, lecz Krait nie był nimi zainteresowany.

On znał już przyszłość. Tworzył ją.

Przyszłość nie powinna wzbudzić entuzjazmu większości ludzi, ale Krait nie mógł się doczekać, żeby się tam znaleźć. Wiedział, że spodoba mu się to, jak wszystko będzie wyglądało.

Wysiadł z samochodu, stanął w deszczu i pomyślał o bezchmurnym niebie i gwiazdach. Deszcz padał dalej zgodnie z tym, czego się spodziewał, ale od czasu do czasu nie zaszkodziło spróbować.

Obiektami jego działań były istoty ludzkie, nie łyżeczki ani pogoda. Mógł zrobić istotom ludzkim, co mu się żywnie podobało. W tym momencie miał ochotę zabić dwie z nich.

Na jego elektronicznym wyświetlaczu explorer zatrzymał się mniej więcej minutę i czterdzieści sekund przed tym, jak on sam skręcił w lewo na skrzyżowaniu w kształcie litery T. W ciągu minuty i czterdziestu sekund nie zdołali daleko dotrzeć.

Nie mogli minąć domów i wejść do kanionu, nie przy tej ulewie i po ciemku.

Gdyby pobiegli na południe w stronę skrzyżowania, zobaczyłby ich, kiedy podjeżdżał na ostatnie wzgórze.

Krait stał na wysepce pośrodku ronda, pod konarami wielkiego drzewa koralowego, i obserwował pięć domów. W ani jednym oknie nie paliło się światło.

W dzisiejszych czasach żadna zdrowa na umyśle osoba nie otworzyłaby o czwartej nad ranem drzwi i nie wpuściłaby do środka dwojga nieznajomych.

Przy każdym domu była furtka prowadząca na tylne podwórko. Krait miał nadzieję, że nie będzie musiał sprawdzać wszystkich pięciu rezydencji.

Trzymając zaopatrzonego w tłumik Glocka przy boku, lufą do ziemi, zszedł z wysepki. Idąc ulicą, studiował każdą posesję, wypatrując jakichś odstępstw od normy.

Trzymane na uwięzi światło uciekło z nieba i pognało po lśniąącym asfalcie.

Krait od dawna pragnął zobaczyć, jak kogoś trafia piorun, trafia porządnie i na dobre. Gdyby był w stanie panować nad pogodą, zaaranżowałby wiele spektakularnych kremacji.

Poraził kiedyś prądem kąpiącego się w wannie biznesmena, ale to było zupełnie coś innego. Gałki oczu mężczyzny wcale się nie roztopiły i jego włosy nie zajęły się ogniem.

Światło błyskawicy wyłuskało z mroku tablicę z napisem: NA SPRZEDAŻ, którą

umieszczono przed domem w tokańskim stylu, trochę zbyt wyszukany jak na jego gust. Tablicy nie ustawiono tak, jak trzeba. Nie stała równolegle do ulicy i była przechylona: z jednej strony wyższa, z drugiej niższa.

W oknach na piętrze wisiały zasłony, ale okna na parterze nie były niczym zasłonięte. W żadnym z pograżonych w mroku pokoiów nie zobaczył wpatrujących się weń bladych twarzy.

Obok stał dom w nowoczesnym stylu, który mu się spodobał. Gdyby właściciele przebywali poza domem, mógłby nawet tam spędzić cały weekend, poznając ich marzenia, nadzieje i sekrety. Oczywiście pod warunkiem, że byli schludni.

Na trawniku leżał rower. To wzbudziło w nim pewne wątpliwości co do porządku panującego wewnątrz. Skoro dziecka nie nauczono sprzątać po sobie, rodzice są najprawdopodobniej abnegatami.

Mimo to nie chciało mu się wierzyć, że ludzie, którzy preferują tak czyste linie architektoniczne, mogą być w życiu prywatnym nieuporządkowani.

Wszystkie okna na obu poziomach były zasłonięte żaluzjami.

Przed frontowymi drzwiami stała elegancka donica z piaskowca. Powinno w niej rosnać jakieś karłowate drzewko, a pod nim może sezonowe kwiaty. Donica była jednak pusta.

Krait przyjrzał się oknom i donicy. Zerknął na rower, a potem na tablicę z napisem: NA SPRZEDAŻ na podwórku sąsiedniego domu.

Deszcz zniszczył jego ubranie, lecz jednocześnie uspokoił go i usunął spowijające umysł pajęczyny. Miał niezwykłą jasność myśli.

Złapał lewą ręką kierownicę roweru i odsunął go na bok. Na trawniku, gdzie wcześniej leżał, były dwa jasne miejsca. Przy-kucając, by przyjrzeć im się bliżej, zobaczył dwa mające trzy albo cztery cale średnicy kręgi zeszcłej trawy.

Pośrodku każdego kręgu było ciemniejsze miejsce. Macając palcami, odkrył dziury w ziemi. Odległość między nimi równa była tej, która dzieliła słupki podtrzymujące tablicę z napisem: NA SPRZEDAŻ na sąsiednim podwórku.

Timothy Carrier wiedział, że jeżeli ten dom będzie w oczywisty sposób wyglądał na niezamieszany, Krait właśnie tam skieruje pierwsze kroki. Był zaskakująco bystry jak na murarza.

Schodząc z trawnika na chodnik, Krait nadepnął na coś, co przeturlało się pod jego butem.

Rozświetlające niebo rozbłyski pełgały po płynącej chodnikiem wodzie, muskając mosiężny przedmiot, który na krótko zaśnił srebrem.

Kiedy pochylił się, żeby go podnieść, błyskawica wskazała drugi identyczny obiekt leżący tuż obok pierwszego. Dwa naboje kalibru dziewięć milimetrów.

Była to jedna z owych chwil, gdy uświadamiał sobie ponad wszelką wątpliwość, że nie należy do rodzaju ludzkiego i stoi od siego wyżej. Był rzeczywiście utajonym księciem. Los potwierdzał jego wysoką godność, podsuwając mu te dwa nie wystrzelone naboje, dowód, iż zaszyła się tutaj ścigana przez niego zwierzyna.

Nie można było wykluczyć możliwości, że te dwa upuszczone naboje były tymi, którymi Carrier po wystrzeleniu innych mógł go zranić, a nawet zabić. Los nie tylko wskazywał mu drogę pomyślnego zakończenia misji, lecz utwierdzał w przekonaniu, że przynajmniej tej nocy jest niezniszczalny, a być może nawet okaże się nieśmiertelny.

Piorun i błyskawica zdawały się składać mu hołd.

Włożył naboje do kieszeni spodni.

Jeżeli wszystko pójdzie gładko i będzie miał dość czasu, być może zmusi kobietę do połknięcia nabojów, zanim wciśnie jej do gardła reprodukcję dzieła sztuki.

Nie mógł ryzykować wzięcia Carriera żywcem. Murarz był zbyt duży i nieprzewidywalny.

Gdyby jednak przy odrobinie szczęścia zdołał go unieszkodliwić celnym strzałem w kręgosłup, jego również mógłby zmusić do połknięcia jakiegoś przedmiotu. Można by mu podać na widelcu jakąś wybraną część jego ciała.

Nie mając zbyt wiele czasu i specjalistycznego sprzętu, Carrier i kobieta musieli zakraść się na tyły domu, gdzie nie było ich widać z ulicy, i stłuc szybę w oknie lub drzwiach kuchennych.

Znalazłszy się w środku, mogli wejść na piętro, żeby zająć pozycję obronną u szczytu schodów.

Mogli też strzec okna lub drzwi, przez które weszli, mając nadzieję, że postrzelą go, kiedy będzie szedł ich śladem. Tak jakby kiedykolwiek zachowywał się aż tak przewidywalnie.

Stając przy bocznych drzwiach do garażu, Krait bezszelestnie użył swojego ukochanego pistoletu do otwierania zamków.

Po wejściu zapalił światło. W garażu mogły się pomieścić trzy pojazdy, ale nie było ani jednego.

Porządne laminowane szafki pozwalały łatwo utrzymać porządek. Otworzył kilkoro drzwiczek. Wszystkie półki były puste.

To stanowiło wystarczający dowód. Nikt tu nie mieszkał.

Drzwi z garażu do domu prowadziły prawdopodobnie do pralni albo służbowego holu. Carrier i kobieta nie powinni raczej szukać schronienia w żadnym z tych pomieszczeń.

Krait posłużył się lockaidem. Trzaski i kliknięcia wewnątrz zamka zostały zagłuszone przed odgłosy burzy.

W padającym z garażu świetle rozpoznał pralnię, tak przestronną, że mieściła się w niej również maszyna do szycia oraz stanowisko do pakowania prezentów z zainstalowanymi na ścianie rolkami ozdobnego papieru.

Drzwi po drugiej stronie były zamknięte.

Po wejściu do pralni Krait spostrzegł wiszący na ścianie panel sterujący firmy Crestron. Jak przystało na rezydencję tej wielkości, dom był skomputeryzowany.

Dotknął panelu i ekran rozjaśnił się, oferując mu różne opcje sterowania, wśród których były ZABEZPIECZENIA, OŚWIETLENIE i MUZYKA.

Wcisnął OŚWIETLENIE i na ekranie ukazała się lista stref wewnątrz i zewnątrz domu. Mógł zapalać i gasić światła w każdym jego punkcie, korzystając z tego lub

zamontowanych w innych miejscach paneli.

Wśród wielu opcji były również ZAPALIĆ WSZYSTKIE WEWNĘTRZNE i ZAPALIĆ WSZYSTKIE ZEWNĘTRZNE. Zwierzyna, którą ścigał, oczekiwała, że wejdzie po ciemku, i miała zamiar to wykorzystać. Lecz Krait, który starał się nigdy nie robić tego, czego oczekuje od niego przeciwnik, wcisnął opcję ZAPALIĆ WSZYSTKIE WEWNĘTRZNE i we wszystkich pomieszczeniach w domu natychmiast zabłyśło światło.

Za pralnią był służbowy hol. Trzymając broń w wyprostowanych rękach, Krait przeszedł nim do nieumeblowanego pokoju rodzinnego. W szerokim na całą ścianę centrum domowej rozrywki znajdował się olbrzymi telewizor plazmowy. Barek z granitowym blatem był dość gustowny.

W prowadzących na taras oszklonych drzwiach zbito jedną z szybek. Okruchy szkła leżały na podłodze wyłożonej płytami z wapienia.

Podobnie jak Krait Carrier i kobieta przemokli do suchej nitki. Jasne płyty pociemniały w miejscach, w których wchłonęły wodę.

Kierując lufę Glocka w prawo i w lewo i wypatrując ruchu na obrzeżach pola widzenia, Krait wszedł ostrożnie do połączonej z salonem kuchni. Tutaj także podłoga wyłożona była płytami z wapienia i tutaj także były zachlapane.

W jadalni również nie było mebli, ale podłogę wyłożono białą wykładziną dywanową. Uwagę Kraita przyciągnęły widniejące na niej plamy.

Po przejściu dwóch kroków w głąb jadalni para najwyraźniej wytarła energicznie stopy o nieskazitelny dywan. Zastanawiał się, dlaczego tak koszmarne pobrudzili doskonałą wełnę.

Dopiero pośrodku wyłożonego podobną wykładziną salonu uświadomił sobie, że wytarli buty, aby zostawić mniej wyraźny ślad. Sama woda nie zmieniała koloru włókien i trudno było ją spostrzec na grubo tkanej wełnie. Nie potrafił już ustalić, którądy szli przez dom.

Za łukiem, na prawo od salonu, znajdował się hol wejściowy, z którego wchodziło się do następnych pokoi. Schody prowadziły na pierwsze piętro.

Po lewej, północnej stronie salonu były podwójne drzwi do kolejnego pomieszczenia.

Krait był przekonany, że jego zwierzyna uciekła na piętro. Nie chcąc jednak zostawić za sobą nie spenetrowanych pomieszczeń, uchylił jedno ze skrzydeł drzwi i zajrzał szybko znad lufy Glocka do biblioteki, w której nie było ani książek, ani

intruzów.

Wszedł do holu wejściowego. Na drewnianej podłodze lśniły krople wody, ale pozostawione były w zbyt wielu miejscach, by wskazać oczywisty trop.

Za kolejnymi drzwiami znajdowała się domowa siłownia dość duża, by zmieściło się w niej szereg różnych urządzeń pozwalających na regularne ćwiczenia. W środku nie było żadnego sprzętu, ale trzy ściany wyłożono sięgającymi od sufitu do podłogi lustrami.

Mnogość zwierciadeł wstrzymała Kraita w pół kroku.

Subtelne odwrócenie obrazu sprawiało, że lustra wydawały się oknami do innego świata stanowiącego dokładne przeciwieństwo tego, w którym się znajdował, świata, gdzie wszystko wydawało się znajome, lecz było w rzeczywistości zupełnie inne.

Wszystko, co uważano za złe po tej stronie lustra, po drugiej mogło zostać ocenione jako dobre. Prawda mogła być tam kłamstwem, przyszłość mogła poprzedzać przeszłość.

To panoramiczne lustro podniecało go bardziej niż inne widziane do tej pory, ponieważ krzyżowe odbicia odsłaniały nie tylko jeden, lecz wiele obcych światów, każdy zawarty w innych, każdy obiecujący absolutną władzę, której pożądał, ale której nie mógł zdobyć po tej stronie lustra.

Stał przed licznymi Kraitami, z których każdy miał swojego własnego Glocka, i patrząc na nich, nie widział zwykłych odbić, lecz repliki, podobnie jak on świadome, obdarzone oddzielnymi tożsamościami w innych wymiarach. Stał się całą armią i poczuł w sobie siłę wielości, brutalność grupy, bezwzględność żądającego roju. Podniosło go to na duchu i poczuł przyjemny dreszcz.

Na ziemię sprowadziło go nagle uświadomienie sobie, jak wygląda. Dreszcz odebrał fason jego ubraniu. Nie widać było, że zostało uszyte z pierwszorzędných materiałów. Włosy przykleiły mu się do czaszki.

Każdy mógł go wziąć za bezdomnego włóczęgę, bez grosza przy duszy. To, jak wyglądał, sprawiło go w zażenowanie.

Zażenowanie przypomniało mu incydent w hotelu, kiedy Carrier wyprowadził go w pole, zmieniając pokoje.

Wszyscy Kraitowie we wszystkich lustrzanych światach przemówili nagle niczym jeden mąż, ale słycać ich było tylko w ich własnych domenach. Pojedynczy głos pojedynczego Kraita wymówił na głos słowa, które inni powiedzieli bezgłośnie.

–Znowu to zrobił.

Krait wyszedł z siłowni do głównego holu.

Nie wspiął się po schodach na piętro. Piętro nie było ważne. Murarz i ta dziwka nie czaili się na piętrze, żeby bronić schodów, korzystając z uprzywilejowanej wyższej pozycji. W ogóle tam nie zawędrowali.

Wyszli, kiedy tylko zapaliły się światła.

Drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz. Nic dziwnego. Nie mieli klucza, żeby zamknąć je od zewnątrz.

Otworzył drzwi i do środka wpadły strugi deszczu.

Zostawiając za sobą otwarte drzwi, ruszył alejką w stronę ulicy.

Explorer zniknął.

Deszcz zacinał ostrzej niż przed kilkunastoma minutami. Piekła go od tego twarz.

Chociaż kanonada grzmotów nie była już taka głośna, kolejna błyskawica rozdarła niebo i Krait się skrzywił. Przez ułamek sekundy myślał, że trafi go piorun.

Spojrzał na rower i na tablicę z napisem: NA SPRZEDAŻ.

Z kieszeni spodni wyjął dwa naboje kalibru dziewięć milimetrów. Ten trop za bardzo do wszystkiego pasował. Naboje nie zostały upuszczone. Podrzuciono je na chodnik.

Schował je do kieszeni. Powinny mu się do czegoś przydać.

Podszedł do wysepki pośrodku ronda. Granatowy chevrolet czekał tam, gdzie go zaparkował.

Obszedłszy samochód dookoła i stwierdziwszy, że z opon nie zostało spuszczone powietrze, usiadł za kierownicą i wyłączył burzę.

Silnik zapalił za pierwszym razem. Nie spodziewał się tego.

Tablica rozdzielcza rozjaśniła się, ale nie wszystkie zegary działały. Carrier przestrzelił ekran elektronicznej mapy.

Krait mógł wysłać zakodowaną wiadomość, w której wyjaśniłby swoją sytuację i poprosił, by exploraera śledziła jego grupa wsparcia, umożliwiając mu cokolwiek spóźniony pościg.

Szkoda było jednak na to czasu. Carrier skorzystał ze swojej terenówki wyłącznie po to, żeby stąd uciec. Porzuci ją w ciągu kilku minut i przesiądzie się do pierwszego lepszego pojazdu, jaki się nawinie.

Nie oznaczało to wcale, że Krait nie zrealizuje swej misji. Dopiero ją zaczął.

Człowiek mniejszego formatu mógłby poddać się emocjom, pozwolić, by ogarnęły go złość, desperacja lub obawy. Krait nie zamierzał sobie na to pozwolić.

Przewyciężył już zażenowanie, które ogarnęło go, gdy zdał sobie sprawę z tego, co się stało. Zresztą zażenowanie nie było właściwym słowem. Czuł co najwyżej łagodne rozgoryczenie.

Objechał rondo i ruszył z powrotem w stronę skrzyżowania.

Prawdę mówiąc, słowo „rozgoryczenie” było zbyt mocne na określenie tego, co poczuł w lustrzanej sali do ćwiczeń. Trafniej byłoby to określić mianem dyskomfortu. Poczuł dyskomfort na myśl, że dał się nabrać przez dwa porzucone naboje.

Osoba o dojrzałej psychice szuka pozytywów w każdej sytuacji, ponieważ żadne doświadczenie nie jest całkowicie negatywne.

Ostatnie wypadki dały mu czas, by zastanowić się nad tym, co wydarzyło się w ciągu minionych dziewięciu godzin. Refleksja jest czymś pozytywnym.

Skręcając na skrzyżowaniu w dół i zjeżdżając w stronę wybrzeża, uznał, że słowo „dyskomfort” również nie oddaje dobrze jego sytuacji.

Doznał zawodu. Tak, to właściwe określenie. Przy czym nie zawiódł się na sobie samym. Rozczarował go świat, który nadal od czasu do czasu synchronizował swoje wysiłki, żeby pomieszać mu szyki.

Aby oddać się konstruktywnej refleksji, potrzebował miejsca, gdzie mógłby się odprężyć, poczuć swobodnie. Nigdy nie pociągały go tawerny, kawiarnie i bary.

Był domatorem i w zasadzie zadowalał go każdy dom spełniający wymogi dotyczące czystości.

Po odbytej o wpół do pierwszej w nocy rozmowie z Timem, którego poinformował o telefonie od Hitcha Lombarda, Pete Santo postanowił uciąć sobie dwugodzinną drzemkę. Po przebudzeniu miał zamiar nadal szukać informacji, które pozwoliłyby mu ustalić prawdziwą tożsamość najemnego zabójcy.

Nieśmiała Zoey nie chciała wskoczyć na łóżko i spać przy jego stopach. Zwinęła się w kłębek w swoim kojcu w rogu pokoju.

Jej odmowa stanowiła dość przekonujący dowód, że będzie miał złe sny. Być może skłonność do złych snów poprzedzona była subtelnymi zmianami chemicznymi, które pies, obdarzony węchem tysiąc razy silniejszym od istoty ludzkiej, potrafił wyczuć. A może Zoey ma zdolności parapsychiczne?

–No chodź. Wskakuj – zachęcił sukę Pete, opierając się

o puchowe poduszki.

Zoey podniosła łeb. W jej smutnych brązowych oczach widać było coś w rodzaju niedowierzania. Albo współczucia.

–Żadnych koszmarów, obiecuję. Czy tatuś kiedykolwiek

cię okłamał? Po prostu chwilę się tutaj zdrzemnę.

Zoey opuściła łeb, zamknęła oczy, położyła pysk między przednimi łapami, tak że oparły się o nie jej obwisłe górne wargi nazywane fafułami.

–Moje nogi pachną dziś wyjątkowo przyjemnie – zapewnił ją. – Będzie ci miło spać z pyskiem tuż przy moich stopach.

Zoey uniosła jedną brew, nie otwierając oczu. Oblizła się. Opuściła brew. Ziewnęła. Westchnęła. Zaproszenie zostało odrzucone.

Nawykły do odmowy Pete także westchnął i zgasił lampę.

Natychmiast zasnął. Zawsze zasypiał. Zасыpanie nigdy nie było problemem. Sztuką było po chwili się nie obudzić.

I oczywiście przyśnił mu się sen. Psy znają się na rzeczy.

Ptaki umierały i spadały w locie, obcięte głowy niemowlaków nuciły słodką i melancholijną melodię, kobieta wrywała sobie włosy z głowy, ponieważ nie miała nic innego, co mogłaby złożyć w ofierze.

Pete obudził się o 2.48, wymacał przełącznik i zapalił lampę.

Zoey obserwowała go ze smutkiem ze swojego kojca.

Wziął szybki prysznic, ubrał się i zrobił sobie dzbanek kawy tak mocnej, że mógł od niej skorodować ekspres.

O 3.22 zasiadł przy biurku w gabinecie i zaczął surfować po sieci, popijając atramentowoczarny wywar i skubiąc orzechowe ciasteczka swojej matki.

Jego mama była marną kucharką i jeszcze gorszą piekarką. Ciasteczka były nawet niezłe w smaku, ale tak twarde, że można było sobie połamać na nich zęby.

Mimo to jadł je. Dumna ze swoich wypieków dała mu całą stertę na wielkim półmisku. Nie mógł ich wyrzucić. Była jego matką.

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo koszmarów minęło, Zoey wcisnęła się pod biurko i położyła na jego stopach. Nie domagała się ciasteczek. Mądra suka.

Telefon od Hitcha Lombarda miał z pewnością coś wspólnego z podjętą przez Pete'a próbą odszukania używanych przez Kraveta nazwisk w różnych lokalnych, stanowych i ogólnokrajowych policyjnych bazach danych. Tym razem miał zamiar trzymać się z daleka od tego rodzaju zastrzeżonych źródeł. Wpisanie tam przez niego nazwisk Kraveta uruchomiło wewnętrzny alarm, wskazując, że ktoś węszy tam, gdzie nie powinien.

Przeogłowanie wszystkich nazwisk i sprawdzenie wyników było bez wątpienia żmudnym zadaniem. Mnóstwo osób nosi na przykład nazwisko Robert Krane.

Musiał dołączyć do każdego nazwiska jakieś słowa klucze. Biorąc pod uwagę, że nazwisko Krane i większość innych związane było z kalifornijskimi prawami jazdy oraz kalifornijskimi, chociaż fałszywymi adresami, Pete dopisał w okienku „Kalifornia”.

Tim dostarczył mu tragicznie mało informacji, tak jakby ujawnienie jakichkolwiek faktów na temat tej kobiety mogło ją wpędzić w jeszcze większe kłopoty niż te, w których się aktualnie znajdowała. Papuga, kubek, jajka i tarta nie nadawały się na słowa klucze.

Kimkolwiek był człowiek o wielu nazwiskach, logika podpowiadała, że musi być związany z jakimiś służbami po tej lub innej stronie prawa. Dlatego Pete dodał do listy słowo „policja” i rozpoczął poszukiwania.

Kilka nazwisk później, o 4.07 trafił na brutalne zabójstwa w kawiarni Cream Sugar. Niejaki Roy Kutter z San Francisco przez czterdzieści osiem godzin znajdował się w

związku z tą zbrodnią w kręgu zainteresowania policji, co w języku politycznej poprawności oznaczało, że był o nią podejrzewany.

Jedno z używanych przez Kraveta nazwisk brzmiało Roy Lee Kutter.

Przeglądając relacje prasowe na temat śledztwa prowadzonego w sprawie Cream Sugar, Pete od razu uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. Nie potrzebował wyczulonego psiego węchu, żeby zorientować się, że to śmierdząca sprawa.

Instynkt psa gończego kazał mu podjąć trop i ochoczo zabrał się do pracy, traktując każdą relację niczym serię reporterskich zdjęć, powoli wyrabiając sobie szerszy pogląd na śledztwo.

O godzinie 4.38 przestał działać kabel i stracił połączenie z Internetem.

Jego operator kablowy był solidny. Przerwy serwisowe były na ogół krótkie.

Czekając na wznowienie połączenia, poszedł do łazienki i się wysikał.

W kuchni dolał sobie kawy.

Odchodząc z pełnym kubkiem od ekspresu, odkrył, że Zoey przyszła za nim do kuchni.

Jej natarczywe spojrzenie, podniesiona głowa i ogólne ożywienie mogły wskazywać, że ma ochotę wyjść do ogródka. Nie machała jednak ogonem, a pewien swobodny rodzaj merdania zawsze stanowił część składową sygnału, że chce zrobić siusiu.

Pete odstawił kubek i wziął z pralni ręcznik kąpielowy. Kiedy suka wróci z deszczu, będzie ją musiał wytrzeć do sucha.

–No dobrze – powiedział, otwierając tylne drzwi. –

Chcesz się odpryskać, malutka?

Zoey podeszła do drzwi, stanęła w progu i spojrzała w głąb ogródka.

–Zoey?

Uniosła uszy. Jej czarne nozdrza rozszerzyły się i zadrżały, gdy łowiła dobiegające z zewnątrz zapachy.

Wyładowania atmosferyczne się skończyły. Zresztą nigdy nie bała się piorunów. Jak większość retrieverów lubiła chodzić po deszczu – ale nie tym razem.

–Jest tam kojot? – zapytał Pete. Zoey zrobiła krok do tyłu.

–Szop pracz?

Zoey wymaszerowała z kuchni.

Pete zapalił zewnętrzne światło i wyszedł na werandę. Nie zobaczył niczego niezwykłego i usłyszał tylko deszcz.

Kiedy wrócił do domu poszukać Zoey, odnalazł ją w salonie. Stała przy frontowych drzwiach.

Otworzył drzwi i suka ponownie wbiła wzrok w noc. Nie chciała przestąpić progu.

W jej gardle wezbrał niski dźwięk. Można go było nawet błędnie uznać za warczenie. Zoey nigdy nie warczała.

Zadzwoił telefon. O 4.46 nad ranem.

Zoey pobiegła do gabinetu z uniesionymi uszami i podwiniętym ogonem. Pete podążył za nią.

Telefon zadzwonił ponownie.

Spojrzał na aparat. Numer dzwoniącego był zastrzeżony.

Po czwartym dzwonku przeszedł do sypialni. Jego służbowy pistolet i kabura firmy Galco Jackass leżały w szafie na półce. Do kabury dołączona była kieszka na amunicję z dwoma zapasowymi magazynkami.

Kiedy ją zapinał, telefon przestał dzwonić.

Pete wrócił do gabinetu i usiadł za biurkiem.

Zoey nie chciała położyć się przy jego stopach, gdzie wcześniej było jej tak wygodnie. Stała przy biurku, czujnie się w niego wpatrując. Najwyraźniej spodziewała się koszmaru.

Połączenie kablowe nie zostało przywrócone.

Pete wyłączył komputer i przez chwilę siedział bez ruchu, zastanawiając się nad sprawą Cream Sugar.

Telefon zadzwonił ponownie.

Jego portfel i odznaka leżały na biurku. Włożył je do tylnych kieszeni.

Z szafy w gabinecie wyjął ocieplaną kurtkę z kapturem i włożył ją.

Zoey towarzyszyła mu do kuchni, gdzie zabrał kluczyki z kołka.

Telefon przestał dzwonić.

–Ubieramy się – powiedział w garażu i suka od razu podeszła bliżej, żeby mógł jej założyć obrozę i przypiąć do niej smycz.

Kiedy otworzył tylną klapę mercury mountaineera, wskoczyła na miejsce przeznaczone na bagaż.

Pete zamknął na klucz drzwi między garażem i domem. Wcześniej już zamknął frontowe i tylne drzwi w domu. Z rozmysłem zostawił zapalone światła.

Każdą kolejną czynność wykonywał szybciej, z coraz większą ekonomią ruchu. Był w stanie pełnej gotowości. Być może uda mu się zdążyć.

Toczący się na południe nadmorską autostradą wiekowy autobus roztaczał wokół siebie wyrazisty zapach biopaliwa. W tym miesiącu mogła to być mieszanka etanolu, olej arachidowy, przerobiony tłuszcz z barów szybkiej obsługi albo jakiś ekstrakt z genetycznie zmutowanych gigantycznych ziaren soi.

Tim wyprzedził behemota, przejechał szybko pięć następnych przecznic, zaparkował przy restauracji i porzucił explorera, tym razem prawdopodobnie na zawsze.

Po drodze minął trzy przystanki autobusowe. Razem z Lindą przebiegli z powrotem dwie przecznice, cofając się do najbliższego z nich i tam zaczekali na swój wonny środek transportu.

Niesione wiatrem krople deszczu smagały ich twarze pod wiatą.

Na godzinę przed świtem ruch na ulicach się zwiększył. Mlaskanie toczących się po mokrym asfalcie opon miało w sobie coś lodowatego, przypominało chrzęst śniegu pod płozami pędzących po stoku sanek.

Wsiedli do autobusu i upewniwszy się, że dojeżdża do Dana Point, ruszyli przejściem do tyłu.

To był jeden z pierwszych tego dnia autobusów i wioził niewielu pasażerów – w większości kobiety jadące do ciężkiej pracy, która zaczynała się wcześniej.

Żadna z nich nie była przemoczona. Miały parasolki. Niektóre przyglądały się Timowi i Lindzie ze współczuciem. Inne uśmiechały się z wyższością.

Linda zaprowadziła go do ostatniego rzędu foteli, daleko od najbliższego pasażera, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać.

–O co chodziło? – zapytała.

–O co chodziło w czym?

–Nie mogliśmy zaparkować bliżej przystanku?

–Nie.

–Bo nie chcesz, żeby wiedział, że wsiedliśmy do autobusu?

–Nie chcę, żeby natychmiast doszedł do takiego wniosku. I tak to dość szybko odkryje.

W Dana Point mieszkała jej przyjaciółka Teresa, która wyjechała akurat ze znajomymi na tydzień do Nowego Jorku. Mieli zamiar przez krótki czas skorzystać z jej gościny.

–Naprawdę myślisz, że namierzą ten autobus i przesłuchają kierowcę?

–Naprawdę tak myślę.

–Nie zapamięta nas – powiedziała.

–Spójrz na nas. Dwie zmokłe kury.

–Pada deszcz.

–Zapamięta nas – upierał się Tim.

–Kiedy nas wysadzi, przejdziemy kilka przecznic do jej domu. Nie będą mieli pojęcia, dokąd poszliśmy, poza tym, że jesteśmy gdzieś w Dana Point.

–Może porąbani siostrzeńcy mają dostęp do billingów telefonicznych. Kiedy ostatni raz dzwoniłaś do Teresy?

Linda zmarszczyła czoło.

–No tak. Mogą zdobyć wszystkie numery, pod które regularnie dzwonię w Dana Point.

–Owszem.

–I mając te numery, mogą ustalić adresy.

–Zgadza się. Kiedy następnym razem zakradnie się blisko nas, nie będzie nam tak łatwo się wywinąć.

–Nie wydawało mi się to takie łatwe.

–Bo nie było. Więc lepiej nie dopuszczajmy go zbyt blisko, zanim nie będziemy gotowi.

–A będziemy gotowi?

–Nie wiem.

–Nie bardzo wiem, jak można być gotowym na kogoś takiego jako on.

Tim nie odpowiedział i przez chwilę jechali w milczeniu.

–Wciąż się nad tym zastanawiam – odezwała się Linda. – Co ja takiego zrobiłam? Przecież nic nie zrobiłam.

–To nie chodzi o coś, co zrobiłaś.

–Nie może o to chodzić.

–Chodzi o coś, co wiesz.

Zielone oczy znów zabrały się do pracy, próbując go otworzyć podobnie jak otwiera się zamykaną próżniowo puszkę.

–Wiesz coś, co może bardzo zaszkodzić komuś ważnemu – dodał.

–Od lat nie robiłam niczego poza pisaniem wyciskających łzy powieści. Nic o nikim nie wiem.

–To jest coś, o czym nie masz pojęcia, że wiesz.

–Z pewnością.

–Coś, co usłyszałaś, coś, co zobaczyłaś. W tamtym czasie nie zwróciłaś na to uwagi.

–Kiedy?

Tim wzruszył ramionami.

–W zeszłym miesiącu. Rok temu. W dowolnym momencie.

–To duży teren do przeczesania.

–Nic ci nie da jego przeczesywanie. Skoro nie wydawało ci się to ważne wtedy, nie wyda ci się i teraz.

–Chcą mnie zabić z powodu czegoś tak błahego, że w ogóle tego nie pamiętam?

–Nie błahego. To coś dużego. Ważnego dla nich, nieistotnego dla ciebie. Jestem prawie całkowicie pewny, że tak to wygląda. Zastanawiam się nad tym, odkąd pojawił się w hotelu.

–Zastanawiasz się nad tym, odkąd otworzyłam drzwi i po raz pierwszy cię zobaczyłam – sprostowała Linda.

–Powiedziałaś, że w takiej dużej głowie jak moja musi być trochę szarych komórek. Zimno ci?

–Mam dreszcze. Ale nie dlatego, że jestem przemoczona. Węzeł coraz mocniej się zaciska, prawda?

–Bez względu na to, jak ciasny robi się węzeł, można zawsze przeciąć linę.

–Jeżeli to rzeczywiście coś tak ważnego, może nie być żadnego wyjścia.

–Zawsze jest jakieś wyjście – stwierdził Tim. – Rzec w tym, że człowiek nie zawsze ma ochotę o nim myśleć.

Linda parsknęła cichym śmiechem.

Na dłuższą chwilę ponownie zapadło między nimi milczenie.

Tim siedział z pięściami na udach. Po przejechaniu mili albo dwóch położyła lewą rękę na jego prawej pięści, a on otworzył dłoń, obrócił ją ku górze i objął jej palce.

Autobus co jakiś czas się zatrzymywał i więcej ludzi wsiadało, niż wysiadało. Żaden z nowych pasażerów raczej nie planował morderstwa.

Pete Santo siedział za kierownicą mercury mountaineera przecznicę od swojego domu.

Kiedy zgasił reflektory i silnik, Zoey przeszła na fotel pasażera. Razem obserwowali ulicę i czekali. Co jakiś czas głaskał ją po karku i za uszami.

Najbliższa latarnia stała wystarczająco daleko, by wewnątrz terenówki spowijał mrok. Rozłożyste gałęzie pinii, pod którą zaparkował, powinny ich ocieniać nawet po wschodzie słońca.

Jeszcze przed godziną nie wyobrażał sobie, że będzie kiedykolwiek prowadził obserwację własnego domu. Ktoś, dla kogo chlebem powszednim jest przemoc i paranoja, musiał świetnie się czuć w tej epoce.

Pete spodziewał się, że goście złożą mu wizytę jeszcze przed wschodem słońca. W rzeczywistości pojawili się dziesięć minut po tym, jak zajął pozycję pod pinią.

Chevrolet suburban zatrzymał się przed jego domem, pod samą latarnią, przodem do innych pojazdów zaparkowanych po tej stronie ulicy. Gościom widać nie zależało na zachowaniu dyskrecji.

Z samochodu wysiedli trzej mężczyźni. Nawet z daleka i w

przeciwdeszczowych płaszczach wyglądali dokładnie tak, jak powinni wyglądać ludzie, którymi byli.

Pete stracił ich z oczu, kiedy podeszli do jego domu. Z tej odległości i miejsca widział wyłącznie ulicę.

Zakładał, że jeden albo cała trójka zajrzy na tylne podwórko.

Bez względu na to, jakie mieli odznaki, musiały być ważniejsze od jego policyjnej legitymacji. Być może nosiły pieczęć Federalnego Biura Śledczego albo Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Być może Secret Service albo Homeland Security.

Wyobraził sobie, że słyszy dzwonek do własnych drzwi.

Ich odznaki i identyfikatory ze zdjęciami były prawdopodobnie tak samo autentyczne jak prawa jazdy Kraveta.

Gdyby nie uciekł z Zoey, musiałby potraktować tych ludzi tak, jakby byli tymi, za których się podają. Ponieważ niewykluczone, że byli nimi naprawdę.

Niezależnie od tego, czy byli prawdziwi, czy nie, ich przybycie miało mu dać do zrozumienia, żeby zostawił w spokoju człowieka o wielu tożsamościach, żeby odcepił się od sprawy zabójstw w Cream Sugar.

W rozmowie z nim zaznaczyliby, że przeszkadza w prowadzeniu dużego federalnego śledztwa, które wymaga wielkiej ostrożności. Albo że chodzi o bezpieczeństwo narodowe. Tak czy inaczej, ta sprawa nie mieściła się w jurysdykcji lokalnego gliniarza.

Gdyby został w domu, delegacja trzech facetów poważnie ograniczyłaby jego możliwości dopomożenia Timowi i Lindzie.

Teraz dzwonili pewnie ponownie do drzwi i omawiali następne posunięcie.

Podenerwowana Zoey zaczęła cicho ziajać.

–Spokojnie, malutka – szepnął Pete. – Grzeczna dziewczynka.

Wątpił, żeby zadzwonili po raz trzeci.

Minęła minuta. Dwie. Trzy.

To nie byli faceci, którzy usiedliby w bujanych fotelach na werandzie i czekali na powrót Pete'a, gawędząc o baseballu i pogodzie.

Najprawdopodobniej weszli do domu. Bez względu na to, za kogo się podawali, było to kłamstwo. Byli renegatami.

Może skonfiskują twardy dysk jego komputera, żeby sprawdzić, co jeszcze robił, nim spostrzegli, że interesuje się nazwiskami Kraveta.

Mogli podrzucić mu narkotyki tam, gdzie nigdy ich nie znajdzie. Później, jeśli chcieli mieć go w garści, mogli dokonać nalotu i skonfiskować heroinę w ilości, która kwalifikowałaby go jako dealera.

–Słodka malutka. Moja słodka mała dziewczynka.

Pete zapalił silnik mountaineera, zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i odjeżdżając, włączył światła.

Deszcz skwierczał na jezdni niczym olej we frytownicy.

Nie zdążył minąć dwóch przecznic, kiedy zadzwoniła jego komórka.

Ostrożność nakazywała nie odbierać telefonu. Pete otworzył klapkę, ponieważ mógł dzwonić Tim.

Z napisu na wyświetlaczu wynikało, że telefonuje Hitch Lombard. Szef detektywów nie mógł już udawać, że martwi się o zdrowie podwładnego.

Tim zamknął klapkę, nie odbierając telefonu.

Zoey przestała ziajać. Wyglądała przez szybę od strony pasażera. Lubiła przejażdżki.

Dla niej ta noc okazała się całkiem atrakcyjna.

Poza twardym dyskiem z komputera intruzi mogli również zabrać ciasteczka jego mamy, wcześniej ich nie próbując. Pete wierzył, że nawet w dzisiejszych czasach sprawiedliwości musi stać się zadość.

Krait krążył w poszukiwaniu domu. Nie były mu potrzebne luksusy ani piękny widok. Mógł się zadowolić pierwszym lepszym skromnym domostwem.

Niektórzy pracujący w Los Angeles ludzie woleli mieszkać w spokojniejszym hrabstwie Orange. W pewnych profesjach dzień pracy zaczynał się wcześnie. Ci, których czekała długa podróż, wyruszali z domu już o piątej rano.

Jadąc uroczą uliczką, przy której stały interesujące domy, Krait zauważył parę eleganckich młodych ludzi kryjących się pod masywnymi parasolami. Wyszli z małego, lecz ładnego bungalowu w stylu rustykalnym w stronę zaparkowanego na podjeździe lexusa.

Zarówno mężczyzna, jak i kobieta trzymali w rękach teczki. Nie zamierzali najwyraźniej pozwolić, by marna pogoda osłabiła entuzjazm, z jakim przystępują do codziennych profesjonalnych zmagania.

Krait wyobraził sobie, że są agresywnymi karierowiczami marzącymi o narożnym gabinecie i opcjach na zakup akcji. Nie pochwalał ich płaskiego materializmu i niesłusznych priorytetów, lecz mimo to postanowił wyświadczyć im tę łaskę i odwiedzić ich dom.

Podążał za nimi kilka przecznic i przekonawszy się, że jadą w stronę autostrady, zawrócił i zaparkował przed ich domem.

W szarzącym mroku nocy nie zostawili żadnych zapalonych świateł. Byli zbyt młodzi, żeby mieć kilkunastoletnie potomstwo, i nawet tacy jak oni pracusi nie zostawiliby mniejszych dzieci samych w domu. Zrobili na Kraicie wrażenie bezdziejnych, i to akurat budziło jego aprobatę.

Podszedł prosto do frontowych drzwi, otworzył je i przez minutę stał w nieoświetlonym przedpokoju, słuchając ciszy zakłóconej tylko białym szelestem padającego na dach deszczu. Wszystko wskazywało na to, że jest w domu sam.

Mimo to, zapalając światła, sprawdził każdy pokój. Rzeczywiście nie mieli dzieci. Na łóżku w pokoju gościnnym nie było pościeli: nikt się u nich nie zatrzymał.

Krait rozebrał się do naga i wrzucił swoje zniszczone ubranie do torby na śmieci, którą znalazł w szafce w głównej łazience. Wziął najgorętszy prysznic, jaki zdołał znieść, i chociaż mydło nie przypadło mu do gustu, poczuł się wyraźnie odświeżony.

Nie musiał się golić. Już dawno kazał sobie usunąć brodę za pomocą elektrolizy. Nic nie szpeci mężczyzny bardziej niż parodniowy zarost.

Z szafy w głównej sypialni wyjął kaszmirowy szlafrok męczyzny. Pasował na niego w sam raz.

W domu unosił się zapach elektrycznego cytrynowego odświeżacza powietrza, który nie maskował jednak żadnych dających się wykryć nieprzyjemnych odorów. Wszystko wydawało się uporządkowane, schludne i czyste.

Ubrany w szlafrok zaniósł na bosaka do kuchni plastikową torbę z ubraniami, pistolet maszynowy, lockaida oraz inne osobiste rzeczy i położył wszystko oprócz Glocka i komórki na sekreterze w rogu.

Pistolet maszynowy umieścił na jednym ze stołowych krzesel, żeby mieć go pod ręką.

Siedząc przy stole śniadaniowym, wysłał zakodowaną wiadomość tekstową, w której poprosił o pełen zestaw garderoby łącznie z butami. Znali wszystkie jego rozmiary i upodobania.

Nie poprosił o nowy samochód z elektroniczną mapą. Wiedząc, że jego pojazd może zostać satelitarnie namierzony, Carrier nie będzie z niego korzystał w trakcie ucieczki.

Krait poprosił, by zawiadomiono go o lokalizacji explorera, kiedy zatrzyma się w jednym miejscu na dłużej niż pięć minut.

Wziął z sekretery stertę nieotwartej poczty, wrócił z nią do stołu i zapoznał się z zawartością wszystkich kopert, szukając informacji o swoich gospodarzach.

Nazywali się Bethany i James Valdorado i pracowali w bankowości inwestycyjnej, w firmie o nazwie Leeward Capital. Lexusa mieli w leasingu, posiadali dodatnie salda w banku i prenumerowali magazyn „O”.

Ich przebywający aktualnie we Francji znajomi – Judi i Frankie – przysłali im pocztówkę. Kraitowi nie spodobała się pewna zawarta tam mało kulturalna uwaga, ale Judi i Frankie pozostawali w tym momencie poza jego zasięgiem.

Kiedy skończył przeglądać pocztę, naszła go ochota na gorącą czekoladę. W szafkach znalazł wszystko, co trzeba, łącznie z puszką wysokiej jakości kakao.

Zapowiadał się przyjemny ranek. Był teraz zupełnie spokojny. Potrzebował tej chwili relaksu, odrobiny czasu na refleksję.

Bethany i Jim mieli toster na cztery kromki z szerokimi otworami, w które można było wsunąć okrągłe bułeczki i gofry. Świeży bochenek z rodzynekami i cynamonem był jednak zbyt kuszący.

Krait wyjął masło z lodówki i położył je na blacie, żeby zmiękło.

Kiedy kuchnię zaczął wypełniać wspaniały aromat cynamo-nowo-rodzynkowej grzanki, postawił garnek na płycie, nalał do niego świeżego mleka i nastawił nieduży gaz.

Dom. W świecie pełnym niezliczonych przygód i wrażeń nadal nie było drugiego takiego miejsca jak dom.

Podniesiony na duchu zaczął nucić wesołą melodię.

–Och, przepraszam – odezwała się za nim nagle jakaś

kobieta. – Nie wiedziałam, że dzieci mają gości.

Uśmiechając się, lecz już nie nucąc, Krait odwrócił się od kuchenki.

Intruzką była atrakcyjna kobieta koło sześćdziesiątki z oczami w barwie gencjany i włosami miękkimi i białymi niczym gołębie skrzydła.

Miała na sobie czarne spodnie z gładkiej tkaniny i wsuniętą w nie, dopasowaną do koloru oczu niebieską bluzkę z jedwabiu. Szyte na miarę spodnie miały starannie zaprasowany kant.

Musiała zostawić parasolkę i płaszcz przeciwdeszczowy na werandzie przed domem i otworzyć drzwi własnym kluczem.

Jej uśmiech nie był tak śmiały jak Kraita, lecz nie mniej czarujący.

–Jestem Cynthia Norwood.

–Matka Bethany! – wykrzyknął Krait i zorientował się, że jego przypuszczenie jest trafne. – To dla mnie wielka przyjemność. Tyle o pani słyszałem. Jestem Romulus Kudlow i naprawdę czerwienię się ze wstydu. Weszła pani tutaj jakby wprost z żurnalu mody, a ja jestem taki... – wskazał swój kaszmirowy szlafrok -... rozneglizowany! Co za bestię Bethany i Jim wpuścili pod swój dach? – musiała pani pomyśleć.

–Och nie, nie, skądże znowu – zapewniła go pospiesznie. – To ja muszę pana przeprosić, że tak tu wtargnęłam.

–Osoba pani pokroju, pani Norwood, nie jest w stanie nigdzie wtargnąć... Weszła pani tutaj na paluszkach niczym tancerka.

–Wiem, że dzieci bardzo spieszyły się do pracy, i pomyślałam, że zapomniały wyłączyć światel.

–Założę się, że nie pierwszy raz.

–Co najmniej setny. Ciekawe, jakie płaciliby rachunki za prąd, gdybym nie mieszkała po drugiej stronie ulicy.

–Pracują w ciągłym stresie – odparł Krait. – Tyle mają na głowie. Nie wiem, jak sobie z tym radzą.

–Martwię się o nich – westchnęła. – Nie można żyć samą pracą.

–Ale wie pani przecież, że to uwielbiają. Uwielbiają nowe wyzwania.

–Na to wygląda.

–I wspaniale jest robić to, co się kocha. Tylu ludzi wykonuje pracę, której nienawidzi, i to jest o wiele gorsze.

Z tosterka wyskoczyła grzanka.

–Nie chciałam przeszkadzać panu w śniadaniu – powiedziała pani Norwood.

–Nie jestem pewien, czy grzankę z cynamonowego chleba z rodzynkami i gorącą czekoladą można uznać za śniadanie, moja droga. Dietetyk dałby mi po łapach i nazwał to dzikim rozpasaniem. Zje pani coś ze mną?

–Och, nie mogłabym...

–Jest jeszcze ciemno. Na pewno nic pani nie jadła.

–Nie, jeszcze nie, ale...

–To najlepsza sposobność, żeby usłyszeć, jaką psotną dziewczynką była Bethany w dzieciństwie. Ona i Jim znają tyle historyjek o moim złym zachowaniu, że bezwzględnie muszę im się czymś zrewanżować.

–W deszczowy dzień gorące kakao brzmi zachęcająco, ale...

**–Niech mi pani dotrzymania towarzystwa, moja droga. Proszę. – Krait wskazał krzesło.
– Proszę usiąść. Pogwarzymy sobie.**

–Kiedy pan będzie robił kakao, ja posmaruję grzankę – odparła, ulegając.

Gdyby obeszła stół, zobaczyłaby leżący na krześle pistolet maszynowy.

–Proszę usiąść, siadaj – powtórzył z naciskiem. – Przyjechałem wczoraj wieczorem prawie bez uprzedzenia, ale byli przemili. Zawsze są przemili. Nie, nie zniósłbym,

gdybym na domiar wszystkiego pozwolił matce Bethany robić mi śniadanie. Proszę usiąść. Nalegam.

–Podoba mi się, że mówi pan na nią „Bethany” – powiedziała pani Norwood, sadowiąc się na wskazanym przez niego krześle. – Nie pozwala nikomu używać pełnej formy swojego imienia.

–A przecież to takie piękne imię – stwierdził, wyjmując plastikowe podkładki i papierowe serwetki z szuflady.

–Piękne. Malcolm i ja spędziliśmy tyle czasu, zastanawiając się nad imieniem. Odrzuciliśmy chyba z tysiąc.

–Mówię jej, że Beth rymuje się z „bzdet” – powiedział Krait, szukając talerzyków i kubków.

–Ona uważa, że Beth bardziej pasuje do jej wizerunku bizneswoman.

–A ja powtarzam jej, że Beth rymuje się z „kret”.

Cynthia się roześmiała.

–Zabawny z pana człowiek, panie Kudlow.

–Proszę mi mówić Romulus albo Rommy. Tylko moja matka zwraca się do mnie „panie Kudlow”.

–Tak się cieszę, że ich pan odwiedził – odparła Cynthia, ponownie się śmiejąc. – Dzieciaki muszą się czasami zabawić.

–Jim był kiedyś bardzo zabawny.

–I podoba mi się, że nazywa go pan „Jim”.

–Może sobie zachować pretensjonalnego „Jamesa” dla swoich klientów inwestycyjnych – prychnął Krait. – Pamiętam go z czasów, kiedy był zwyczajnym Jimem i dla mnie zawsze pozostanie Jimem.

–W życiu najlepiej jest pamiętać o swoich korzeniach i cenić prostotę.

–Nie mam pojęcia, jakie są moje korzenie – wyznał Krait – ale ma pani świętą rację co do prostoty. I wie pani co? Podoba mi się to miejsce. Czuję się tutaj zupełnie jak w domu.

–To bardzo miłe.

–Dom jest dla mnie bardzo ważny, pani Norwood.

–A gdzie jest pana dom, Rommy?

–Dom – odparł Krait – to takie miejsce, w którym muszą cię przyjąć, kiedy tam się zjawisz.

Widziany przez zalane deszczem szyby autobusu świat zdawał się rozpuszczać – jakby wszystkie dzieła człowieka i natury miały spłynąć przez otwór na samym dnie uniwersum, zostawiając po sobie wieczną pustkę z przemierzającym ją autobusem, który po pewnym czasie również się rozplynie, zabierając ze sobą światło i zmuszając ich do dryfowania w absolutnej czerni.

Trzymając za rękę Tima, Linda czuła się przytwierdzona do czegoś, co się nie rozplynie.

Od dawna nie musiała trzymać się nikogo. Nie śmiała tego robić.

I od bardzo dawna nie było nikogo, kto podałby jej rękę z takim przekonaniem, z takim oddaniem. W niespełna dziesięć godzin zaufała mu głęboko, jak nie ufała nikomu od czasów dzieciństwa.

Wiedziała o nim niewiele, a mimo to czuła, że zna go lepiej, niż znała w życiu kogokolwiek, rozumie kształt ducha, który mieszka w jego sercu, i siłę serca, które jest kompasem umysłu.

Równocześnie jednak pozostawał dla niej tajemnicą. I choć chciała wiedzieć o nim wszystko, miała nadzieję, że bez względu na to, jak rozwinie się ich znajomość, na zawsze pozostanie dla niej choć w części nieprzenikniony.

Żeby robić dla niej to, co robił, musiał mieć w sobie coś magicznego, transcendentnego. Gdyby odkryła, że jego Merlin nie był czarnoksiężnikiem, lecz nauczycielem, który uczył go w siódmej klasie, że jego odwaga nie zrodziła się pośród lwów, lecz z czytanych w dzieciństwie komiksów, dobro okazałoby się tak samo banalne jak zło.

Pragnienie, by pozostał dla niej tajemnicą, zdziwiło ją. Myślała, że cały jej romantyzm spłonął na stosie szesnaście albo jeszcze więcej lat temu.

–Kto to jest Molly? – zapytał Tim, kiedy autobus dotarł

do obrzeży Dana Point.

Jego pytanie sprawiło, że przeszedł ją dreszcz. Spojrzała na niego zdumiona.

–W hotelu mówiłaś przez sen – wyjaśnił.

–Nigdy nie mówię przez sen.

–Nigdy nie śpisz sama?

–Zawsze śpię sama.

–Więc skąd wiesz?

–Co powiedziałam?

–Tylko to imię. Molly. I „nie”. „Nie, nie”, powiedziałaś.

–To był mój pies. Suka. Piękna. I taka słodka.

–I coś się stało?

–Tak.

–Kiedy to było?

–Dostaliśmy ją, kiedy miałam sześć lat. Została oddana, kiedy miałam jedenaście. To było przed osiemnastu laty i nadal boli.

–Dlaczego została oddana?

–Nie mogliśmy jej dłużej trzymać. Angelina nie lubiła psów, mówiła, że nie ma pieniędzy na karmę i na weterynarza.

–Kim była Angelina?

Linda obserwowała rozplywający się świat.

–Pod pewnymi względami to właśnie było najgorsze.

Molly była psem. Nie rozumiała. Kochała mnie, a ja ją oddawałam i nie mogłam jej tego wytłumaczyć, bo była tylko psem.

Tim czekał. Poza wszystkimi innymi rzeczami wiedział również, kiedy powinno się czekać, co stanowi rzadką cnotę.

–Nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto by wziął Molly. Była

piękna, ale nikt nie mógł jej wziąć, ponieważ nie była zwykłym psem, była naszym psem.

Smutek nie jest krukiem, który siedzi uparcie nad drzwiami komnaty. Smutek jest zębatą istotą i powraca, kiedy tylko wypowie się szeptem jego imię.

–Nadal widzę oczy Molly, kiedy ją zabierali. Zdezorientowane. Wystraszone. Błagające mnie. Nikt nie chciał jej wziąć i musiała pójść do schroniska.

–Ktoś na pewno ją stamtąd zabrał – pocieszył ją Tim.

–Nie wiem. Nigdy się tego nie dowiedziałam.

–Ktoś to zrobił.

–I często wyobrażam sobie, że leży w klatce, w zagrodzie pełnej smutnych, niespokojnych psów, zastanawiając się, dlaczego ją oddałam, co takiego zrobiła, że przestałam ją kochać.

Linda oderwała wzrok od okna i spojrzała na swoją dłoń w jego dłoni.

To mogło się wydać słabością, ta potrzeba trzymania go za rękę, a przecież ona nigdy nie była słaba. Wolałaby raczej umrzeć, niż okazać bojaźń w świecie, gdzie na słabych poluje się często dla samej przyjemności.

Co dziwne jednak, nie kojarzyło jej się to ze słabością. Z jakiegoś powodu wydawało się oznaką przekory.

–Jak bardzo samotna musiała czuć się Molly – ciągnęła. – A jeżeli nikt jej nie zaadoptował... czy myślała o mnie, kiedy wbijali jej igłę?

–Nie, Lindo. Nie. Nic takiego się nie stało.

–Chyba się stało.

–A nawet jeśli się stało, nie wiedziała, co oznacza igła, nie wiedziała, co ją czeka.

–Wiedziała. Psy wiedzą. Nie zamierzam się oszukiwać. To tylko pogorszyłoby sytuację.

Pneumatyczne hamulce westchnęły i autobus zaczął zwalniać.

–To zabawne, ale ze wszystkich rzeczy, które się wtedy zdarzyły, ta jest najgorsza. Ponieważ nikt inny nie oczekiwał, że go uratuję. Byłam tylko dzieckiem. Ale dla biednej Molly nie byłam tylko dzieckiem. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Byłam dla niej całym światem. I ją zawiodłam.

–Nie zawiodłaś Molly – zapewnił Tim. – Z tego, co mówisz, wynika, że świat zawiódł was obie.

Po raz pierwszy od przeszło dziesięciu lat była w stanie o tym mówić. Wyładowała cały gniew w pełnych goryczy książkach i teraz mogła mówić o tym bez emocji. W tym momencie mogłaby mu opowiedzieć wszystko.

Autobus zatrzymał się na przystanku w Dana Point i z pełnego rynsztoka prysnęła

woda. Zaklekotały otwierane drzwi. Wyszli na deszcz.

Wiatr podążył na wschód w ślad za błyskawicami. Strugi deszczu padały pionowo w dół, srebrzyste w powietrzu i brudne na chodniku. Wkrótce zza chmur miał wyrzeć nowy dzień, dzień, którego nie spodziewała się dożyć.

–Smakuje pani gorąca czekolada, Cynthio?

–Chyba nigdy w życiu nie piłam tak dobrej.

–To zasługa tej małej kropelki wanilii.

–Bardzo sprytne.

–Czy mogę pokroić pani grzankę?

–Tak, proszę.

–Lubię moczyć grzankę w czekoladzie – wyznał.

–Ja też.

–Jamesowi mogłoby się to nie spodobać.

–Nie powiemy mu – odparła.

Siedzieli przy rogu kuchennego stołu. Kiedy zamieszali gorącą czekoladę łyżeczkami, z parujących kubków uniósł się wspaniały aromat.

–Cóż za niezwykle imię: Romulus.

–Tak, nawet mnie wydaje się niezwykle. Rzymska legenda mówi, że Romulus był założycielem Rzymu.

–Trzeba wiele dokonań, by okazać się godnym takiego imienia.

–Romulus i jego brat Remus zostali porzuceni po urodzeniu, wykarmieni przez wilczycę i wychowani przez pasterza. Po założeniu Rzymu Romulus zabił Remusa.

–Straszna historia.

–No cóż, Cynthio, w takim żyjemy świecie. Nie mam na myśli wilczycy, ale całą resztę. Ludzie potrafią być wobec siebie tacy okropni. Tak się cieszę, że mam przyjaciół.

–Jak poznałeś Bethany i Jamesa?

–Jima – powiedział, grożąc jej żartobliwie palcem.

Cynthia uśmiechnęła się i pokręciła głową.

–Utrzymywał mnie w tej kwestii w całkowitej nieświadomości.

–Poznaliśmy się przez wspólnych przyjaciół. Mówią ci coś imiona Judi i Frankie?

–Oczywiście, że tak.

–Wszyscy są nimi oczarowani.

–To taka wspaniała para.

Krait westchnął tęsknie.

–Gdybym odnalazł kiedyś taką miłość, Cynthio, potrafiłbym za nią zabić.

–Znajdzie pan kogoś, Ronny. Każdy kogoś znajduje.

–Któregoś dnia mogłaby uderzyć błyskawica. Powiem pani, że bardzo bym chciał zobaczyć, jak uderza.

Umoczyli grzanki w czekoladzie i zjedli je.

Za oknami wstawał szary poranek. W porównaniu z deszczem na dworze kuchnia wydawała się jeszcze bardziej przytulna.

–Wie pani, że są teraz w Paryżu? – zapytał.

–Judi i Frankie kochają Paryż.

–Wszyscy go kochają. Tym razem miałem z nimi polecieć, ale byłem zawalony robotą.

–Założę się, że miło się z nimi podróżuje – powiedziała.

–To czysta przyjemność. Byliśmy razem w Hiszpanii.

Biegaliśmy z bykami.

Cynthia otworzyła szerzej gencjanowe oczy.

–Ścigaliście się z bykami... jak u Hemingwaya?

–Judi nie chciała, ale ja i Frankie po prostu się uparliśmy. Nie miała innego wyjścia.

–Zadziwia mnie pan... ale jesteście w końcu wszyscy tacy wysportowani.

–Czasami potrafią mi dać nieźle w kość – przyznał.

–Czy to nie jest niebezpieczne, bieganie z bykami?

–Cóż, lepiej biegać razem z nimi, niż dać się któremuś stratować. Pod koniec miałem nogi jak z waty.

–Najbliższą znajomość z bykiem zawarłam, jedząc filet mignon – zaśmiała się Cynthia.

–Jesteś cudowna, Cynthio. – Krait poklepał ją po ramieniu. – Świetnie się z tobą bawię. Jest tak miło. Czy nie jest miło?

–Owszem, jest. Ale nigdy nie sądziłam, że Judi i Frankie lubią niebezpieczne sporty. Nie sprawiają takiego wrażenia.

–Właściwie to nie Judi. To Frankie lubi czasem prowokować los. Czasami się o niego martwię.

Krait umoczył grzanekę i ugryzł kęs, ale ręka Cynthii zastygła nagle w połowie drogi do ust, jakby przypomniała sobie, że jest na diecie, jakby łakomstwo walczyło w niej ze wstrzemięźliwością.

–Byłaś w Paryżu, Cynthio?

Odłożyła powoli nienadgryzioną grzanekę na talerz.

–Coś się stało, moja droga?

–Mam... mam coś do zrobienia. Zapomniałam. Mam spotkanie.

Kiedy zaczęła odsuwać krzesło od stołu, położył dłoń na jej dłoni.

–Nie możesz tak nagle odejść, Cynthio.

–Mam taką dziurawą pamięć. Zapomniałam...

–Jestem ciekaw – powiedział Krait, ściskając mocniej jej dłoń – jaki popełniłem błąd?

–Błąd?

–Drżysz, moja droga. Nie potrafisz dobrze udawać. Jaki popełniłem błąd?

–Mam wizytę u dentysty.

–O wpół do siódmej rano?

Skonsternowana zerknęła na wiszący na ścianie zegar.

–Cynthia? Cindy? Naprawdę bardzo chciałbym wiedzieć, jaki popełniłem błąd.

–Frankie... Frankie nie jest mężczyzną – odparła, nadal wpatrując się w zegar.

–A Judi też nim z pewnością nie jest. No tak. Rozumiem. Wspaniała lesbijska para. Nic nie szkodzi. Nie mam nic przeciwko temu. Właściwie nawet popieram.

Poklepał ją po ręce i zabrał z jej talerza grzanekę, której nie była w stanie ugryźć. Umoczył ją w czekoladzie.

–Czy ich skrzywdziłeś? – zapytała, bojąc się na niego spojrzeć.

–Bethany i Jima? Oczywiście, że nie, moja droga. Pojechali do pracy, tak jak myślałaś, walczyć o bonusy i opcje na zakup akcji. Wszedłem tu dopiero, kiedy ich nie było.

Ugryzł kęs grzanki. I jeszcze jeden. Po chwili ją skończył.

–Czy mogę już iść? – zapytała.

–Pozwól, że coś ci wyjaśnię, moja droga. Deszcz zniszczył moje ubranie. Czekam tutaj na dostawę nowego. W moim rozkładzie zajęć nie mam czasu na policję.

–Pójdę po prostu do domu – zapewniła go.

–Nigdy nie nauczyłem się ufać ludziom, Cynthia.

–Nie zadzwonię na policję. Nie zrobię tego przez kilka godzin.

–Ile twoim zdaniem mogłabyś czekać?

Cynthia podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

–Tyle, ile mi powiesz. Pójdę po prostu do domu i będę tam siedziała.

–Jesteś bardzo łagodną osobą, Cynthia.

–Zawsze tylko...

–Co zawsze tylko, moja droga?

–Zawsze chciałam, żeby wszystkim było miło.

–Oczywiście, moja droga. To w twoim stylu. To cała ty. I wiesz co? Wierzę, że naprawdę mogłabyś zrobić tak, jak powiedziałaś.

–Zrobię tak.

–Wierzę, że mogłabyś pójść do domu i przez kilka godzin siedzieć tam cicho jak mysz pod miotłą.

–Daję ci moje słowo. Przysięgam.

Krait wyciągnął rękę i podniósł z krzesła pistolet maszynowy Glocka.

–Och, proszę – jęknęła.

–Nie wysnuwaj pochopnych wniosków, Cynthia.

Pani Norwood spojrzała na zegar. Nie wiedział, jaką widzi w nim nadzieję. Czas nie był niczym sprzymierzeńcem.

–Chodź ze mną, moja droga.

–Dlaczego? Dokąd?

–Tylko kilka kroków. Chodź ze mną.

Próbowała wstać. Nie miała siły.

Krait stanął przy jej krześle i wyciągnął lewą dłoń.

–Pozwól, że ci pomogę.

Cynthia nie cofnęła się, ale mocno złapała jego rękę.

–Dziękuję.

–Przejdziemy tylko z kuchni do ubikacji. To niedaleko.

–Ja nie...

–Co ty nie, moja droga?

–Nie rozumiem tego.

–Owszem. Nie rozumiesz tego – przytaknął, pomagając jej wstać. – Tyle rzeczy przekracza naszą zdolność pojmowania, prawda?

Biblioteka, niski ceglany budynek z wąskimi okratowanymi oknami, była podobna do fortecy, zupełnie jakby dalekowzroczni bibliotekarze zdawali sobie sprawę, że zbliża się dzień, gdy książek trzeba będzie bronić przed hordami barbarzyńców.

Pete Santo zaparkował przed świtem niedaleko wejścia.

W lutym tego samego roku pewien nieprzystosowany młodzieniec – jak określiły to media – schował się w nocy w czytelni. Zebrane w ciągu poprzednich miesięcy datki na zakup nowych książek sięgnęły sumy czterdziestu tysięcy dolarów i doszedł do wniosku, że przywłaszczy je sobie i będzie żył jak pan.

Uczciwe media nazwałyby go niedouczonego, ogłupionym przez narkotyki młodzieńcem, ale mogłoby to poniżyć biednego dzieciaka i skłonić go do antyspołecznego zachowania.

Choć ukończył osiemnaście lat, młodzieniec nie rozumiał, że pieniądze zostały przekazane w formie przelewów i złożone w banku. Nie ufał bankom. Kierowały nimi „wampiry, które najchętniej wycyckałyby cię do czysta”. Preferował gotówkę i zakładał, że każdy tak samo sprytny jak on albo sprytniejszy prezentuje podobne podejście.

Kiedy po długich poszukiwaniach odnalazł tylko metalową kasetkę z drobnymi sumami, postanowił zaczekać do rana, kiedy przyjdzie do pracy bibliotekarka. Zamierzał przystawić jej do głowy pistolet i zażądać czterdziestu tysięcy.

Ku jego zaskoczeniu o piątej pojawili się trzej mężczyźni, aby przystąpić do czterogodzinnego porannego sprzątnia. Młodzieniec wziął ich na muszkę i kazał oddać portfele.

Skok mógłby się powieść, gdyby ludzie z firmy sprzątajacej nie zobaczyli zniszczonych książek. To wyprowadziło ich z równowagi.

Siedząc samotnie w bibliotece po zarzuceniu prób odnalezienia czterdziestu tysięcy, nieprzystosowany młodzieniec wybrał książki, które na podstawie tytułów i wyglądu okładek uznał za „propagujące niewłaściwe idee”, i zniszczył je.

Ekipa sprzątaczy nie składała się z zagorzałych miłośników literatury. Wściekli się na młodzieńca, ponieważ zamiast podrzeć albo spalić książki, postanowił je obsikać i teraz musieli posprzątać cały ten kram.

Odwrócili jego uwagę, obezwładnili go, zabrali pistolet i spuścili mu lanie. Następnie wezwali policję.

Pete udzielił im surowego, lecz nie do końca szczerego wykładu o tym, jak źle postąpili, wymierzając sprawiedliwość na własną rękę.

Zostawiając teraz Zoey w zamkniętej na klucz terenówce, pospieszył pod daszek przed wejściem. Przez szklane panele zobaczył, że w środku pali się światło, i zapukał głośno do drzwi.

Pojawił się jeden ze sprzątaczy. Pete pokazał mu odznakę przez szybę, ale mężczyzna wpuścił go, w ogóle na nią nie patrząc.

–Witam, detektywie. Co pan tutaj robi? Nikt nie obsikał dzisiaj książek.

–Słyszałeś, że facet pozwał bibliotekę?

–Wydębi od nich prawdopodobnie parę milionów.

–Jeżeli mu się uda, może ja też obsikam parę książek.

–Będzie pan musiał ustawić się w kolejce.

–Posłuchaj, wiem, że bibliotekę otwierają dopiero za parę godzin, ale muszę skorzystać z jednego z komputerów.

–To gliniarze nie mają własnych komputerów?

–To sprawa osobista. Nie mogę tego zrobić w komisariacie, a komputer w domu mi się zepsuł.

–Na pewno nie potrzebuje pan mojego pozwolenia. Czy gliniarze nie mogą wchodzić wszędzie, gdzie chcą i kiedy chcą?

–Konstytucja ujmuje to trochę inaczej, ale jesteś blisko.

–Wie pan, gdzie one są, te komputery?

–Tak, pamiętam.

Demonowi analfabetyzmu oddano już niewielki przyczółek w tej świątyni słowa. Dwa rzędy półek zostały usunięte, żeby można było zainstalować sześć stacji roboczych.

Pete usiadł przy jednej z nich, włączył komputer i wszedł z powrotem do sieci. Wkrótce zaczął ponownie badać zabójstwa w Cream Sugar.

Do rozmowy na temat byków Cynthia Norwood była dziarską sześćdziesięciolatką. Chwilę później można było odnieść wrażenie, że postarzała się o dwadzieścia lat.

Wcześniej żywe oczy stały się matowe. Cały wdzięk ulotnił się z twarzy, która zwiotczała niczym u osoby, która nadużyła narkotyków.

Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Nawet podtrzymywana przez Kraita bardziej dreptała, niż szła.

–Dlaczego idziemy do ubikacji? – zapytała cichym zdziwionym głosem.

–Bo nie ma tam okna.

–Nie ma?

–Nie, moja droga.

–Ale dlaczego?

–Nie wiem dlaczego, kochanie. Gdyby to ode mnie zależało, na pewno bym je tam umieścił.

–To znaczy po co? Dlaczego nie możemy zostać tutaj?

–Przecież nie chcesz już jeść śniadania.

–Chcę tylko wrócić do domu.

–Tak, wiem. Kochasz dom tak samo jak ja.

–Nie musisz tego robić.

–Ktoś musi to robić, Cynthia.

–Nigdy nie uczyniłam nikomu nic złego.

–Och, wiem. To nie w porządku. Naprawdę nie w porządku.

Popychając ją przez otwarte drzwi w głąb ubikacji, czuł, jak gwałtownie drży pod jego dłonią.

–Chciałam pojechać później na zakupy.

–Gdzie lubisz robić zakupy?

–Właściwie wszędzie.

–Ja sam nie przepadam zbytnio za zakupami.

–Potrzebuję ładnego letniego kostiumu – powiedziała.

–Jesteś kobietą z klasą. Z klasą i z gustem.

–To nie jest w twoim stylu, Ronny.

–Właściwie to jest jak najbardziej w moim stylu.

–Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem.

–Jestem dobry w tym, co robię.

–Wiem, że w głębi serca jesteś dobry. W głębi serca każdy jest dobry. – Cynthia stanęła w rogu odwrócona do niego plecami. – Proszę.

–Odwróć się do mnie przodem, kochanie.

–Boję się – powiedziała łamiącym się głosem.

–Odwróć się.

–Co chcesz zrobić?

–Odwróć się.

Stanęła przodem do niego. Po jej twarzy płynęły łzy.

–Byłam przeciwko wojnie.

–Jakiej wojnie, kochanie?

–Malcolm popierał wojnę, aleja zawsze byłam przeciwko.

–Bardzo się zmieniłaś, Cynthia.

–I oddaję rzeczy, wiesz? Oddaję rzeczy.

–Przez krótką chwilę wydawałaś się taka stara, taka smutna i stara.

–Żeby ratować orły i wieloryby, walczyć z głodem w Afryce.

–Ale teraz wcale nie wyglądasz staro. Przysięgam, nie ma ani jednej zmarszczki na twojej twarzy. Wyglądasz jak dziecko.

–O Boże.

–Dziwię się, że doszliśmy do tego tak późno.

–O Boże. O Boże.

–Bardzo późno do tego doszłaś, kochanie.

Krait przesunął kciukiem selektor, nastawiając pistolet na ogień półautomatyczny, ponieważ chciał użyć tylko jednego naboju. Stojąc w drugim końcu małego pomieszczenia, strzelił jej w czoło.

Pod koniec była naprawdę podobna do dziecka, ale nie trwało to długo.

Krait wyszedł z łazienki i zatrzaskał za sobą drzwi.

Podgrzał więcej czekolady, zrobił sobie kolejne dwie grzanki i usiadł przy stole. Wszystko bardzo mu smakowało, ale atmosfera nie była już tak przytulna. Nie potrafił przywołać poprzedniego nastroju.

Spojrzał na wiszący na ścianie zegar. Do dostarczenia nowej garderoby została mu jeszcze godzina i dwadzieścia minut.

Wcześniej zdążył tylko dość pobieżnie zwiedzić dom. Czekać na ubranie, może dokonać bardziej dokładnej inspekcji.

–Cynthio? – dobiegł go nagle męski głos z frontowego

pokoju. – Cynthio?

Usłyszał zbliżające się kroki.

Przebywająca aktualnie z dwiema przyjaciółkami na wakacjach w Nowym Jorku Teresa Mendez mieszkała w połówce bliźniaka w Dana Point. Zapasowy klucz trzymała w zaopatrzonej w zamek szyfrowy kasetce pod sekwojowym fotelem na tylnym patio.

Linda i Tim weszli do domu tylnymi drzwiami. Linda wyjęła pistolet z torebki, położyła go na stole, po czym włożyła torebkę i torbę podróżną do zlewu, żeby ściekła z nich woda.

–Mamy tutaj historię Potwora z Czarnej Laguny – mruknął Tim, patrząc na formującą się wokół jego stóp kałużę.

–Przyniosę jakieś ręczniki – odparła Linda, po czym zdjęła kurtkę, powiesiła ją na oparciu chromowanego winylowego krzesła, zzuła buty i wyszła z pokoju.

Tim nie mógł opanować skrępowania. Miał wrażenie, że jest gąbką, która nabrała wody podczas burzy.

Linda wróciła na bosaka ubrana w szlafrok. Przyniosła koc i stos ręczników i położyła je przy nim na blacie.

–Rozbierz się i wrzuć ubranie do suszarki – powiedziała,

otwierając przesuwane drzwi, za którymi stały pralka i suszarka. – Owiń się kocem zamiast szlafroka.

Wzięła jeden z ręczników, podeszła do zlewu i zaczęła wycierać swoją torbę i torebkę.

–Czy mogę mieć trochę prywatności? – zapytał.

–Myślisz, że nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć twój goły tyłek?

–Być może. Co tak naprawdę o tobie wiem?

–Idę na górę wziąć szybki prysznic.

–Mam swoją godność.

–To pierwsza rzecz, jaką w tobie zobaczyłam oprócz wielkiej głowy. Jak długo jesteśmy tutaj bezpieczni?

–Najwyżej dwie godziny. Lepiej ograniczyć to do półtorej.

–Na dole też jest łazienka, gdybyś chciał wziąć prysznic. Możemy wyprasować twoje dzinsy i koszulę, kiedy się wysuszą.

–Czuję się trochę dziwnie – wyznał.

–Obiecuję, że nie zakradnę się, żeby cię podglądać.

–Nie, mam na myśli korzystanie w taki sposób z domu kogoś obcego.

–Ona nie jest dla mnie kimś obcym. To moja przyjaciółka.

–Dla mnie jest kimś obcym. Kiedy to się skończy, będę musiał jej się jakoś zrewanżować.

–Możesz spłacić jej hipotekę.

–Drogo by mnie kosztował ten prysznic.

–Mam nadzieję, że nie jesteś skąpy. Nie mogłabym mieszkać ze skąpym facetem – powiedziała i wyszła z pokoju z torbą podróżną i torebką.

Tim stał przez chwilę bez ruchu, myśląc o dwóch słowach, które rzuciła tak zdawkowo: „mogłabym mieszkać”. Gdyby chciał je dogłębnie zanalizować, ubranie wyschłoby na nim samo i nie musiałby go suszyć.

Po chwili rozebrał się, załadował suszarkę, wytarł ręcznikiem podłogę i zabrał inne ręczniki do łazienki na dole.

Gorąca woda dobrze mu zrobiła. Mógłby stać pod prysznicem dłużej, gdyby nie to, że otwór odpływowy przypomniawszy mu rozszerzone, połykające światło źrenice Kraita.

Wyszorowany, wytarty i zawinięty w koc wrócił do kuchni. Miał ochotę coś zjeść, ale krępował się myszkować w szafkach i lodówce.

Usiadł przy stole w kocu, który okrywał go niczym habit mnicha.

Poprzedniego wieczoru, zanim wyszli z domu Lindy, był moment, kiedy jej widok wzbudził w nim najprzeróżniejsze pragnienia, lecz również obawę. Starał się nie zapominać o zaciskającym się węźle strachu i rozluźniającym się węźle dzikiego uniesienia, które zdawały się go jednocześnie krępować i wyzwalać.

Wcześniej nie znał nazwy tego uczucia. Wiedział jednak, że znalazłszy je, zrozumie, dlaczego porzucił nagle spokojne życie, które sobie stworzył, i zdecydował się na nowe, w którym nie było barier bezpieczeństwa.

Teraz wiedział, jak je nazwać. Poczucie celowości.

Kiedyś miał w życiu jakiś cel. Zaangażowanie sprawiło, że się rozwijał.

Z ważnych powodów wybrał później życie, któremu ton nadawała monotonna praca, niewinne przyjemności i możliwie jak najmniej czasu na refleksję.

I w końcu ogarnęło go jakieś niesprecyzowane znużenie, coś w rodzaju rozczarowania oraz poczucia daremności – żadna z tych rzeczy w czystej postaci, lecz wszystkie połączone z innymi uczuciami, których nie potrafił do końca zdefiniować. Mógłby przezwyciężyć zwykłe znużenie, autentyczne rozczarowanie i czyste poczucie daremności, ale niedookreśloność tych emocji sprawiła, że trudniej było się z nimi zmierzyć.

Kiedy zatracił się w fizycznej pracy i prostych przyjemnościach, kiedy najważniejszym celem było dobre dopasowanie kamienia do kamienia i cegły do cegły, kiedy największą satysfakcję dawało rozwiązanie wszystkich krzyżówek w czasopiśmie albo obiad z przyjaciółmi, znużenie ustępowało. W tym niepozornym życiu, w którym nie poświęcał się już żadnej wielkiej sprawie, nie było niczego, co mogłoby go rozczarować, żadnego wyzwania dość ambitnego, by zrodzić w nim wątpliwości i poczucie daremności.

Poprzedniego wieczoru w tawernie skończyły się nagle jego lata ucieczki. Nie rozumiał do końca, dlaczego postanowił zburzyć mury, za którymi żyło mu się tak wygodnie, ale miała z tym coś wspólnego jej fotografia.

Nie zakochał się od pierwszego wejrzenia. Nie spędził życia, szukając kogoś takiego jak Linda. Jej twarz nie różniła się od innych, była atrakcyjna, lecz nie urzekająca. Wcześniej nie był w stanie wyobrazić sobie uczuć, które teraz do niej żywił.

Może było tak: nazwisko osoby, która ma zostać zamordowana, jest zwykłym nazwiskiem, ale jej twarz urealnia cenę przemocy, ponieważ jeśli mamy odwagę na nią spojrzeć, w każdej twarzy widzimy naszą własną bezbronność.

Nie sprawiając w najmniejszym stopniu wrażenia bezbronnej, Linda zeszła na dół ubrana w niebieskie dżinsy i czarny podkoszulek, które miała w torbie.

–W salonie jest kominek gazowy – powiedziała, biorąc

do ręki swoje mokre robocze buty. – Buty powinny wyschnąć

na palenisku. My tymczasem możemy coś szybko przekąsić.

Za oknami świecił szary i lękliwy dzień. Wściekłe strugi ulewy ustąpiły miejsca mżawce.

–Nie mam pojęcia, dlaczego masz taką zadowoloną minę – stwierdziła Linda,

wracając do kuchni.

Szukający Cynthii mężczyzna miał wysokie czoło, krzaczaste białe brwi, potężną szczękę i ogorzałą twarz. Przypominał morskiego kapitana z jakiegoś bardziej surowego stulecia, kogoś, kto dopadł białego wieloryba, zabił go i zawinął do portu z beczkami tranu i ambry.

Zatrzymał się w progu kuchni i zmierzył ostrym spojrzeniem siedzącego przy stole Kraita.

–Kim pan jest?

–Rudyard Kipling. A pan to z pewnością Malcolm.

–Rudyard Kipling? To jakiś nieżyjący pisarz.

–Owszem, nazwano mnie na jego cześć. Z wyjątkiem kilku wierszy w ogóle nie podoba mi się to, co napisał.

Nieufność splotła dwie krzaczaste brwi w jedną.

–Co pan tutaj robi?

–Zaprosili mnie Beth i James. Wszyscy szalenie się przyjaźnimy z Judi i Frankie.

–Judi i Frankie są w Paryżu.

–Miałem z nimi lecieć, ale musiałem odwołać wyjazd. Jadłeś już śniadanie, Malcolmie?

–Gdzie jest Cynthia?

–Oboje machnęliśmy ręką na przestrogi dotyczące węglowodanów. Popijamy gorącą czekoladę i zajadamy grzanki z cynamonem. Pańska żona jest znakomitym kompanem.

Krait musiał zwabić starszego pana w głąb kuchni. Glock leżał na krześle, gdzie nie widziała go wcześniej Cynthia. Jej mąż również nie widział go z miejsca, gdzie stał. Gdyby jednak Krait sięgnął po broń, Malcolm, który i tak już był pełen podejrzeń, mógł się cofnąć. Z całą pewnością rzuciłby się do ucieczki na jej widok.

–Ale gdzie jest teraz? – zapytał, spoglądając chmurnie na talerz i kubek żony.

–Poczula zew natury – odparł Krait, wskazując zamknięte drzwi ubikacji. – Mówiliśmy właśnie, że stara się ratować orły i wieloryby. Bardzo ją za to podziwiam.

–Co takiego?

–Ratuje orły i wieloryby. Mówiliśmy również o głodzie w Afryce. Musi pan być dumny z tego, że tak bardzo wspiera przyrodę.

–Bethany i Jim nigdy nie wspominali o żadnym Rudyardzie Kiplingu.

–Cóż, szczerze mówiąc, nie jestem zbyt interesujący, Malcolmie. Na tysiąc historyjek o Judi i Frankie może jedna przypada na moją skromną osobę.

Starszy pan miał stalowe oczy i przenikliwe spojrzenie.

–Coś z panem jest nie tak – stwierdził.

–Rzeczywiście, nigdy nie podobał mi się mój nos – zgodził się Krait.

–Cynthio! – zawołał Malcolm.

Żaden z nich nie spojrział na zamknięte drzwi ubikacji. Obaj nie spuszczała się z oczu.

Krait sięgnął po Glocka.

Starszy pan rzucił się do ucieczki.

Zrywając się od stołu tak szybko, że przewrócił krzesło, i przestawiając selektor na ogień ciągły, Krait wycelował w drzwi. Malcolm zniknął z pola widzenia.

Krait pobiegł za nim.

Umykając z jadalni z szybkością młodzieńca, starszy pan wpadł na stolik w salonie, potknął się i złapał za fotel, żeby odzyskać równowagę.

Krait posłał mu serię w plecy, od pośladków do karku. Dzięki tłumikowi hałas był mniejszy niż przy strzałach z wiatrówki.

Starszy pan padł na twarz i legł bez ruchu z obróconą na bok twarzą. Oczy miał szeroko otwarte, ale trudno było teraz określić jego spojrzenie jako przenikliwe.

Krait stanął nad Malcolmem i wystrzelał w niego cały przedłużony magazynek. Ciało zadygotało, nie było to jednak oznaką życia, lecz reakcją na grad pocisków.

Marnowanie dwudziestu pocisków na strzelanie do trupa było niepraktyczne, ale konieczne.

Człowiek niniejszego formatu niż Krait mógłby zastąpić zużyty magazynek świeżym

i również go wystrzelać. Opanowanie i wyrozumiałość były dominującymi cechami jego charakteru, ale nawet wyjątkowa cierpliwość wystawiana jest czasem na ciężką próbę.

Otworzył frontowe drzwi i znalazł płaszcz przeciwdeszczowy Cynthii na oparciu huśtawki. Na podłodze werandy leżała jej parasolka i parasol Malcolma. Zabrał wszystko do środka i zamknął drzwi na zasuwkę.

Powiesił płaszcz w szafie w przedpokoju i wstawił tam również oba parasole.

Następnie usiadł przy kuchennym stole z komórką i sprawdził pocztę. Gawędząc z Cynthia, otrzymał wiadomość, że explorer został odnaleziony na parkingu przed restauracją.

Nikt nie zgłosił na razie kradzieży samochodu blisko restauracji, ale jego właściciel mógł to odkryć dopiero po kilku godzinach.

Kraitowi przyszło do głowy, że mogli skorzystać z autobusu, i przekazał tę sugestię grupie wsparcia. O tej porze kursowało tamtędy niewiele autobusów. Musieli odnaleźć i przesłuchać najwyżej kilku kierowców.

Po podłączeniu komórki do ładowarki umył w zlewie naczynia, wstawił je do szafki i wytarł stół.

Nie miał zamiaru sprzątać bałaganu w łazience i w salonie. Cynthia i Malcolm przyszli tu, wtykając nos w nie swoje sprawy, ponieważ córka i zięć nie ustanowili granic, które chroniłyby ich prywatność. Nie powinno go to teraz obchodzić, sprawa należy do rodziny.

Posprzątawszy w kuchni, poszedł na górę, do głównej sypialni, żeby sprawdzić, czy Bethany i Jim mają jakieś pornograficzne wideo albo ciekawe seksualne gadżety.

Nie odkrył niczego związanego z erotyką i w ogóle nic, co pozwoliłoby mu stwierdzić, jakimi są ludźmi. Jim częściej składał, aniżeli zwijał swoje skarpetki. Niektóre majtki Bethany miały z boku wyhaftowanego różowego króliczka. Tabloidy nie znalazłyby tu nic interesującego.

Najciekawszą rzeczą w szufladach szafki w łazience była duża ilość środków przeczyszczających różnych firm farmaceutycznych. Ci ludzie albo nie spożywali żadnych pokarmów zawierających błonnik, albo mieli jelita równie nieefektywne jak instalacje kanalizacyjne Trzeciego Świata.

Bethany i Jim byli tak bezbarwną parą, że Krait dziwił się, dlaczego legendarne Judi i Frankie chciały mieć z nimi coś wspólnego.

Szczoteczki do zębów były w kolorze różowym i niebieskim. Skorzystał z różowej, zakładając, że należy do Bethany. Użył jednak męskiego, nie żeńskiego dezodorantu.

Pozostały czas spędził w kuchni, studiując przysłany pocztą egzemplarz „O”.

O 7.15 otworzył drzwi i uśmiechnął się na widok dwóch toreb: jednej podróżnej, leżącej na huśtawce, i drugiej, mniejszej sportowej, stojącej obok. Dostarczono mu garderobę.

Deszcz przestał padać. Z gałęzi kapłała woda. Słońce przeświecało przez chmury i z mokrej jezdni unosiła się para.

Piętnaście minut później ubrany od stóp do głów przejrzał się w wysokim fazowanym lustrze w drzwiach łazienki.

Kiedy Bethany stała naga w łazience, wielbiciele w lustrzanym świecie obserwowali ją być może bez jej wiedzy. Krait nie mógł zobaczyć istot, które mieszkały w odwróconej rzeczywistości. W lustrze widział tylko siebie, ale to nie oznaczało, że mieszkańcy innego świata podlegali tym samym ograniczeniom.

Kiedy zszedł po raz kolejny na dół i zbliżał się do drzwi, usłyszał zgrzyt klucza. Rygiel obrócił się w zamku i otworzyły się frontowe drzwi.

Do domu weszła kobieta i wydała cichy okrzyk zaskoczenia na jego widok.

–Przestraszył mnie pan – powiedziała.

–A pani mnie. Bethany i Jim nie powiedzieli, że mogę się kogoś spodziewać.

–Jestem Nora, mieszkam w sąsiednim domu.

Nieduża, ale obdarzona sporym biustem, miała krótko obcięte włosy i niebieski lakier na paznokciach, czego nie aprobował.

–To mi przypomina dom w jednym z tych komediowych

seriali – powiedział. – Wszyscy wbiegają, w ogóle nie pukając ani nie dzwoniąc.

–Beth płaci mi za przygotowanie pięciu obiadów w tygodniu – odparła Nora. – W poniedziałek gotuję, a we wtorek pakuję wszystko do jej lodówki.

–A więc to dzięki pani jedliśmy ten przepyszny obiad wczoraj wieczorem.

–Zatrzymał się pan u nich na noc?

–Jestem nieokrzesanym gburem, który informuje o swojej wizycie dziesięć minut

naprzód, ale droga Beth zawsze udaje, że cieszy ją mój widok. Nazywam się Richard Kotzwinkel, wszyscy mówią mi Ricky.

Zrobił krok do tyłu, żeby zachęcić ją do wejścia i równocześnie zasłonić leżącego w salonie Malcolma.

–Kurczę, Ricky, nie chcę ci przeszkadzać.

–Nie, skądże, wejdź. Kiedy ranne ptaszki popędziły dziobać robaki, czy co tam jeszcze robią w tej inwestycyjnej bankowości, Cynthia i ja ucieliśmy sobie przy śniadaniu uroczą pogawędkę.

–Jest z panem Cynthia?

–W kuchni. Jakiś czas temu wpadł do nas również Malcolm. Chociaż w porównaniu z kochaną Cindy, sprawia wrażenie sztywniaka – dodał Kraйт, zniżając głos do szeptu.

Nora weszła głębiej do przedpokoju i zamknęła za sobą drzwi.

–Naprawdę był przepyszny?

–Co takiego? Ach, mówisz o swoim obiedzie. Boski. Był boski.

–Jaki podgrzała zestaw? – zapytała Nora. Miała niebieskie oczy, pełne wargi i gładką skórę.

–Kurczaka – odpowiedział. – Jedliśmy kurczaka.

Zastanawiał się, czy jej nie zgwałcić, ale w końcu po prostu ją zabił. Dla urozmaicenia zrobił to gołymi rękami.

Przypadkowe ofiary budziły niezadowolenie tych, którzy zabiegali o jego usługi, w związku z czym w trakcie misji rzadko kiedy pozbawiał życia inne osoby. Jego wielkoduszni suplikanci powinni to zrozumieć. Jak głoszą nalepki na zderzakach: **NIESZCZĘŚCIA CHODZĄ PO LUDZIACH.**

Wychodząc, zamknął drzwi kluczem Nory, choć nie sądził by powstrzymało to kogoś przed wejściem.

Pete Santo zadzwonił, kiedy kończyli śniadanie. Tim nastawił komórkę na głośne mówienie i położył ją przy półmisku z goframi.

–Nie dzwonię z domu – powiedział Pete. – To telefon z komórki na komórkę.

–Coś się stało – mruknął Tim. – Co się stało?

–Trzymałem się z daleka od zastrzeżonych policyjnych baz danych, próbowałem tylko przepuścić przez Google'a różne nazwiska Kraveta. Trafiłem na złotą żyłę i zacząłem kopać... i nagle przestał działać mój kabel.

–Może to zbieg okoliczności – powiedział Tim.

–Tak jak Święty Mikołaj, który odwiedza cię na Gwiazdkę. A skoro mowa o odwiedzinach, niecałe pół godziny później, o piątej, złożyło mi wizytę trzech facetów.

–To nie byli trzej mędracy.

–Raczej trzej mędrkowie.

–Czego chcieli? – zapytała Linda.

–Nie było mnie, kiedy przyszli. Obserwowałem ich z ulicy. Nie zamierzam wracać szybko do domu.

–Nie zostawiłeś tam chyba Zoey? – zaniepokoiła się.

–Zoey jest ze mną.

–Więc co to za żyła złota? – chciał wiedzieć Tim.

–Posłuchaj, Hitch Lombard zna numer mojej komórki, więc ci faceci też go mają – oznajmił Pete, nie odpowiadając na jego pytanie. – Może znają i twój.

–Znają go – potwierdził Tim. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że mogą nas podsłuchać?

–Lokalni gliniarze nie, ale ci faceci być może tak. Kto wie? Z każdym tygodniem są lepsi w te klocki.

–I chociaż namierzenie komórki nie jest takie łatwe jak telefonu stacjonarnego, można tego dokonać – stwierdziła Linda.

Tim posłał jej pytające spojrzenie.

–Zbierałam materiały do książki – wyjaśniła.

–Musicie kupić komórkę na kartę – powiedział Pete – żeby mieć numer, którego oni nie znają. Wtedy zadzwonicie do mnie na numer, którego też nie znają.

–Prześlesz mi swój numer telepatycznie? – zapytał Tim.

–Co powiesz na to? Pamiętasz faceta, który stracił dziewictwo przebrany za Shreka?

–I który teraz ma pięcioro dzieci.

–O nim mówię.

–Nie mam jego numeru.

–Zadzwoń do niego do pracy. Numer jest w książce telefonicznej. Powiedz, że chcesz z nim mówić, podaj swoje nazwisko, połączą cię. Będę tam za mniej więcej godzinę.

Tim zakończył rozmowę i wyłączył komórkę.

–Co to za facet? – zapytała Linda.

–Kuzyn Pete'a, Santiago.

–Przebrał się ze Shreka?

–To był bal kostiumowy. Wszyscy przyszli przebrani za postaci z komiksów. Nie było mnie tam.

–Za kogo przebrała się ta, z którą stracił dziewictwo?

–Za Jessicę Rabbit z Kto wrobił Królika Rogera? Ma na imię Mina. Ożenił się z nią. Dzieci są naprawdę miłe i zielone.

–Lepiej szybko się stąd wynośmy. – Linda odsunęła krzesło od stołu.

Tim wyjął z suszarki swoje ubranie i wyprasował je, a ona posprzątała po śniadaniu. Ich przemoczony buty nie wyschły do końca, ale dało się je nosić.

W garażu na dwa samochody stała należąca do Teresy honda accord. Jedna z jej towarzyszek podróży podwiozła wszystkie panie na lotnisko.

Linda znalazła kluczyki w kuchennej szufladzie i dała je Timowi.

–Jeżeli czeka nas kaskaderska jazda tak jak wczoraj wieczorem, wolę, żebyś to ty siedział za kółkiem – powiedziała.

Honda pasowała Timowi, mimo że nie miał w niej dość miejsca na nogi. Nie rzucała się w oczy i nie miała połączenia z satelitą, dzięki czemu nie można było jej namierzyć.

Kiedy drzwi garażu uniosły się w górę, oczekiwał niemal, że na podjeździe będzie stał zabójca o głodnych oczach z wycelowanym w nich pistoletem maszynowym.

Promienie słońca przedzierały się przez postrzępioną zasłonę chmurnego nieba, uwalniając ziemię od zalegającego po niedawnej burzy mroku.

–Gdzie kupimy o tej porze komórkę na kartę? – zastanawiała się Linda.

–Samoobsługowe hurtownie otwierają wcześniej rano. Jako właściciel firmy budowlanej jestem klientem jednej z nich. Ale nie mam za dużo pieniędzy.

–Mam pięć tysięcy w setkach – odparła, wyjmując z torebki grubą kopertę.

–Nie pamiętam momentu, kiedy obrabowałam bank.

–W domu mam również schowane złote monety. Zeszłej nocy, kiedy się pakowałam, gotówka wydała mi się praktyczniej sza.

–Nie ufasz bankom?

–Trzymam pieniądze w banku. Ale nie zawsze można je wyjąć tak szybko, jak są potrzebne. To są moje pieniądze na moment, kiedy coś legnie w gruzach.

–Kiedy co legnie w gruzach?

–Cokolwiek. Wszystko.

–Myślisz, że zbliża się dzień sądu czy coś w tym rodzaju?

–Wczoraj wszystko się zawaliło, prawda?

–Chyba tak – przyznał.

–Już nigdy nie będę bezradna – powiedziała z zaciętą miną.

–Nasza sytuacja jest trudna, ale nie beznadziejna – zapewnił ją.

–Nie mam na myśli tego, co jest teraz – stwierdziła, chowając pieniądze do torebki.

–Masz na myśli moment, kiedy byłaś bezradna dawno temu... z Molly i z innymi sprawami.

–Tak.

–Chcesz porozmawiać o tych innych sprawach?

–Nie.

–Powiedziałaś mi o Molly.

–Nawet to było bardzo bolesne.

Tim skręcił na estakadę prowadzącą do autostrady. Jadące jeden za drugim samochody pędziły z niebezpieczną szybkością, mijając rejony określone przez agentów nieruchomości mianem „kolejnego dnia w raju”.

–Jeśli chcesz znać szczerą prawdę, w ostatecznym rozrachunku wszyscy jesteśmy bezradni – mruknął.

–Lubię szczerą prawdę. Ale niech mnie diabli, jeśli dałam za wygraną – odparła i aż do zjazdu do hurtowni nie odzywali się do siebie.

Panujące między nimi milczenie nie było krępujące. Tim przypuszczał, że bez względu na to, jak daleko i jak długo by ze sobą podróżowali, mieli już za sobą etap, kiedy jakiegokolwiek milczenie mogło ich krępować. Zakłopotanie może się pojawić, gdy któreś z nich będzie w końcu gotowe się odsłonić.

Siedząc w samochodzie przed domem Bethany i Jima, Krait wysłał do grupy wsparcia zakodowaną wiadomość o trzech znajdujących się tam trupach.

Nie sugerował, jakiego rodzaju środki powinny zostać zastosowane. Tego rodzaju decyzje nie należały do jego kompetencji. Wiadomość miała charakter wyłącznie informacyjno-ostrzegawczy.

PRZEPRASZAM ZA BAŁAGAN, ALE NIE DAŁO SIĘ GO UNIKNAĆ, dopisał, po czym zakończył cytatem z T.S. Eliota: **MOŻESZ UCIEC PRZED ŻYCIEM, LECZ NIE PRZED ŚMIERCIA.**

Chociaż nie spotkał nigdy żadnego z członków grupy wsparcia, wyobrażał sobie, że jest dla nich postacią legendarną, kimś mitycznym, uosobieniem samej śmierci. Od czasu do czasu lubił wysyłać im cytaty jak ten z Eliota, żeby wiedzieli, iż jego erudycja dorównuje sprawności w zabijaniu, i służyli mu z jeszcze większym zapalem.

Jeżeli kiedykolwiek chodził do szkoły, musiało się to dziać w okresie jego dzieciństwa i dojrzewania. Nie pamiętał jednak, by pobierał jakieś nauki, podobnie jak nie pamiętał innych rzeczy sprzed osiemnastego roku życia. Był jednak doskonałym autodydaktykiem i wielu rzeczy nauczył się sam.

T.S. Eliot nie był pisarzem, którego by aprobował, ale nawet ktoś pozostający w permanentnym błędzie może czasem napisać coś słusznego. Gdyby Eliot nadal żył, Krait pozbawiłby go życia.

Grupa wsparcia będzie prawdopodobnie chciała, żeby to Bethany i Jim odkryli ciała mamy, taty i sąsiadki Nory. Kiedy rozpocznie się policyjne śledztwo, grupa wsparcia zniszczy bądź też podważy wszelkie obciążające Kraita dowody rzeczowe. Podrzuca również DNA, włosy i włókna, które wprowadzą w błąd policję i skierują ją w ślepią uliczkę.

Krait nie znał nazwy organizacji, której częścią składową była grupa wsparcia, ale myślał o niej jako o Klubie Dzentelmenów albo po prostu klubie. Nie wiedział, czym jest Klub Dzentelmenów, jaki cel przyświeca jego członkom i dlaczego pragną śmierci pewnych ludzi, i nie chciał tego wiedzieć.

Przez ponad dekadę wykonywał na własną rękę zlecenia mafii oraz suplikantów poleconych przez osoby wdzięczne za to, że zlikwidował ich kłótliwych małżonków, bogatych rodziców oraz inne przeszkody nie pozwalające wieść wygodnego życia. Siedem lat temu skontaktował się z nim członek klubu z propozycją, by zabijał dla nich w sposób regularny.

Rozmowa odbyła się w superdługiej limuzynie w nocy, w Chicago. Wewnętrzne lampki były zgaszone i przedstawiciel klubu był dla Kraita tylko sylwetką w kaszmirowym palcie, kimś, kto siedział w drugim końcu luksusowo wykończonej kabiny.

Mężczyzna mówił z akcentem, który zdaniem Kraita charakteryzował bostońskich jajogłowych. Był elokwentny i jego maniery świadczyły o tym, że urodził się w bogatej i wpływowej rodzinie. Chociaż nie nazywał swoich tajemniczych współników inaczej jak „nasi ludzie”, Krait określał go w duchu mianem dżentelmena, a jego grupę jako Klub Dżentelmenów.

Kiedy dżentelmen opisał, jakiego rodzaju wsparcie będzie mu udzielane, na Kraicie zrobiło to duże wrażenie. Był to kolejny dowód, że nawet jeżeli nie należy do zupełnie innego gatunku niż rodzaj ludzki, to w każdym razie góruje nad jego przedstawicielami i wyraźnie się od nich różni.

Najlepsze w grupie wsparcia było to, że służyła ona Kraitowi nie tylko wtedy, gdy zabijał dla Klubu Dżentelmenów, lecz również kiedy wypełniał misję na rzecz mafii lub innego suplikanta. Nie chcieli mieć go na wyłączność, a mimo to zawsze byli do jego dyspozycji.

Były dwa powody tej wielkoduszności. Pierwszy wynikał z uznania jego wyjątkowego talentu. Chcieli być pewni, że nigdy nie dojdzie do sytuacji, w której byłby dla nich nieosiągalny z powodu swego uwięzienia.

Po drugie, nie chcieli, by Krait odkrył, jakiego rodzaju ludzi ma dla nich zabijać, i na tej podstawie wydedukował, jakie cele i misja przyświecają Klubowi Dżentelmenów. Z tego względu klub płacił mu gotówką przekazywaną przez ludzi, których nie był w stanie odróżnić od wysłanników mafii lub nielojalnych mężów, synów i partnerów w biznesie.

Płacili mu gotówką również dlatego, by nie można było odkryć żadnego związku między nimi i ich zabójcą na wypadek, gdyby pewnego dnia, mimo wszystkich podejmowanych na jego rzecz heroiczych wysiłków, powinęła mu się noga.

Po tamtej przejażdżce limuzyną w Chicago Krait nigdy już nie spotkał osoby, co do której miałby pewność, że należy do klubu.

W gruncie rzeczy nie miało dla niego znaczenia, kto jest, a kto nie jest kurierem klubu. Uwielbiał zabijać, był za to hojnie wynagradzany i czuł, że zapomnienie jest łaską, którą winien jest każdemu ze swoich suplikantów. Wymazywał na zawsze z pamięci twarze wszystkich, którzy przekazali mu gotówkę.

Krait miał niezwykłą zdolność nieodwracalnego kasowania wszelkich wspomnień, których nie chciał zachować. Twarze ludzi składających na jego ręce petycje lub

przekazujących je w imieniu innych przepadały równie bezpowrotnie, jak przepada w przestrzeni kosmicznej astronauta odcięty od przewodów łączących go z macierzystym statkiem.

Życie było o wiele prostsze, kiedy można było posłać w czarną dziurę, bez obawy, że kiedykolwiek powrócą, nie tylko takie rzeczy jak twarze kurierów, lecz również paskudne epizody i całe połacie czasu wypełnione niesatysfakcjonującymi doznaniem.

Nigdy nie rozmawiał przez telefon z żadnym z członków klubu. Komunikacja odbywała się wyłącznie poprzez zakodowane wiadomości tekstowe. W sądzie można posłużyć się jako dowodem rzeczowym analizą głosu, lecz nikt nie potrafi udowodnić ponad wszelką wątpliwość, czyje palce wystukały wiadomość.

W tawernie Lamplighter, biorąc omyłkowo Timothy'ego Camera za suplikanta, zakładał, że ta misja nie ma nic wspólnego z Klubem Dżentelmenów. Jajogłowy i jego ludzie nigdy nie powiedzieliby Kraitowi, żeby zatrzymał połowę pieniędzy jako zapłatę za powstrzymanie się od zabicia ofiary. Ci ludzie nie zmieniali zdania. Kiedy chcieli, żeby ktoś zginął, chcieli, żeby zginął na dobre i bez nadziei na zmartwychwstanie.

Krait w dalszym ciągu wątpił, by zabójstwo Paquette zostało zleczone przez klub. Nie wydawała się nikim ważnym. Ludzie dzierżący w ręku władzę i pieniądze nie zwracają uwagi na takie kobiety. A skoro tak, nie powinno im zależeć, by zostały zlikwidowane.

Po wysłaniu zakodowanej wiadomości dojechał do autostrady Pacific Coast i ruszył nią na południe, do restauracji, przy której Carrier porzucił explorera. Przetrzęsął cały pojazd od dachu po podłogę, ale nie znalazł niczego użytecznego.

Kiedy się z tym uporał, zawibrowała jego komórka. Grupa wsparcia informowała go, że jeden z kierowców autobusu zapamiętał, iż w Dana Point wysiadła para pasująca do opisu Camera i Paquette.

Krait ruszył w tamtą stronę, a grupa wsparcia zabrała się do analizy billingów kobiety w nadziei, że zidentyfikuje osobę, którą mogła znać w tej nadmorskiej miejscowości.

Chmury się rozeszły, na niebie pokazał się błękit i słońce ozłociło nadmorskie wzgórza, plaże i łuskowate morze.

Kraita rozpierała życiodajna energia. Wypełniający go ogień był podobny do ognia, który płonie w piecu, lecz go nie spala. Taki wpływ miało na niego zadawanie śmierci.

W samoobsługowej hurtowni oferowano za porażającą cenę jednogalonowe słoje z majonezem, po sześć w kartonie. Za skromną sumę można było również nabyć dość kostek tofu, żeby wybudować dom z dwiema sypialniami.

Poszukujący telefonu komórkowego na kartę Tim i Linda nie zawracali sobie głowy wielkimi wózkami na zakupy, na których można by przewieźć ochwaczonego konia. Inni klienci ładowali na swoje wózki przyzmy papieru toaletowego, rajstopy w opakowaniach po siedemdziesiąt dwie sztuki oraz baryłki koktajlowych cebulek.

Młoda para popychała przed sobą dwa wózki z siedzącymi tyłem do kierunku jazdy identycznymi trzyletnimi dziewczynkami, zupełnie jakby skorzystali z wyjątkowej okazji w alejce dziewiątej i kupili dwójkę dzieci w cenie jednego.

Tim martwił się czasami, że nawykli do obfitości wszelakich dóbr Amerykanie uważają ten poziom zamożności i możliwości wyboru za normę istniejącą od zawsze i nawet teraz obowiązującą wszędzie z wyjątkiem najbardziej zacofanych zakątków tej planety. Społeczeństwom, które wiedzą zbyt mało o swojej historii albo które zamiast prawdziwej złożoności i piękna widzą w niej wyłącznie łatwe propagandowe klisze, może grozić nagły upadek.

Nabyli komórkę odpowiadającą ich potrzebom oraz elektryczną golarkę dla Tima. Zaskoczony skromnymi, składającymi się zaledwie z dwóch pozycji zakupami kasjer uniesieniem brwi wyraził dezaprobatę wobec ich iście nieamerykańskiej wstrzeźliwości.

Tim podjechał hondą do pobliskiego centrum motoryzacyjnego, a Linda skorzystała ze swojego telefonu, aby uaktywnić komórkę, którą właśnie kupili. Ponieważ w skład pakietu wchodziła pewna liczba bezpłatnych minut, nie musiała podawać numeru karty kredytowej ani nazwiska.

System ten, nie zabroniony jeszcze przez prawo, stanowił wielkie ułatwienie dla terrorystów, którzy kupowali komórki, by rozmawiać bez ryzyka namierzenia, a także wykorzystać je w charakterze zapalników bomb zegarowych.

Na szczęście również uczciwym obywatelom wolno było korzystać z tej przyjaznej dla użytkownika technologii.

Centrum motoryzacyjne składało się z wielu salonów usytuowanych jeden obok drugiego przy drodze w kształcie ósemki i sprzedających prawie wszystkie istniejące marki samochodów. Proporce powiewały na wietrze, bannery zachęcały do kupna, karoserie tysięcy pojazdów lśniły na asfaltowych parkingach niczym szlachetne kamienie w gablocie jubilera.

Każdy salon potrzebował wszystkich swoich miejsc parkingowych na pojazdy oferowane do sprzedaży, czekające na naprawę oraz dla potencjalnych klientów. W konsekwencji samochody pracowników, naprawione auta czekające na odbiór oraz przyjęte w rozliczeniu, lecz nieprzygotowane jeszcze do ponownej sprzedaży, stały na zewnątrz, zaparkowane przy ulicy.

Tim stanął przy krawężniku tuż za dwuletnim srebrnym cadillakiem i wyjął z torby podróżnej Lindy swój zestaw narzędzi w winylowym futerale.

Linda została w hondzie, żeby przekonać się, czy szeroko reklamowana „natychmiastowa aktywacja” nastąpi po kilku minutach, czy po kilku godzinach.

Raczej jawnie aniżeli ukradkiem, szybko, lecz bez zbędnego pośpiechu Tim odkręcił przednie i tylne tablice rejestracyjne hondy i wrzucił je do bagażnika.

Żaden przejeżdżający kierowca nie powinien zainteresować się mężczyzną krzającym się przy samochodzie w środku centrum motoryzacyjnego.

Salony sprzedaży stały w tak dużej odległości od wjazdu na parking, że żaden z pracowników nie widział tego, co dzieje się na ulicy.

Tim podszedł do srebrnego cadillaca. Samochód był zamknięty. Zerkając przez szyby, nie zobaczył w środku żadnych osobistych rzeczy. Schowek na rękawiczki był otwarty i chyba pusty.

Wszystko wskazywało na to, że to świeży nabytek, którego nie odesłano do przeglądu przed sprzedażą i który mógł w związku z tym stać tu jeszcze przez parę dni. W Kalifornii tablice rejestracyjne zostawały na samochodzie oddanym w komis, a nabywca odjeżdżał nowym autem bez tablic, które przysyłano mu później pocztą.

Gdyby cadillac robił wrażenie auta należącego do pracownika salonu, Tim postarałby się znaleźć inny pojazd. Zależało mu, żeby jak najpóźniej zauważono brak tablic.

Odkręcił tablice od cadillaca i przymocował do hondy accord.

–Na razie nie aktywowali komórki – powiedziała Linda, kiedy usiadł z powrotem za kierownicą. – Gdybym nadal była pisarką, napisałabym nowelkę o psychopacie ścigającym ekspedienta, który oszukał go, obiecując natychmiastową aktywację.

–Co zrobi psychol, kiedy dopadnie ekspedienta?

–Dezaktywuje go.

–Nadal jesteś pisarką – stwierdził.

–Sama nie wiem – mruknęła, kręcąc głową. – A skoro ja nie wiem, skąd ty miałbyś to wiedzieć?

–Bo jesteśmy tym, kim jesteśmy – odparł, zapalając silnik hondy.

–To bardzo głęboka myśl. Jeżeli napiszę kolejną książkę, na pewno ją wykorzystam.

–Myślałem, że mogę być tylko murarzem. Jestem murarzem, jak najbardziej, ale jestem również tym, kim byłem.

Ruszając z miejsca, ponownie poczuł na sobie to zielone spojrzenie.

–A kim byłeś? – zapytała.

–Mój tata też jest murarzem, i to cholernie dobrym. To, że jest murarzem, określa go w znacznie większym stopniu niż mnie, choć chciałbym, żeby ze mną było tak samo jak z nim.

–Twój tata jest murarzem? – powtórzyła z podziwem, jakby zdradził jakiś magiczny sekret.

–Dlaczego cię to dziwi? Fachowcy pragną, żeby ich dzieci kontynuowały rodzinną tradycję.

–To musi zabrzmieć głupio, ale odkąd się u mnie pojawiłeś, wszystko działo się tak szybko... nigdy nie przyszło mi do głowy, że masz ojca. Lubisz go?

–Czy go lubię? Dlaczego miałbym go nie lubić?

–Między ojcami i synami nie zawsze układa się najlepiej.

–Jest wspaniałym facetem. Najlepszym.

–Mój Boże, więc pewnie masz również matkę, prawda?

–Mój ojciec nie jest amebą, nie podzielił się na pół, żeby mnie stworzyć.

–O mój Boże – szepnęła cicho z czymś w rodzaju zachwyty. – Jak ma na imię twoja matka?

–O mój Boże, ma na imię Mary.

–Mary – powtórzyła Linda, jakby nigdy wcześniej nie słyszała tego imienia, jakby układało się na jej języku w słodką melodię. – Naprawdę jest cudowna?

–Jest tak cudowna, że czasami trudno to wytrzymać.

–Jak się nazywa twój tato?

–Walter.

–Walter Carrier?

–To chyba logiczne, nie?

–Czy ma tak samo dużą głowę jak ty?

–Nie pamiętam, żeby była mniejsza.

–Walter i Mary. O mój Boże.

–Co cię tak śmieszy? – zapytał skonsternowany.

–Myślałam, że jesteś nieznanym lądem.

–Jakim nieznanym lądem?

–Niezależnym państwem, egzotycznym krajem, o którym tyle trzeba się dowiedzieć, w którym trzeba poznać tyle rzeczy. Ale ty nie jesteś nieznanym lądem.

–Nie jestem?

–Jesteś całym światem.

–To ma być kolejny dowcip na temat mojej wielkiej głowy?

–Masz jakichś braci albo siostry?

–Nie mam sióstr – odparł Tim, wyjeżdżając z centrum motoryzacyjnego. – Jednego brata. Ma na imię Zach. Jest ode mnie pięć lat starszy i ma normalną głowę.

–Walter, Mary, Zach i Tim – powiedziała Linda i sprawiło jej to chyba wielką przyjemność. – Walter, Mary, Zach i Tim.

–Nie wiem, dlaczego to takie ważne, ale nagle wszystko wydaje się ważne, więc może powinienem dodać, że Zach ożenił się z Laurą i mają małą córeczkę, która ma na imię Naomi.

Chociaż oczy Lindy lśniły, jakby powstrzymywała łzy, nie wyglądała na kobietę, która ma zamiar wybuchnąć płaczem. Wprost przeciwnie.

Tim wyczuł, że być może stąpa po kruchym lodzie, ale zadał pytanie, które cisnęło mu się na usta.

-A twoja mama i tato?

W tym momencie zadzwoniła komórka na kartę. Linda odebrała telefon.

-Tak – powiedziała w odpowiedzi na pytanie rozmówcy. – Tak. Dziękuję.

Usługa została aktywowana.

Sprawdzając zawartość biurka w niewielkim gabinecie Teresy Mendez, Krait dowiedział się o niej wielu rzeczy, które mu się nie spodobały. Hołdowała wyłącznie niewłaściwym wartościom.

Najważniejszą rzeczą dotyczącą tej trzydziestodwuletniej owdowiałej asystentki medycznej było to, że przebywała aktualnie na wakacjach w Nowym Jorku wraz z dwiema kobietami – Glorią Nguyen oraz Joan Applewhite. Krait odkrył to, zaglądając do jej kalendarzyka.

Wyjechała w zeszłą niedzielę. Teraz był wtorek. Miała wrócić do domu w najbliższą niedzielę.

Po wewnętrznej stronie drzwiczek szafki pod zlewozmywakiem wisiała ściereczka. Była mokra.

W obu łazienkach, na parterze i na piętrze, na podłodze pod prysznicem lśniły krople wody. Fuga między płytkami glazury pociemniała od wilgoci.

Gazowy kominek w salonie palił się wcześniej w ciągu dnia. Obramowujące palenisko cegły były ciepłe.

W garażu na dwa samochody nie było żadnych pojazdów.

Wdowa Mendez mogła pojechać na lotnisko własnym autem. Ale jeśli miała dwa auta, to drugie przywłaszczyli sobie teraz Carrier i kobieta.

Krait wysłał zakodowaną wiadomość do grupy wsparcia, prosząc o informacje na temat pojazdów mechanicznych zarejestrowanych na Mendez.

Po pewnym czasie, kiedy zaspokajał ciekawość, sprawdzając zawartość należącej do wdowy zamrażarki, grupa wsparcia poinformowała go, że Mendez ma tylko hondę accord.

Podali mu numery rejestracyjne, ale nie na wiele mogły się one przydać komuś, kto nie dysponował sankcjami prawnymi. Krait nie mógł zarządzić policyjnych poszukiwań.

Na krótką chwilę stracił z oczu zwierzyną. Zbyttno się tym nie przejął. Mogli znaleźć tylko chwilowy azyl. Świat, w którym żyli, należał do Kraita. Był w nim księciem, a oni zwykłymi plebejuszami, i powinien ich znaleźć wcześniej, niż się spodziewali.

Spędziwszy szesnaście aktywnych godzin bez chwili snu, stwierdził, że być może to

zrządzenie losu, które pozwala mu odpocząć przed ostateczną rozgrywką.

Zaparzył sobie dzbanek zielonej herbaty.

W wąskiej spiżarni znalazł opakowanie zwykłych biszkoptów. Położył sześć na talerzyku.

W wysokim kredensie odkrył uroczy niebieski termos z czarno-białym romboidalnym wzorem – na górze i na dole. Kiedy herbata naciągnęła, wlał ją do termosu.

Zasłużony odpoczynek, który miał nadzieję odnaleźć w rezydencji Bethany i Jima, czekał go tutaj, w skromniejszym domu wdowy Mendez.

Zaniósł termos, kubek, talerzyk z biszkoptami oraz dwie papierowe serwetki na górę, do głównej sypialni, i umieścił wszystko na nocnej szafce.

Rozebrawszy się i ułożywszy ubranie tak, żeby się nie pogniotło, odkrył w szafie wdowy dwa szlafroki. Żaden nie mógł należeć do jej zmarłego męża.

Pierwszy był pikowany, różowy, kwiecisty i pozbawiony stylu. W jednej z kieszeni znalazł budzące wstręt zużyte chusteczki i pół rolki pastylek do ssania.

Na szczęście drugi szlafrok uszyty z błękitnego jedwabiu prawie na niego pasował i był miły w dotyku.

Po zdjęciu narzuty z łóżka i ułożeniu czterech miękkich poduszek tak, by mógł się o nie oprzeć, Krait odkrył w szafie kosz z brudnym praniem. Wdowa Mendez nie zdążyła uporać się z wszystkimi pracami domowymi przed wyjazdem do Nowego Jorku.

W brudach znalazł elastyczny biustonosz bez twardych miseczek, dwa podkoszulki i trzy pary majtek. Położył je na najwyższej poduszce, o którą chciał się oprzeć, pijąc herbatę, i na której miał ułożyć twarz, kiedy zmorzy go sen.

Jedynymi rzeczami do czytania w sypialni wdowy były czasopisma, które raczej go nie pociągały. Przypomniał sobie, że w gabinecie widział kilka książek, i zszedł w seksownym jedwabnym szlafroku na dół, żeby je przejrzeć.

Teresa nie była namiętną czytelniczką. W gabinecie miała przede wszystkim książki z dziedziny popularnej psychologii i poszukiwań duchowych, samouczki, a także poradniki medyczne. Krait uznał je wszystkie za głupawe.

Jego zainteresowanie wzbudziło tylko sześć powieści. Zaintrygowały go ich tytuły: Rozpacz, Ostatnie stadium raka, Martwi i wyczuci z nadziei...

Do przekonania trafił mu zwłaszcza tytuł Ostatnie stadium raka. Wziął książkę z półki.

Nazwisko autorki, Toni Zero, miało w sobie coś sympatycznie nihilistycznego. Był to oczywiście pseudonim, i to taki, który mówił czytelnikowi: „Będziesz frajerem, jeśli wybulisz na tę książkę pieniądze, ale jestem pewna, że to zrobisz”.

Ilustracja na okładce zrobiła na nim wrażenie wyrafinowanej, brutalnej i ponurej. Zapowiadała demaskatorski obraz człowieczeństwa jako załganej bałamutnej fikcji.

Odwróciwszy książkę, by przyjrzeć się tylnej okładce, znieruchomiał, widząc fotografię autorki. Toni Zero była Lindą Paquette.

Kiedy Tim zatrzymał się na pustym parkingu centrum handlowego, Linda zadzwoniła do informacji, żeby zapytać o numer Santiago Jalisco, restauracji, której właścicielem był kuzyn Pete'a Santo, vel Shrek. Do otwarcia sklepów mieli ponad godzinę.

Gdy podała nazwisko Tima, recepcjonistka natychmiast połączyła ją z biurem szefa. Telefon odebrał sam Pete. Zaskoczyło go, że słyszy jej głos zamiast głosu Tima.

–Włączę głośne mówienie – powiedziała.

–Hej, poczekaj, chciałem się czegoś dowiedzieć.

–O czym?

–Co myślisz?

–Na jaki temat?

–O nim. Co o nim myślisz?

–To chyba nie twoja sprawa.

–Masz rację, nie moja, ale strasznie mnie to ciekawi.

Tim posłał jej pytające spojrzenie.

–Myślę, że ma uroczą głowę – odpowiedziała Pete'owi.

–Uroczą? Nie mówimy chyba o tym samym pustynnym psie.

–Pustynny pies... Co to swoją drogą znaczy?

–Włącz głośnik – powiedział niecierpliwie Tim. – Włącz głośnik.

Linda posłuchała go.

–Jesteśmy na antenie – poinformowała Pete'a.

–Chyba rozumiem, dlaczego z małżeństwa nie zostało ci nic poza wypchanym marlinem – burknął Tim.

–Mam tylko martwą rybę i nieśmiałą sukę, ale żadna z nich przynajmniej nie zatruwa mi życia.

–Tyle ci tylko zostało, biedna ofermo. Co dla nas masz?

–Pamiętasz kawiarnię Cream and Sugar w Laguna Beach?

–Nie za bardzo – odparł Tim.

–Znam ją. To znaczy znałam – powiedziała Linda. – Chodziłam tam. Trzy przecznice od mojego domu. Miłe patio.

–Wspaniałe szarlotki – dodał Pete.

–Z migdałami.

–Cieknie mi ślinka. Tak czy inaczej, pewnego dnia, półtora roku temu, wczesnym rankiem, tuż przed otwarciem, kawiarnia doszczętnie spłonęła w pożarze.

–To było istne piekło – przypomniała sobie Linda.

–Strażacy uważali, że użyto akceleratorów, i to nie tych najczęściej spotykanych, ale takich, których skład chemiczny jest praktycznie nie do ustalenia.

–Tak, teraz pamiętam – mruknął Tim. – Nigdy tam nie byłem. Pamiętam mgliście, jak tamtędy przejeżdżałem.

–Po ugaszeniu pożaru – podjął Pete – znaleźli w środku cztery kompletnie zwęglone ciała.

–Właścicielem był Charlie Wen-ching-powiedziała Linda. – Najśłodszy człowiek pod słońcem, nigdy nie zapomnę jego nazwiska. Traktował wszystkich stałych klientów jak rodzinę.

–Tak naprawdę nazywał się Chou Wen-ching – sprecyzował Pete – ale od trzydziestu lat używał imienia Charlie.

Wyemigrował z Tajwanu. Niegłupi biznesmen, porządny człowiek.

–Poza tym znaleziono tam ciała dwóch jego synów.

–Michaela i Josepha. To była rodzinna firma. Czwartą ofiarą była siostrzenica Valerie.

Chociaż otaczały ich akry pustego asfaltu, Tim bez przerwy rozglądał się po parkingu i zerkał we wsteczne lustro.

Na dole nie było prawie wiatru, ale wysokie prądy powietrzne gnały postrzępioną flotę chmur na wschód. Po asfalcie sunęły cienie upiornych galeonów.

–Wszyscy zginęli w chłodni, gdzie przechowywano mleko i ciasto – opowiadał Pete.
– Koroner ustalił później, że zanim wybuchł pożar, zostali śmiertelnie postrzeleni.

–Dlatego nie śledzę codziennych wiadomości – mruknął Tim. – Dlatego każdego dnia chcę zbudować kawałek muru.

–To dzielnica handlowa, dość gęsto zaludniona, ale nikt nie słyszał żadnych strzałów.

–To zawodowiec – stwierdził Tim. – Ma odpowiedni sprzęt.

–Dwie osoby widziały jednak, jak ktoś wychodzi z Cream and Sugar mniej więcej dziesięć minut przed wybuchem pożaru. Ten ktoś przeszedł przez szosę na wysokości kawiarni, wszedł do motelu, oddał klucz i odjechał. Zatrzymał się tam na jedną noc, w pokoju numer czternaście. Nazywał się Roy Kutter.

–Te same inicjały – stwierdziła Linda. – To jedno z nazwisk używanych przez Kraveta.

–Mam kserokopię jego prawa jazdy. Adres gdzieś w San Francisco. Ten sam uśmiechnięty kutas.

–Ale jeżeli ktoś go widział... – zaczął Tim.

–Interesowano się nim przez jakieś czterdzieści osiem godzin. Policja chciała z nim porozmawiać. Odnaleziono go, a on oświadczył, że świadkowie wszystko pomylili. Zapewnił, że nie wychodził z kawiarni, nie mógł z niej wyjść, ponieważ w ogóle do niej nie wszedł. Mówił, że poszedł tam, żeby kupić kawę na wynos, ale kawiarnia jeszcze nie działała, drzwi były zamknięte na klucz. Nie mógł czekać dwudziestu minut, ponieważ miał pilne spotkanie.

–Jakie spotkanie? Czym się zajmuje? – dopytywał się Tim.

–Zarządzaniem kryzysowym.

–Co to znaczy?

–Bóg jeden wie. Pracuje prawdopodobnie dla jakiejś agencji federalnej.

–Której?

–W relacjach ze śledztwa ta sprawa nie została wyjaśniona.

–Ale zrobił wrażenie wiarygodnego? – chciała wiedzieć Linda. – Wypuścili go na wolność, tak?

–Tu właśnie zacząłem czytać między wierszami – ciągnął Pete. – Z relacji prasowych wynika, że prowadzący śledztwo detektyw, a także jego szef chcieli przycisnąć tego Kuttera mocniej, być może nawet znaleźć pretekst, żeby go wsadzić.

–Więc dlaczego tego nie zrobili?

–Może odczytuję zbyt wiele między wierszami, ale mam wrażenie, że ktoś przycisnął ich, kiedy próbowali przycisnąć Kuttera.

–Tak jak ktoś przycisnął Hitcha Lombarda – powiedział Tim.

–Dokładnie. I dość szybko policja przestała się interesować Royem Kutterem.

Na parking wjechało kilka samochodów i zaparkowało w różnych rzędach. Ludzie, którzy z nich wysiedli i weszli do centrum handlowego, mogli być pracownikami lub kierownikami sklepów przybyłymi na godzinę przed otwarciem. Nikt nawet nie spojrzął w stronę hondy.

–Ale dlaczego ma mieć jakieś znaczenie to, że chodziłam tam na kawę? – zapytała Linda. – Nie poszłam tam w dniu pożaru. Nie sądzę również, że bym była tam w tygodniu poprzedzającym pożar. Dlaczego ktoś chce mnie zabić za to, że chodziłam do kawiarni Cream and Sugar?

Oglądany ze skromnej kuchni Santiago Jalisco świat wydawał się z pewnością bardziej uporządkowany i normalny niż tu, na otwartym terenie, gdzie Kravet poszukiwał już zapewne za pomocą swoich magicznych sztuczek należącej do Teresy hondy.

–Robisz sobie ze mnie jaja, dziewczyno, czy naprawdę chcesz powiedzieć, że ktoś chce cię zabić? – zapytał Pete.

–Nadeszła chyba pora, że bym powiedział ci, o co w tym wszystkim chodzi – stwierdził Tim.

–Tak. Chyba tak – mruknął Pete.

Tim opowiedział pokrótce o tym, co zdarzyło się w tawernie, o dwóch przypadkach błędnego ustalenia tożsamości.

–Słodki Jezu, Bramkarzu.

–Więc tak to mniej więcej wygląda – podsumował Tim. – Nie dysponujemy żadnymi dowodami, że to się wydarzyło. A teraz mam wrażenie, że nawet gdybyśmy mieli nagrany film, na którym do nas strzela, ktoś co najwyżej pogroziłby mu palcem.

–Od tego czasu wydarzyło się coś więcej – domyślił się Pete.

–Owszem. Dużo rzeczy.

–Masz ochotę o nich opowiedzieć?

–Jestem zbyt zmęczony, żeby relacjonować je punkt po punkcie. Powiedzmy tylko, że Linda i ja ciężko zapracowaliśmy na to, żeby chodzić po tym świecie. Prawdę mówiąc, dziwię się, że jeszcze żyjemy.

–Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć, ale nawet jeśli będziesz miał szczęście i go dorwiesz, sprawa nie skończy się, dopóki nie dorwiesz tych, dla których pracuje.

–Coś mi mówi, że mają żelazny glejt.

–Więc co mamy dalej robić? – zapytała Linda. – Jesteśmy jak dwie myszy, do których zbliża się jastrząb i nigdzie dookoła nie ma wysokiej trawy.

W jej głosie nie słychać było lęku i robiła wrażenie całkowicie spokojnej.

Tim zastanawiał się, skąd czerpie siłę.

–Mam coś jeszcze – poinformował Pete. – To może wam się przydać. Mam kumpla w policji w Lagunie, nazywa się Paco, można na nim polegać na sto procent. Rozmawiałem z nim pół godziny temu przez Internet i zagailem na temat zabójstw w Cream and Sugar. Wiem, że śledztwo nie jest zamknięte, ale czy coś się z nim dzieje? Nie, odparł, nic się nie dzieje. A potem powiedział, że Lily Wen-ching nie może się pogodzić ze stratą, i uważa, że to wcale nie koniec. Uważa, że ten, kto załatwił jej rodzinę, nadal zajmuje się sprawą, której fragmentem były te zabójstwa.

–Lily jest żoną Charliego – wyjaśniła Linda. – Wdową po nim.

–Co masz na myśli, mówiąc, że nadal zajmuje się sprawą? – zapytał Tim.

–Wbiła sobie do głowy, że od czasu pożaru, półtora roku temu, kilku stałych klientów Cream and Sugar zginęło w tajemniczych okolicznościach.

Linda objęła się rękami i zadrżała, jakby dziwnym trafem maj zmienił się w styczeń.

–Zginęli w tajemniczych okolicznościach? – powtórzył Tim. – Kto zginął?

–Paco nie powiedział i nie chciałem go cisnąć, żeby nie zaczął czegoś podejrzewać. Nie ulega kwestii, że nie traktuje Lily poważnie. Po tym wszystkim, przez co przeszła ta biedna kobieta, łatwo uwierzyć, że rozpacz odbiera jej rozum. Ale być może będziecie chcieli z nią pogadać.

–I to szybko – zgodziła się Linda. – Wiem, gdzie mieszkała cała rodzina. Może Lily nadal mieszka w tym miejscu?

–Paco mówi, że tak. Nie chce się niczego wyzbywać. Tak jakby miała nadzieję, że zdoła ich w ten sposób sprowadzić z powrotem.

W wyrazistych zielonych oczach Tim zobaczył pełne zrozumienie uporczywej rozpacz, którą właśnie opisał Pete.

–Daj mi numer swojej nowej komórki – poprosił Pete. – Zaraz kupię sobie własną i do was oddzwonię. Więcej tu nie telefonujcie. Właściwie nie powinienem w ogóle mieszać w to swojego kuzyna.

–Nie bardzo wiem, co jeszcze mógłbyś dla nas zrobić – stwierdził Tim.

–Gdybym nie mógł zrobić dla was nic ponadto, co do tej pory zrobiłem, byłbym żalonym sukinsynem. Podajcie wasz nowy numer.

Linda spełniła jego prośbę.

–Jest jeszcze coś, co powinienem powiedzieć, choć prawdopodobnie o tym wiesz – dodał Pete.

–Co takiego? – zapytał Tim.

–Nie mówię do ciebie, Bramkarzu. Mówię do ślicznotki. Słuchasz mnie, ślicznotko?

–Zamieniam się w słuch, świętoszku.

–Sądzę, że już o tym wiesz, ale nie mogłabyś znajdować się w lepszych rękach niż te, w których teraz jesteś.

–Wiedziałałam o tym, odkąd wszedł wczoraj wieczorem do mojego domu i powiedział, że nie zna się na współczesnej sztuce – odparła Linda, patrząc prosto w oczy Tima.

–Domyślałam się, że przy tym byłaś – mruknął Pete.

–Rzecz w tym – wyjaśniła – że mógłby powiedzieć coś innego albo w ogóle nic nie mówić, a i tak wiedziałabym, że jestem bezpieczna.

Siedząc na łóżku i czytając Ostatnie stadium raka, Krait wkrótce zapomniał o zielonej herbacie i biszkoptach.

Narracja Toni Zero była wciągająca, jej język klarowny i pewny. Rozumiała konieczność niedomówień, ale знаła również wartość hiperboli.

Najbardziej podobała mu się emanująca z książki rozpacz, głęboko zakorzenione poczucie beznadziei, demoralizujące rozgoryczenie odbierające głos każdemu optymście, który chciałby podważyć prezentowany w niej ponury pogląd na świat.

Terminujący w diabelskim fachu Piołun z Listów starego diabła do młodego CS. Lewisa z pewnością dowiedziałby się z książki Zero, jak odciągać niewinne dusze od światła. Nawet stary Krętacz mógłby nauczyć się od niej paru sztuczek.

Krait apróbował również jej gniew. Ten gniew pozostawał zawsze w służbie rozpacz, ale serwowała go w niewielkich dawkach, które były urzekająco bezwzględne i mściwe.

Przez chwilę miał ochotę uznać ją za autorkę stulecia albobprzynajmniej za swoją ulubioną pisarkę bijącą na głowę wszystkich innych.

Stopniowo jednak zaczął odkrywać frustrację, którą budziła w niej cechująca rodzaj ludzki ignorancja, oburzenie spowodowane tym, jak okrutnie ludzie traktują się nawzajem. Według Zero świat był beznadziejny, ale wierzyła, że wcale tak być nie musi.

Co gorsza, tęskniła za światem, w którym dotrzymuje się obietnic, w którym nikt nie zdradza zaufania, jakim został obdarzony, w którym liczy się honor, a odwaga inspirowe odwagę. Z tych powodów zniechęcił się w końcu do Toni Zero.

Emanująca z jej książki rozpacz nie była szczerze odczuwaną emocją, lecz czymś, do czego skłoniły ją trudne doświadczenia, względnie przekonujący mentor. Inaczej było z gniewem: jego zamieszczone w Ostatnim stadium raka opisy tchnęły autentyzmem, lecz jak na gust Kraita nie były dość intensywne i liczne.

Zwiedzając poprzedniego wieczoru dom Paquette, przejrzał książki stojące na półce w salonie, nie dostrzegł jednak wśród nich powieści Toni Zero. Fakt, że ukryła je w szafie bądź na strychu, mógł świadczyć o tym, iż zdawała sobie sprawę z nieprzekonującego charakteru swojej prozy.

Ford coupe z 1939 roku oraz kolekcja powieści innych pisarzy mogły sugerować, iż jej serce w irytującym stopniu karmi się nadzieją.

Zabrał książkę do łazienki, wrzucił ją do toalety i opróżnił pęcherz. Nie spuścił wody, ale zamknął pokrywę, by powieść mogła się zamarynować.

Ten czyn kolidował z jego upodobaniem do czystości, ale był konieczny.

Wróciwszy do łóżka, odkrył, że herbata w termosie nadal jest ciepła. Biskopcy były wyborne.

Układając się do dwu- albo trzygodzinnego snu, schował Glocka pod kołdrę i nie wypuścił z dłoni komórki.

Wiedział, że obudzi się dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej zasnął, trzymając w rękę komórkę. Nigdy nic mu się nie śniło i nigdy nie poruszał się we śnie. Naprawdę spał jak zabity.

45

Korzystając z tego, że Linda prowadzi, Tim włożył wtyczkę świeżo kupionej golarki w gniazdko zapalniczki i ogolił się, nie korzystając z lusterka.

–Po prostu nie mogę znieść tego uczucia – powiedział, kiedy skończył.

–Jakiego uczucia?

–Zarostu, tego, jak mnie kłuje. A na przykład ubranie tak przepocone, że mam wrażenie, jakbym gotował się w garnku z kapustą... coś takiego wcale mi nie przeszkadza.

–Może powinno?

–Wszy, wargi popękane do krwi, palący upał, suchy szary grzyb, niesamowite karaluchy, które tam mają... mogę znieść to i jeszcze więcej pod warunkiem, że nie będzie mnie kłuł zarost.

–Większość facetów nie ujawnia na pierwszej randce ciepłych uczuć do suchego szarego grzyba.

–Większość pierwszych randek nie trwa tak długo – odparł, chowając golarkę do podróżnego etui.

–Niesamowite karaluchy?

–Nie chciałabyś ich poznać. Jaka jest pani Wen-ching?

–Żywa torpeda. Zasuwała w Cream and Sugar podobnie jak reszta rodziny. Pracowała na ogół od lunchu do wczesnego wieczoru. Tamtego ranka nie było jej w kawiarni.

Wzniesiony na wspornikach nad kanionem dom Wen-chin-gów utrzymany był w modernistycznym stylu. Palmy daktylowe rzucały podobne do kruczych skrzydeł cienie na pstrokate płyty układanej w romby alejki.

Drzwi otworzyła im Lily Wen-ching. Mniej więcej pięćdziesięcioletnia, z porcelanowo gładką skórą barwy starej kości słoniowej, szczupła, ubrana w czarne jedwabne spodnie i pasującą do nich bluzkę z wysokim kołnierzykiem, miała najwyżej pięć stóp, ale wydawała się większa, niż można by sądzić na podstawie wzrostu i wagi.

–Pani jest... Linda? – powiedziała, zanim zdążyli się przedstawić. – Podwójne espresso ze skórką cytryny z boku?

–Dokładnie – potwierdziła Linda. – Jak może pani to pamiętać po tylu miesiącach?

–To było całe nasze życie. I olbrzymia satysfakcja, kiedy ludzie cieszyli się z tego, co im serwowaliśmy.

Miała melodyjny głos. W jej ustach nawet zwykłe słowa brzmiały niczym muzyka.

–Pan nie był stałym klientem – zwróciła się do Tima. – I nawet gdyby pan zajrzał raz albo dwa, zapamiętałabym, co pije taki olbrzym. Jaką lubi pan kawę?

–Czarną albo espresso. Może być dożylnie.

–Zapamiętałabym go, nawet gdyby odwiedził nas tylko raz – stwierdziła Lily, uśmiechając się do Lindy.

–Zostawia po sobie wrażenie podobne do spadającego w ciszy kamienia – dodała Linda.

–Trafnie to pani ujęła.

Linda przedstawiła Tima.

–Pani Wen-ching... – zaczęła.

–Proszę mi mówić Lily.

–Dziękuję. Mam nadzieję, Lily, że nie weźmiesz mnie za wariatkę, kiedy powiem ci, dlaczego tu przyjechaliśmy. Większość ludzi mogłaby dojść do takiego wniosku. Podejrzewam, że ktoś chce mnie zabić... ponieważ piłam kawę w Cream and Sugar.

Oczy wdowy, ciemne i przejrzyste niczym świeża jamajska kawa, nie rozszerzyły się ani nie zwężyły.

–Tak. To całkiem prawdopodobne.

Lily Wen-ching zaprowadziła ich do salonu ze schodkowym sufitem o jeden odcień jaśniejszym od morelo wy eh ścian.

Po obu bokach przeszklonej ściany z widokiem na fioletowe poranne morze, wyspę Catalina oraz wyciśnięte do sucha niebo na którym zostało zaledwie kilka strzępków gazy, wisiały brązowe zasłony.

Linda i Tim usiedli na ustawionych przodem do okien fotelach. Zrobione z ciemnego zitanowego drewna miały czerwone poduszki na siedzeniach i szerokie oparcia z wymalowanymi na nich peoniami.

Lily przeprosiła ich i bez słowa wyjaśnienia wyszła, stąpając bezszelestnie obutymi w pantofle stopami po dywanie i po drewnianej podłodze.

Z kanionu, nad którym wznosił się dom, wyfrunął jastrząb czerwonoogoniasty i zatoczył szeroki krąg.

Stojące w salonie na dwóch stojakach do kadzideł rzeźbione w kamieniu chimery wydawały się śledzić wzrokiem Tima, który śledził wzrokiem jastrzębia.

W domu zaległa cisza z rodzaju tych, co mają swój ciężar. Tim czuł, że zakłócenie jej byłoby gafą, a może nawet grubiaństwem.

Lily wróciła tak szybko, że musiała mieć chyba wcześniej nastawiony ekspres. Na zitanowym stoliku z cofniętymi nóżkami postawiła lakierowaną czerwoną tacę z trzema podwójnymi kawami w białych filiżankach.

Następnie usiadła naprzeciwko nich na łożku luohan, które służyło jako sofa. Na tylnej ścianie i na bokach wyrzeźbione były na nim bezrogie smoki. Czerwona tapicerka miała ten sam kolor co siedzenia foteli.

–Drogi doktor Avarkian był naszym stałym klientem – oznajmiła, upiwszy łyk kawy.

–Rozmawialiśmy parę razy na waszym patio, siedząc przy sąsiednich stolikach – przypomniała sobie Linda.

–Wykładał na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine – wyjaśniła Lily Timowi. – Był stałym gościem, zmarł młodo na zawał serca.

–Jak młodo? – zapytał Tim.

–Czterdzieści sześć lat. Trzy miesiące po pożarze.

–Owszem, to młodo, ale mężczyźni umierają czasem na zawał w tym wieku.

–Uroczą Evelyn Nakamoto.

–Ją też znałam – powiedziała Linda, pochylając się do przodu w fotelu. – Miała galerię sztuki przy Forest Avenue.

–Pięć miesięcy po pożarze, odwiedzając Seattle, Evelyn zginęła na skrzyżowaniu pod kołami samochodu. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku.

–Ale to zdarzyło się w Seattle – wtrącił się Tim, grając rolę adwokata diabła, sugerując, że gdyby te zgony były ze sobą powiązane, powinny zdarzyć się w Laguna Beach albo gdzieś w pobliżu.

–Kiedy ktoś ginie daleko od domu – powiedziała Linda – może się wydawać, że to nie ma związku z innymi zgonami tu, na miejscu. Dlatego właśnie mogli pojechać za nią do Seattle.

–Słodka Jenny Nakamoto – podjęła Lily Wen-ching.

–Evelyn miała córkę. Często piły razem kawę – wyjaśniła Linda. – Ładna dziewczyna.

–Tak. Jenny. Taka słodka, taka bystra. Sudiowała na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Miała mieszkanie nad czymś garażem w Westwood. Ktoś zaczekał tam na nią i zgwałcił, kiedy przyszła do domu. A potem ją zabił.

–To straszne. Nie słyszałam o tym – powiedziała Linda. – Kiedy to się stało?

–Osiem miesięcy temu, pięć miesięcy po śmierci jej matki w Seattle.

Świetnie zaparzone espresso wydało się nagle Timowi gorzkie.

Lily odstawiła filiżankę na lakierowaną tacę, pochyliła się do przodu i splotła ręce na kolanach.

–Jest pewna nieprzyjemna rzecz w związku z tym morderstwem – wyznała.

Krążący w powietrzu jastrząb spostrzegł zwierzynę i zanurkował w głąb kanionu, zostawiając niebo wolne od drapieżców.

–Udusiła się na śmierć dwudziestkamipiątkami. – Lily wpatrywała się w swoje splecione dłonie.

–Dwudziestkamipiątkami? – powtórzył Tim, sądząc, że się przesłyszała.

Lily nadal patrzyła na swoje dłonie, jakby relacjonując tę okropność, nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

–Związał Jenny ręce na plecach i nogi w kostkach, przytrzymał ją na łóżku i wcisnął do gardła rulon dwudziesto-pięciocentówek.

–O Boże – szepnęła Linda.

Tim był pewien, że ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła przez łzy Jenny Nakamoto, były okrutne rozszerzone źrenice, chciwe światła, całego światła, jej światła.

–Jeden zawał serca, jeden śmiertelny wypadek drogowy

i jeden gwałt zakończony zabójstwem – podsumował. –

Policja mogła nie dostrzec związku, ale chyba masz rację, Lily.

Chinka spojrzała mu w oczy.

–Więcej niż trzy – oznajmiła. – Zginęły jeszcze dwie osoby. Miły pan Shotsky, prawnik, i jego żona. Przychodzili razem do Cream and Sugar.

–Nie znałam ich – powiedziała Linda – ale znam sprawę z mediów. Zastrzelił ją, a potem popełnił samobójstwo z tej samej broni.

–Nie wierzę w to – stwierdziła Lily Wen-ching. – Pan Shotsky zostawił list, w którym pisał, że zastał ją w łóżku z innym mężczyzną. Znaleźli w niej... przykro mi, ale muszę to powiedzieć... nasienie. Policja mówiła, że nie pochodziło od męża. Ale skoro pan Shotsky zastrzelił własną żonę, dlaczego nie zabił tego mężczyzny? Dlaczego pozwolił temu mężczyźnie uciec? Gdzie jest ten mężczyzna?

–Powinnaś być detektywem, Lily – powiedział Tim.

–Powinnam być żoną i matką, ale już nią nie jestem.

Chociaż w jej głosie słyhać było drżenie, porcelanowo gładka twarz i ciemne oczy pozostały łagodne.

Smutek mógł być środkiem zagęszczającym głęboką ciszę, jaka zalegała w tym domu, ale wagi dodawała jej również stoicka akceptacja nieubłaganych wyroków losu.

Kamienne chimery strzygły uszami, jakby nasłuchiwały kroków mężczyzny o oczach gargulca.

Na polu złocistej trawy pośród kęp czarnego bambusa stały żurawie z czarnymi patykowatymi nogami, czarnymi szyjami i czarnymi dziobami.

Na stojącym w salonie Lily Wen-ching sześcioczęściowym parawanie dominowały różne odcienie złota. Czarne elementy miały w sobie coś z kaligrafii. Poza tym były tam białe pierzaste ciała żurawi, ich białe głowy i wszechobecny spokój.

–Dla policji tych pięć wypadków to nie jest nawet zbieg okoliczności – mówiła Lily. – Nie ma tu żadnego spisku, Lily, powiedział jeden z nich. Takie jest po prostu życie. Co sprawiło, że myślą w ten sposób? Że śmierć to życie? Nienaturalna śmierć i morderstwo należą do normalnego biegu życia?

–Czy poczynili jakieś postępy w śledztwie dotyczącym zamordowania członków twojej rodziny? – zapytał Tim.

–Nie można poczynić postępów w polowaniu na niedźwiedzia, jeżeli podąża się tropem jelenia. Szukają złodzieja, ale tam nie było żadnego złodzieja.

–Nie zabrano żadnych pieniędzy? – zapytała Linda.

–Pochłonął je ogień. Nie było tam nic, co warto ukraść. Zaczynaliśmy każdego dnia, mając w kasie tyle pieniędzy, żeby można było wydać resztę. Kto zabija cztery osoby za czterdzieści dolarów w monetach i drobnych banknotach?

–Niektórzy zabijają za mniejszą sumę. Z nienawiści. Z zazdrości. Bez powodu. Po prostu, żeby zabić – powiedział Tim.

–A potem starannie aranżują pożar. I zamykają za sobą drzwi na klucz, nastawiając zegar, żeby pożar wybuchł, kiedy ich już tam nie będzie?

–Policja znalazła zegar... i zapalnik? – zapytała Linda.

–Było zbyt gorąco. Nie ocalało nic poza hipotezą zapalnika. Więc spierali się, czy był, czy go nie było.

Na niebie za oknami ostatnie strzępy chmur rozwiewały się i tonęły w błękiecie.

–Skąd wiesz, że ktoś chce cię zabić? – zapytała Lily.

–Jakiś mężczyzna próbował mnie przejechać w bocznej alejce – odparła Linda, spoglądając na Tima. – Później strzelał do nas.

–Poszliście na policję?

–Mamy powody sądzić, że może być związany ze służbami – odpowiedział Tim. – Chcemy dowiedzieć się czegoś więcej, zanim podejmiemy jakąś decyzję.

–Macie nazwisko? – zapytała Lily, pochylając się do przodu na sofie.

–Mamy nazwisko, ale jest fałszywe. Nie mamy jego prawdziwego nazwiska.

–Jak wpadliście na to, żeby do mnie przyjść? Że mam takie podejrzenia?

–Pod tym fałszywym nazwiskiem mężczyzna pozostawał przez krótki okres w kręgu podejrzanych o zamordowanie twojej rodziny.

–Roy Kutter – powiedziała Lily.

–Tak.

–To było jego prawdziwe nazwisko. Roy Kutter. Oczyszczili go z zarzutów.

–Owszem – przyznała Linda – ale okazało się, że nazwisko było fałszywe.

–Policja o tym wiedziała?

–Nie – powiedział Tim. – I proszę, żebyś nie chodziła na policję i nie opowiadała im wszystkiego, co od nas usłyszysz. Od tego może zależeć nasze życie.

–I tak by mnie nie wysłuchali. Uważają, że oszalałam z rozpaczy.

–Wiemy o tym – odparł Tim. – Słyszeliśmy, że zgłosiłaś się do nich w sprawie tych pięciu zgonów. Dlatego do ciebie przyjechaliśmy.

–Nie oszalałam z rozpaczy – zapewniła Lily. – Rozpacz zrodziła we mnie gniew, niecierpliwość i determinację. Chcę sprawiedliwości. Chcę prawdy.

–Jeżeli nam się poszczęści, będziemy mogli odkryć przynajmniej prawdę – wyraził nadzieję Tim. – Sprawiedliwość trudniej jest znaleźć w dzisiejszym świecie.

–Każdego dnia, rano i wieczorem, modłę się za mojego ukochanego męża, za moich chłopców i siostrzenicę – powiedziała Lily, wstając z sofy. – Będę się modliła również za was dwoje.

Wychodząc w ślad za Chinką z salonu, Tim spojrział ponownie na sześcioczęściowy parawan z pełnymi gracji żurawiami i czarnym bambusem. Zobaczył w nim coś, czego nie widział wcześniej: w złocistej trawie krył się złoty przyczajony tygrys.

Przy drzwiach frontowych, nie wiedząc, czy mu wypada, pochylił się i objął Lily Wen-ching.

Musiła uznać jego zachowanie za stosowne, ponieważ stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

–Widziałam, że przyglądałeś się parawanowi – powiedziała.

–Tak. Teraz też mu się przyjrzałem. Bardzo mi się spodobał.

–Co ci się spodobało? Uroda żurawi?

–Z początku tak. Ale teraz bardziej imponuje mi spokój żurawi w obecności tygrysa.

–Nie wszyscy widzą tygrysa – odparła. – Ale on tam jest. Zawsze tam jest.

–Pięć morderstw od czasu pożaru – powiedziała Linda, kiedy znaleźli się z powrotem w hondzie. – Z powodu czegoś, o czym nie wiedzieli, że wiedzą?

–Coś wydarzyło się, kiedy byliście tam wszyscy tego samego dnia. Pijąc kawę na patio, każdy przy swoim stoliku.

–Ale na patio nic się nie wydarzyło – zaprotestowała. – Nic niezwykłego. Piliśmy kawę. Jedliśmy ciastka i sandwicze. Piliśmy kawę, czytaliśmy gazety i rozkoszowaliśmy się słońcem... a potem wróciliśmy do domu.

–Tygrys tam był, ale nikt go nie widział – upierał się Tim, odjeżdżając spod domu Wen-chingów.

–Co teraz? – zapytała Linda, kiedy zmierzali w stronę wybrzeża.

–Jeszcze nie wiem.

–Spaliśmy tylko dwie godziny. Moglibyśmy znaleźć motel, w którym nie robiliby problemu, gdybyś zapłacił gotówką.

–Nie sądzę, żebym mógł zasnąć.

–Ja chyba też. Więc może... pojedziemy do kawiarni, w której jest patio? Usiądźmy tam. Może słońce i kawa sprawią, że coś sobie przypomnę.

O godzinie 10.44, po przeszło dwóch godzinach snu, Kraita obudziła wibrująca komórka, którą nadal trzymał w ręku.

Natychmiast rozbudzony ściągnął kołdrę i usiadł na skraju łóżka Teresy Mendez, żeby przeczytać wiadomość od grupy wsparcia.

Mieli do niego dwa irytujące pytania. Po pierwsze, dlaczego w domu Bethany i Jima zabite zostały trzy osoby?

Nigdy wcześniej nie proszono go o wyjaśnienie, dlaczego były przypadkowe ofiary. Tego rodzaju pytanie było obraźliwe, sugerowało, że zlikwidował kogoś niepotrzebnie.

W pierwszej chwili chciał odpowiedzieć, że lepiej, iż tych troje już nie żyje, że byłoby lepiej – dla świata, dla których są ciężarem – ażeby umarli wszyscy, którzy teraz żyją; i skoro grupa wsparcia jest na tyle bezczelna, by kwestionować jego poczynania, nie powinni pytać, dlaczego zabił Cynthię, Malcolma i Norę, ale dlaczego nie zabił jeszcze wszystkich.

Chcieli również wiedzieć, jak to się stało, że ścigając Lindę Paquette, trafił do domu, w którym leżą teraz trzy trupy.

Nie miał zamiaru odpowiadać na te pytania, ponieważ naruszały w bezczelny sposób jego prywatność. Prosil, by wyświadczył im pewną łaskę. Nie był ich własnością. Miał swoje własne życie, dobre życie, które spędzał w służbie śmierci.

Dopóki w ostatecznym rozrachunku wyświadczał im łaskę, o którą prosili – w tym wypadku była nią śmierć Paquette – dopóty nie mieli prawa zmuszać go, by tłumaczył się ze swoich czynów. Oburzające.

Poza tym Krait nie mógł wyjaśnić im, dlaczego znalazł się w tym domu, ponieważ nie mieli pojęcia, że jest bezdomny. Myśleli, że trzyma swoje miejsce zamieszkania w tajemnicy, co było całkiem sensowne u kogoś, kto uprawia taką profesję.

Gdyby wytłumaczył im swoje niekonwencjonalne podejście do kwestii mieszkaniowej, mogliby go nie zrozumieć. Ograniczyliby z nim kontakty. Byli w końcu zwykłymi ludźmi; w przeciwieństwie do niego żaden nie był księciem tego świata.

Zamiast własnego domu miał miliony domów. Mieszkając w rezydencjach innych ludzi, zachowywał się tak ostrożnie, że nie zdawali sobie na ogół sprawy, iż mają współlokatora.

Co jakiś czas przytrafiała mu się sytuacja, z której nie był w stanie wybrnąć na płaszczyźnie słownej. Rozwiązywał wtedy problem, zabijając.

W przeszłości Klub Dżentelmenów nie interesował się takimi sprawami. Fakt, że teraz było inaczej, mógł wynikać z różnicy ilościowej: trzy przypadkowe ofiary podczas jednego incydentu.

Postanowił zignorować oba pytania i odpowiedzieć na nie wyłącznie cytatem z Wallace'a Stevensa, poety, którego lubił, ale nie rozumiał: JEDYNY IMPERATOR: WŁADCA PORCJI LODÓW*.

*** przekład Stanisława Barańczaka**

Czytając Wallace'a Stevensa, Krait chciał czasem zabić nie tylko wszystkich na świecie, lecz również samego siebie. Wydawało mu się to ostatecznym probierzem wielkiej poezji.

JEDYNY IMPERATOR: WŁADCA

PORCJI LODÓW.

Niech się nad tym zastanowią i jeżeli są dość inteligentni, domyśla, jakie złamali zasady, zadając te dwa pytania.

Krait skłaniał się obecnie do przekonania, że likwidację Paquette zlecił Klub Dżentelmenów, a nie któryś z innych suplikantów. Irytacja, jaką wzbudziły niedawne trzy zgony, mogła wynikać z tego, że jego zwierzyna kilkakrotnie mu się wymknęła, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło.

Lokalizując i szybko likwidując kobietę, usmierzy obawy klubu. Kiedy Paquette będzie gryzła ziemię, śmierć Cynthii, Malcolma i Nory zostanie uznana za nieuniknioną komplikację i wkrótce zapomniana.

Krait włożył bieliznę Teresy do kosza w szafie i posłał łóżko. Odniósł kubek, termos i talerzyk po biszkoptach do kuchni, umył je i odstawił na miejsce.

Wróciwszy do sypialni, ubrał się. Wkrótce po wejściu do domu Teresy Mendez rozłożył na dywanie zmoczoną przez deszcz reprodukcję z sypialni Paquette. Teraz była sucha; po raz kolejny złożył ją i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Trzymając w ręku pistolet maszynowy, zajrzał do małego gabinetu Teresy, włączył komputer i wszedł do sieci.

Reguła, żeby za wiele nie pytać, wychodziła mu dotychczas na zdrowie. Im mniej wiedział o osobach, które chciał zgładzić klub, tym lepiej. Gdyby kiedykolwiek zrozumiał, dlaczego te osoby mają zginąć, dowiedziałby się za dużo. Z doświadczenia wiedział, co może się przytrafić ludziom – być może nawet księżcom tego świata – którzy wiedzą zbyt dużo.

Chociaż proszono go, żeby zabił Paquette, uznał wcześniej,

że reguła, aby nie pytać, odnosi się i do Carrieri. Po tym, jak został kilkakrotnie przechytrzony, a także w obliczu nagłego zniecierpliwienia klubu, doszedł jednak do wniosku, że powinien zmodyfikować swoją strategię.

Utworzył prosty ciąg wyrazów, żeby odszukać wszelkie informacje, jakie mógł uzyskać na temat Carrieri. Nie spodziewał się znaleźć wiele ponadto, co i tak już wiedział. I tu się pomylił.

Od strony ulicy patio kawiarni ocieniały rozłożyste konar, nowozelandzkiego drzewka bożonarodzeniowego. O tej porze roku majestatyczne gałęzie nie były obsypane szkarłatnymi kwiatami.

Tim i Linda siedzieli w słońcu, przy stoliku stojącym daleko od ulicy. Obok nich, po otynkowanej białej ścianie pięły się kwitnące pędy milinu amerykańskiego.

Oboje popijali espresso. Leżące na talerzyku, ogrzane słońcem czekoladowo-pistacjowe ciasteczka wydzielaly odurzający zapach.

–Mój ojciec miał na imię Benedict. Wszyscy mówili na niego Benny – powiedziała Linda po krótkiej pauzie, gdy przestali mówić o kwiatach milinu.

Tim zwrócił uwagę, że użyła czasu przeszłego, i czekał.

–Miał dyplom z psychologii rozwojowej dziecka.

–Z tobą mu się udało.

Na jej wargach ukazał się leciutki uśmiech, ale zaraz zgasł.

–Matka miała na imię Renee.

–Masz przy sobie ich zdjęcia? – zapytał tknięty nagłym impulsem.

Linda wyjęła z torebki portfel i wysunęła z niego laminowane fotografie.

–Podobają mi się ich twarze.

–Byli łagodni, mili i zabawni.

–Jesteś do niej podobna.

–Skończyła pedagogikę – powiedziała Linda.

–Była nauczycielką?

–Pracowali z dziećmi i założyli przedszkole.

–Z tego, co mówisz, wynika, że powinni być w tym dobrzy.

–Po jakimś czasie prowadzili ich trzy.

Linda podniosła twarz do słońca i zamknęła oczy. Trzepoczący skrzydłami koliber zaczął szukać nektaru w kwiecie milinu.

–Do jednego z nich chodziła pięcioletnia dziewczynka

o imieniu Chloe – ciągnęła Linda.

Na jednej z fotografii Benny robił miny do Lindy.

–Matka Chloe podawała jej ritalin.

Linda śmiała się radośnie na tej fotografii.

–Moi rodzice poradzili jej, żeby odstawiła lek.

W promieniach wiosennego słońca jej twarz zdawała się rozświetlona od środka.

–Chloe była niesforna. Jej matka chciała, żeby nadal go brała.

–Mówią, że połowa dzieci bierze teraz ritalin – powiedział Tim.

–Może wzbudzili w niej poczucie winy?

–Może nie musieli. Może już wcześniej czuła się winna.

–Nieważne. Tak czy inaczej, nie spodobało jej się, że poruszyli ten temat.

Koliber był opalizująco zielony, jego skrzydła zlewały się w plamę.

–Pewnego dnia Chloe wywróciła się na placu zabaw i skaleczyła w kolano.

Fotografie wydały mu się nagle smutne. Pamiątki czegoś utraconego.

–Mama i tato opatrzyli skaleczenie.

Tim schował zdjęcia do jej portfela.

–Użyli jodyny. Chloe płakała i skarżyła się, że ją piecze. Koliber przeniósł się, furkocząc skrzydełkami, na nowy kwiat.

–Powiedziała swojej mamie, że nie podobało jej się, jak jej dotykali.

–Matka na pewno zrozumiała, że chodzi o jodynę – powiedział Tim.

–Może to opacznie zrozumiała. Może chciała to opacznie zrozumieć.

Twarz Lindy pociemniała, mimo że słońce świeciło coraz jaśniej.

-Matka Chloe złożyła skargę na policji.

Trzepot skrzydeł brzmiał jak cichy żałobny tren.

-Policja przesłuchała moich rodziców i oczyściła ich z zarzutów.

-Ale na tym się nie skończyło?

-Prokurator okręgowy toczył ciężką walkę o ponowny wybór.

-Więc prawo zostało podporządkowane polityce – podsunął Tim.

Linda schowała twarz przed słońcem, ale nie otworzyła oczu.

-Prokurator wynajął psychiatrę, który miał porozmawiać z dziećmi.

-Ze wszystkimi, nie tylko z Chloe?

-Ze wszystkimi. Zaczęły się szalone opowieści.

-I nie można już się było cofnąć.

-Zabawy nago. Tańce nago. Zabijane w klasie zwierzęta.

-Ofiary ze zwierząt? Ludzie w to uwierzyli?

-Psy i koty zabijane, żeby dzieci nie odważyły się przerwać milczenia.

-Mój Boże.

-Dwoje dzieci opowiedziało nawet, że poćwiartowany został mały chłopczyk.

-Nie wspomniały o tym wcześniej swoim rodzicom?

-Wyparte wspomnienia. Poćwiartowany i pochowany na podwórku.

-Więc trzeba było je przekopać i sprawdzić.

-Przekopano i niczego nie znaleziono.

-I na tym się nie skończyło?

-Rozwalili ściany, szukając dziecięcego porno.

-I niczego nie znaleźli – domyślił się.

-Niczego. Szukali również narzędzi używanych podczas satanistycznych rytuałów.

-To brzmi jak Salem w innym stuleciu.

-Dzieci oświadczyły, że musiały całować wizerunki diabła.

-A dzieci nigdy nie kłamią – mruknął Tim.

-Nie winię ich. Były małe... i podatne na manipulację.

-Psychiatrzy mogą nieświadomie podsunąć fałszywe wspomnienia.

-Nie zawsze nieświadomie. Zdarło sufity.

-Wszystko to z powodu otarcia kolana?

-Zerwano podłogi, szukając tajnych lochów.

-I nigdy niczego nie znaleziono.

-Nie. Ale moi rodzice zostali skazani na podstawie samych zeznań.

Linda otworzyła oczy. Patrzyła w przeszłość.

-Zdaje mi się – powiedział Tim – że było wtedy tego dość dużo.

-Owszem. Mnóstwo przypadków. Ogólnokrajowa histeria.

-Niektóre musiały być prawdziwe.

-W ostatecznym rozrachunku fałszywych okazało się dziewięćdziesiąt pięć procent, może więcej.

-Ale ludziom zrujnowano życie, wtrącono ich do więzienia.

-Musiałam iść do psychiatry – powiedziała po krótkiej przerwie.

-Tego samego, który badał dzieci z przedszkola?

-Tak. Zażądał tego prokurator okręgowy. I wydział opieki nad dziećmi.

-Odebrano cię rodzicom.

-Próbowali to zrobić. Psychiatra powiedział, że może mi pomóc.

-Pomóc w czym?

-Pomóc mi przypomnieć sobie, dlaczego mam złe sny.

–Miałaś złe sny?

–Czy nie ma ich każde dziecko? Miałam wtedy dziesięć lat. Miał bardzo silną osobowość.

–Ten psychiatra?

–Dominująca osobowość, uwodzicielski głos. Trudno go było nie polubić.

Cienie filiżanek na stole kurczyły się, w miarę jak słońce wędrowało coraz wyżej.

–Sprawiał, że chciało się wierzyć w rzeczy... ukryte,

zapomniane.

Linda objęła dłońmi małą filiżankę z espresso.

–Światło było przyćmione. Psychiatra się nie spieszył.

Mówił cichym głosem.

Podniosła do ust filiżankę, ale nie wypła kawy.

–Potrafił zmusić ludzi, żeby patrzyli mu prosto w oczy. Tim poczuł na karku zimny pot.

–Miał takie piękne, smutne oczy. I miękkie łagodne dłonie.

–Jak wiele obudził w tobie fałszywych wspomnień?

–Chyba więcej, niż chciałabym pamiętać.

Linda dopła kawę.

–Podczas czwartej sesji obnażył się przede mną.

Filiżanka zagrzechotała o spodeczek, kiedy ją odstawiła. Tim otarł papierową serwetką spocony kark.

–Poprosił mnie, żebym go dotknęła. Pocałowała. Ale nie zrobiłam tego.

–Wielki Boże. Powiedziałaś o tym komuś?

–Nikt mi nie wierzył. Twierdzili, że zmusili mnie do tego rodzice.

–Żeby go zdyskredytować.

–Odebrano mnie mamie i tacie. Musiałam zamieszkać z Angeliną.

–Kim była?

–Ciotką mojej mamy. Molly i ja, mój pies Molly, poszliśmy do Angeliny.

Linda spojrzała na wierzch swoich dłoni. A potem na ich wnętrze.

–Tamtej nocy, kiedy odchodziłam, obrzucili kamieniami dom rodziców, powybijali okna.

–Kto to zrobił?

–Ktoś, kto wierzył w ukryte lochy i całowanie diabła.

Położyła jedną dłoń na drugiej na stole.

Nadal nie opuszczał jej niezwyklej spokój.

–Nie mówiłam o tym od piętnastu lat – wyznała.

–Nie musisz tego ciągnąć.

–Owszem, muszę. Ale powinnam dodać sobie odwagi kofeiną.

–Przyniosę jeszcze dwie espresso.

–Dziękuję.

Klucząc między stolikami, Tim ruszył z dwiema brudnymi filiżankami po patio. W drzwiach kawiarni odwrócił się i spojrzał na Lindę.

Wielkoduszne słońce zdawało się faworyzować ją bardziej niż kogokolwiek w polu widzenia. Sądząc wyłącznie po pozorach, można by pomyśleć, że świat nigdy nie był dla niej okrutny, że tylko niezakłócone niczym szczęście mogło tłumaczyć niewinne piękno, które przyciągało oczy wszystkich ku jej twarzy.

Wyruszając w dalszą drogę, Krait czuł się podniesiony na duchu. Wydarzenia świadczyły, że nie jest księciem, lecz królem tego świata.

Timothy Carrier mógł być naprawdę groźnym przeciwnikiem. Jednak murarz miał pewien słaby punkt, który doprowadzi go do zguby.

Krait nie musiał już szukać trudnej do wytropienia pary. Mógł sprawić, że Carrier i kobieta sami do niego przyjdą.

Kiedy jechał do Laguna Niguel, przyszła mu do głowy myśl, którą uznał za elektryzującą. Być może odwrócony świat, który oglądał w lustrach i który pragnął zbadać, jest jego prawdziwym światem, tym, z którego pochodził.

Jeżeli zgodnie z tym, co podpowiadała mu pamięć, nie miał żadnej matki, jeżeli jego życie zaczęło się nagle, gdy miał osiemnaście lat, a wcześniej spowite było mgłą tajemnicy, w takim razie wydawało się całkiem sensowne, że przyszedł na świat, wyłaniając się nie z czyjegoś łona, lecz ze zwierciadła.

Jego tęsknota za lustrzanym światem mogła być tęsknotą za prawdziwym domem.

To wyjaśniało również, dlaczego nigdy nie kupił w tym świecie własnego domu. Podświadomie zdawał sobie sprawę, że żadne miejsce po tej stronie lustra nie zaspokoi jego potrzeby posiadania domowego ogniska, że zawsze będzie tutaj kimś obcym.

Różnił się od ludzi z tego odwróconego świata i zdecydowanie nad nimi górował, ponieważ pochodził z krainy, gdzie wszystko było takie, jakie być powinno, znajome, odwiecznie niezmiennie i czyste, gdzie nikogo nie trzeba było zabijać, ponieważ każdy rodził się martwy.

W Laguna Niguel mijał uliczki zamieszkiwane przez solidną klasę średnią, gdzie z dyskretną dumą dbano o ładne szeregowe domy i gdzie rodziny miały więcej samochodów, niż mogło się zmieścić w garażu.

Nad bramami garażów zamocowane były tu i ówdzie obręcze do koszykówki z siatkami czekającymi na wieczorny mecz.

Liczba flag była w tej okolicy zbliżona do liczby obręczy. Nie powiewały dumnie na wietrze, lecz zwisały spokojnie, z gwiazdami zawiniętymi w gwiazdy i pasami skręconymi w bruzdy.

Wystrzyżone elegancko trawniki, grządki czerwonych i fioletowych niezapominajek i

obrońnięte pędami dzikich róż pergole świadczyły wymownie o miłości do własnego domu i potrzebie porządku.

Krait, który był tu kimś obcym, chciał, aby wszyscy ci ludzie umarli, ulica po ulicy, mila po mili, umarli całymi milionami, chciał, żeby wszystkie domy obróciły się w popiół, a wszystkie trawniki w pył.

Niewykluczone, że ten świat był dla niego niewłaściwym miejscem, ale z pewnością pojawił się w nim we właściwym czasie, u progu epoki wielkich gwałtów i masowych mordów.

Szybko odnalazł piętrowy dom, z powodu którego zawitał w tej pagórkowatej podmiejskiej okolicy. Żółte tynki, białe drewno, lukarny, gontowy dach, jedno wykuszowe okno. Doniczki z geranium na werandzie.

Po zaparkowaniu przy krawężniku i opuszczeniu szyby nałożył na głowę słuchawki, podniósł z sąsiedniego siedzenia ręczny mikrofon kierunkowy i wycelował go w jedno z okien na piętrze.

Już wcześniej wyjął to skomplikowane urządzenie z walizki w bagażniku samochodu. Była to jedna z rzeczy, o którą poprosił przezornie grupę wsparcia po niefortunnej utracie pierwszego pojazdu.

Z odległości pięćdziesięciu jardów mikrofon kierunkowy mógł zarejestrować rozmowę, która była zupełnie niesłyszalna gołym uchem. Wiatr ograniczał jego użyteczność, ulewa czyniła nieprzydatnym. W tym momencie niebo było jednak bezchmurne i panowała grobowa cisza.

Krait sprawdził kolejno wszystkie okna na piętrze, ale nie dobiegał zza nich żaden dźwięk.

Na parterze słyhać było śpiew. Kobieta miała lekki słodki głos. Śpiewała amerykański standard I'll Be Seing You. Robiła to cicho i dość swobodnie, co mogło sugerować, że zajmuje się pracami domowymi.

Krait usłyszał brzęknięcia i inne hałasy, które mogły dochodzić z kuchni.

Mikrofon nie zarejestrował żadnych innych głosów. Najwyraźniej była w domu sama i tego właśnie się spodziewał na podstawie uzyskanych informacji.

Wyłączywszy mikrofon kierunkowy i zasunąwszy szybę, pojechał dwie przecznice dalej i zaparkował przy innej uliczce.

Wysiadł z samochodu z niewielką płócienną torbą i ruszył z powrotem w stronę żółto-białego domu.

Skąpane w słońcu ulice miały w sobie coś sennego: pszczoły bzyczały leniwie nad girlandami żółtej lantany, koronkowe listki kalifornijskich drzew pieprzowych wydawały się drżeć z rozkoszy w promieniach ciepłego światła, na stopniach werandy drzemał cętkowany kot, trzy skowronki przycupnęły na skraju poidelka, jakby przyglądały się swoim odbiciom w wodzie...

Alejka do frontowych drzwi domu, do którego zmierzał, wyłożona była kwarcytowymi płytami.

Zasuwa w drzwiach nie była zasunięta. Rygiel prostego zatrzaskowego zamka odskoczył cicho, gdy użył swojego pistoletu.

Krait odłożył lockaida, wszedł z torbą do małego przedpokoju i zamknął za sobą drzwi.

Z wnętrza domu dobiegał sympatyczny głos kobiety. Teraz śpiewała I Only Have Eyes for You.

Krait przystanął na chwilę, słuchając jej z przyjemnością.

Koliber nadal spijał nektar z kwiatów milinu amerykańskiego. W czystych białych filiżankach było świeże espresso.

–Ile dzieci było w tym przedszkolu? – zapytał Tim.

–Pięćdziesięcioro dwoje.

–Ile zapamiętało historie w rodzaju nagich zabaw?

–Siedemnaścioro. Z biura prokuratora wyciekły sprośne szczegóły.

–Czy dzieci zostały poddane badaniom lekarskim?

–Psychiatra twierdził z początku, że może to u nich wywołać uraz.

–Skoro prokurator to zaakceptował, musiał podejrzewać, że nic się nie stało.

–Może miał zamiar wycofać zarzuty po ponownej elekcji.

–Ale sprawa odbiła się zbyt głośnym echem w mediach – domyślił się Tim.

Na powierzchni kawy migotały iskierki światła.

–Psychiatra przez kilka miesięcy pracował z tą siedemnastką.

–Ten sam, który się przed tobą obnażył.

–W końcu zgodził się na przeprowadzenie badań przed procesem.

Obok patio przeszedł pies na smyczy prowadzący pogwizdującego właściciela.

Linda obserwowała machającego ogonem kundla, aż zniknął z pola widzenia.

–U dwóch dziewczynek odkryto ślady wcześniejszego

molestowania.

Przy jednym ze stolików nogi krzesła zaskrzypiały o kamienną posadzkę.

–Zbliznowacenia tkanki miękkiej – powiedziała. – Jedną z dziewczynek była Chloe.

–Ta, której matka to wszystko zaczęła.

–W tym czasie Chloe brała nie tylko ritalin.

-To znaczy?

-Rodzice posłali ją na regularną terapię do psychiatry.

-Mój Boże.

Wiatr poruszył kielichami szkarłatnych kwiatów.

-Psychiatra dawał Chloe leki. W ramach terapii.

-Dziewczynki twierdziły, że działa się coś więcej... poza zabawami nago?

-Przedstawiły drastyczne opisy molestowania – odparła.

Przy stoliku pod drzewem roześmiały się jakieś młode kobiety.

-Powiedziały, że moja matka trzymała je, podczas gdy

ojciec...

Jedna z nich śmiała się srebrzyście, druga piskliwie. Z gałęzi zerwały się trzy spłoszone wróble.

-Zeznania dziewczynek zostały zarejestrowane przez prokuratora okręgowego.

Wróble zatoczyły krąg i zniknęły w gardzieli nieba.

-Psychiatra był obecny podczas nagrań.

-Czy tego rodzaju nagrania mogą stanowić dowód przed sądem? – spytał Tim.

-Nie powinny, ale sędzia przymknął na to oko.

-To mogło posłużyć jako podstawa apelacji.

-Okazało się, że nie ma na to nadziei.

Brązowe pióro przecięło powietrze niczym bułat.

-Mój ojciec dostał dwadzieścia lat. Osadzili go w Saint Quentin.

-Ile miałaś lat?

-Dziesięć, kiedy to się zaczęło. Prawie dwanaście, kiedy zapadł wyrok.

-A matka?

–Osiem do dziesięciu lat. Trafiła do kobiecego więzienia w Coronie.

Na chwilę zaabsorbowała ją kawa.

Tim chciał wyciągnąć do niej rękę, ale wyczuwał, że Linda nie chce, by dodawał jej otuchy. Wyrządzona niesprawiedliwość od dawna stanowiła dla niej źródło siły. Gniew był jedyną pociechą.

–Po pięciu miesiącach odsiadki tatę zabił współwięzień.

Tim pochylił głowę pod ciężarem jej opowieści.

–Dźgnął go cztery razy w brzuch, dwa razy w twarz.

Tim zamknął powieki, ale nie spodobała mu się panująca za nimi ciemność.

–Moja matka dostała raka trzustki. Zdiagnozowano ją

błędnie w więziennym szpitalu.

Otwierając oczy, zobaczył, że Linda wpatruje się w leżące na stoliku brązowe pióro.

–W szpitalu nie miała siły wziąć mnie za rękę. Patio przeciął młody człowiek z bukietem róż.

–Trzymałam jej rękę w obu moich, ale ciągle się wysuwała.

Młody człowiek z różami dołączył do śmiejących się kobiet.

–Wydatki na adwokatów zrujnowały ich. Angelina nie

miała pieniędzy.

Jedna z kobiet wstała, żeby pocałować mężczyznę. Sprawiała wrażenie szczęśliwej.

–Nasze nazwisko brzmiało Locadio, ale okryło się złą sławą.

–Byłem wtedy młody, ale pamiętam je – uświadomił sobie Tim.

–Dzieci nazywały mnie „córką potworów”. Niektórzy chłopcy byli wulgarni.

–Angelina nazywała się Paquette?

–Tak. Przyjęłam jej nazwisko. Zmieniałam szkoły. Ale to nic nie dało.

Kolibier wcześniej odleciał. Teraz wrócił.

-Uczyłam się więc w domu.

-Najwyraźniej dobrze ci poszło.

-Bo chciałam wiedzieć wszystko. Żeby zrozumieć dlaczego.

-Nie trzeba pytać dlaczego. Zło po prostu istnieje – odparł Tom.

-Przed dwoma laty odnalazła mnie druga z molestowanych dziewczynek.

-Zacząła się pozbywać fałszywych wspomnień?

-Nigdy ich nie miała. Mówiąc o moim ojcu, kłamała, tak jak jej kazali.

-Kto jej kazał? Terapeuta? Bała się go?

-Śmiertelnie. Molestował ją w czasie sesji.

-Zbliznowacenia tkanki miękkiej.

-Cierpiała. Dręczył ją wstyd. Lęk. Poczucie winy z powodu śmierci mojego taty.

-Co jej powiedziałaś?

-Że kocham ją za to, że zadała sobie tyle trudu, żeby mnie odnaleźć.

-Oskarżyła go?

-Tak. A on zagroził, że pozwie ją za naruszenie swojego dobrego imienia.

-A Chloe? Nie mogła potwierdzić zeznań tej drugiej dziewczyny?

-Chloe popełniła samobójstwo, kiedy miała czternaście lat.

Słońce, które grzeje skórę i na które otwiera się cała natura, koliber i szkarłatne kwiaty, merdający ogonem pies i jego pogwizdujący właściciel, młody człowiek z różami i śmiejące się kobiety – mimo całego piękna i radości życia świat jest miejscem, w którym toczy się wojna.

Kobieta nadal śpiewała w kuchni, a Krait zwiedzał w tym czasie salon.

Ściany wewnątrz miały taki sam bladożółty kolor co zewnątrz; wszystkie profile i wbudowane szafki pomalowane były błyszczącą białą farbą. Na czerwonej mahoniowej podłodze leżał żółto-brązowy kobierzec w palmy i pierzaste liście, współczesna tańsza wersja perskiego dywanu.

Umeblowanie nie było szczególnie oryginalne, ale raczej nie raziło. W salonie brakowało obrazków przedstawiających kwiaty, marszczeń i frędzli, lecz mimo to był przytulny i czuć w nim było kobiecą rękę.

Większość ludzi określiłoby styl tego wnętrza jako rodzinny. Krait, który nie miał żadnych rodzinnych doświadczeń, nie mógł tego osądzić.

Kobieta przestała śpiewać.

Krait położył torbę na fotelu, otworzył ją i wyjął instrument, za pomocą którego mógł ją natychmiast obezwładnić.

Nasłuchiwał zbliżających się kroków. Przez moment zdawało mu się, że znieruchomiała i również nasłuchuje, ale potem znowu zaczęła śpiewać. Nuciła Someone to Watch Over Me.

Nad kominkiem wisiał obraz przedstawiający dzieci biegnące po plaży. Nad przybojem unosiła się lśniąca w promieniach słońca mgiełka. Dzieci były w kostiumach kąpielowych i świetnie się bawiły.

Kraitowi dzieci nie były oczywiście do niczego potrzebne, ale obraz wydał mu się do tego stopnia odrażający, że paradoksalnie nie mógł od niego oderwać oczu.

Stylu tego dzieła nie można było określić mianem czułościowego, a nawet sentymentalnego. Artysta uchwycił celnie nie tylko formę, proporcje i detale, lecz również subtelną grę światła.

Im dłużej Krait studiował obraz, tym większe budził w nim obrzydzenie. Studiowanie go nie pomogło mu jednak zrozumieć. skąd bierze się ta antypatia.

Instyktownie wiedział, że reprezentuje coś, wobec czego musi zawsze być w opozycji, coś, czemu musi się sprzeciwiać każdą cząsteczką swego istnienia, na co musi odpowiadać nieubłaganą agresją.

W kuchni kobieta przestała nucić Someone to Watch Over Me i zaśpiewała These

Foolish Things. Krait odwrócił się od obrazu i opanował przyprawiającą go o rozstrój nerwów nienawiść, zastępując ją swoją normalną łagodnością, bardziej stosowną u osoby jego talentów i pozycji.

W salonie była poza tym półka z książkami. Z tytułów, które znał, żaden nie wzbudził jego aprobaty.

Na kilku półkach oprócz książek stały oprawione w ramki rodzinne zdjęcia, zarówno grupowe, jak i portrety.

Na kilku grupowych fotografiach pojawiali się również rodzice, ale najczęściej przedstawiały dzieci, Timothy'ego i Zachary'ego.

Chłopcy byli fotografowani od trzeciego do mniej więcej dwudziestego roku życia. Niektóre zdjęcia były pozowane, inne robione z zaskoczenia.

Krait nie pamiętał, by w jednej kolekcji fotografii oglądał kiedykolwiek tyle uśmiechów, tyle twarzy rozjaśnionych śmiechem. Rodzina Carrierow robiła za każdym razem wrażenie szczęśliwej i rozradowanej.

To miało się wkrótce zmienić.

Część trzecia

Niewłaściwe miejsce, niewłaściwy czas

52

Krait przeszedł korytarzem do kuchni i stanął w jej progu.

Kobieta stała odwrócona do niego plecami i obierała jabłka przy zlewie.

These Foolish Things brzmiały w jej wykonaniu całkiem nieźle: śpiewała piosenkę powoli i swobodnie, prawie mówiąc, nadając tekstowi melancholijną nutę, dokładnie taką, jaką powinien mieć.

Kuchnia i jadalnia były połączone. Pomędzy nimi przy dużym sosnowym stole stało sześć krzeseł.

Krait mógł wyobrazić sobie Tima przy tym stole. Jako chłopiec na pewno dużo jadł; biorąc pod uwagę jego posturę, musiał poważnie nadwyrężyć rodzinny budżet.

Nad stołem wisiał ładny mosiężny żyrandol. Stylizowane ptaki unosiły się nad ośmioma miedzianymi kloszami w kształcie piór.

Po obraniu jabłka kobieta użyła innego noża, żeby je przepołowić, a następnie pokroić na plasterki, które wrzuciła do miski stojącej na desce przy zlewozmywaku.

Miała zwinne dłonie i długie palce. Podobały mu się.

–Mary? – zapytał, kiedy skończyła śpiewać.

Myślał, że się wzdrygnie. Zamiast tego odwróciła się do niego, otwierając tylko trochę szerzej oczy.

Pięćdziesięciokilkuletnia, mogłaby być matką Kraita, gdyby kiedykolwiek miał matkę, lecz mimo to była zadbaną i atrakcyjną kobietą.

–Znasz As Time Goes By z Casablanki? – zapytał.

Nie zapytała „kim pan jest?” ani „co pan tu robi?”; po prostu na niego patrzyła.

–Widziałem ten film czterdzieści dwa razy – oświadczył

Krait. – Lubię oglądać te same filmy. Człowiek zawsze wie,

co go czeka.

Widział, że kobieta myśli o nożu, który trzymała w dłoni. Zastanawiała się również,

jak szybko uda jej się dotrzeć do tylnych drzwi, chociaż na nie nie spojrzała.

Zanim zdążyła skomplikować sytuację, Krait strzelił do niej. Wiatrówka, którą wyjął z torby, świsnęła cicho i pocisk trafił ją w prawą pierś.

Ubrana była w bluzkę w niebiesko-żółtą kratę i najprawdopodobniej biustonosz. Tkanina nie powinna jednak zakłócić działania leku.

Trafiona strzałką Mary syknęła z bólu. Wyciągnęła ją z piersi i rzuciła na podłogę, lecz szybko działający środek usypiający został już wstrzyknięty pod skórę.

–Może później będziesz mogła zaśpiewać As Time Goes

By – powiedział. – Na pewno znasz słowa.

Mary złapała leżącą na desce maszynkę do wyluskiwania gniazd nasiennych i cisnęła nią w Kraita. Nie udało jej się trafić.

Trzymając w ręku nóż, odwróciła się w stronę tylnych drzwi, ale ugięły się pod nią kolana. Złapała się za blat, żeby się podeprzeć.

Krait ruszył ku niej, obchodząc wyspę kuchenną.

Głowa Mary zaczęła opadać do przodu. Podniosła ją z wysiłkiem. Oczy zaszły jej mgłą.

Nóż wyslizgnął jej się z dłoni i uderzył z brzękiem o wyłożoną płytkami podłogę.

Krait odsunął go stopą na bok i kiedy Mary zachwiała się, złapał ją, zanim upadła.

Podszedł z nieprzytomną kobietą do wielkiego sosnowego stołu i posadził ją na krześle. Kiedy zaczęła się z niego zsuwać, pchnął ją do przodu, skrzyżował jej ręce na stole i ułożył na nich głowę. Ta pozycja wydawała się stabilna.

W salonie zasunął zasłony w oknach i zabrał z fotela brezentową torbę.

Po zamknięciu frontowych drzwi na zasuwę wrócił do kuchni i położył brezentową torbę na sosnowym stole.

Obawiając się, że Carrierowie mogą mieć, podobnie jak Bethany i Jim, wpadających niczym w sitcomie sąsiadów, zasunął żaluzje w kuchni i zasłony w jadalni.

Następnie wyjął z brezentowej torby dwa zestawy policyjnych kajdanek i przykuł lewy przegub Mary do lewej poręczy krzesła, na którym siedziała.

Drugimi kajdankami spiął nogę krzesła z nogą stołu.

Następnie obszedł szybko cały dom, nie po to, by dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach, którzy w nim mieszkali, ale upewnić się, czy on i Mary są sami.

Z wyjątkiem samego siebie w kilku lustrach nie zobaczył nikogo. Przeglądając się w jednym z nich, mrugnął do swojego odbicia i podniósł w górę kciuki.

Carrierowie mieli dwa zarejestrowane pojazdy: sześciolatni chevroleta suburbańska i nowszego ford expedition. Walter pojechał suburbanem do pracy, ale expedition stał do dyspozycji Kraita w garażu.

Wróciwszy do kuchni, zjadł kawałek jabłka ze stojącej na desce metalowej miski. Był jędrny i pyszny. Zjadł jeszcze jeden.

Siedząca przy stole Mary wydała odgłos, jakby czymś się udławiła, i przestała chrapać.

Alergiczna reakcja na lek mogła bardzo rzadko spowodować wstrząs anafilaktyczny i doprowadzić do zgonu.

Krait podszedł do niej i stwierdził, że wciąż oddycha. Puls miała wolny i regularny.

Wyprostował ją na krześle. Tym razem nie osunęła się na stół, ale przechyliła jej się na bok głowa.

Krait usiadł obok na krześle i odgarnął jej włosy z twarzy. Miała gładką skórę z zaledwie kilkoma zmarszczkami w kącikach oczu.

Odemknął jej powieki. Miała nakrapiane zielenią szare oczy. Powieki pozostały przez chwilę otwarte, a potem opadły.

Jej dolna szczęka nadal była opuszczona, wargi rozchylone. Miała pełne usta.

Krait przesunął po nich palcami, ale nie zareagowała.

Z brezentowej torby wyjął giętą gumową rurkę i plastikowy niebieski pojemnik. W pojemniku były dwie strzykawki i ampułki z bursztynowym płynem.

Zdjąwszy osłonkę z jednej ze strzykawek, wbił igłę w korek ampułki, pobrał z niej odmierzoną dawkę płynu i wypuścił kilka kropel na podłogę, żeby w igle nie pozostało powietrze.

Następnie obrócił dłoń Mary wewnętrzną stroną ku górze i użył gumowej rurki jako opaski zaciskowej, żeby żyła uwidoczniła się pod skórą. Wbił igłę w żyłę, powoli nacisnął tłoczek, rozluźnił opaskę i patrzył, jak bursztynowy roztwór wypływa ze strzykawki.

Nie posmarował wcześniej miejsca ukłucia spirytusem. Gdyby doszło do zakażenia krwi, objawy nie wystąpią wcześniej niż po paru dniach, a do tego czasu i tak zamierzał z nią skończyć.

Jej ręce były kobiece, kształtne, ale nie miękkie. Miała napięte mięśnie.

Kiedy wyciągnął igłę z żyły, na skórze pojawiła się kropelka krwi. Przyjrzał jej się zaintrygowany.

To była krew matki najgroźniejszego przeciwnika, z jakim kiedykolwiek się zmierzył i prawdopodobnie kiedykolwiek się zmierzy.

Wdychając zapach jej skóry, pochylił się i zlizął krew.

Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego musiał skosztować tej szkarłatnej esencji, ale nie miał wątpliwości, że postąpił właściwie.

Bursztynowy roztwór neutralizował działanie środka usypiającego, który znajdował się w pocisku. Dzięki niemu nie tylko szybciej się obudzi, ale będzie miała od razu jasny umysł.

Krait odchylił się do tyłu na krześle i patrzył, jak jej gałki oczne zaczynają się ruszać pod powiekami.

Mary wykrzywiła usta, jakby coś jej nie smakowało. Po chwili wysunęła język i oblizwała wargi.

Kiedy otworzyła po raz pierwszy oczy, były mętne i od razu jej zamknęła. Po chwili ponownie je otworzyła i ponownie zamknęła.

–Nie udawaj – powiedział. – Wiem, że jesteś przytomna.

Mary wyprostowała się i spojrzała najpierw na kajdanki, które przykuwały jej lewy nadgarstek do poręczy krzesła, a potem na prawą rękę tam, gdzie zrobił jej zastrzyk, i na leżącą na stole użytą strzykawkę.

Kiedy spojrzała w końcu w oczy Kraita, oczekiwał, że zapyta, co takiego jej zrobił. Lecz ona milczała. Wpatrywała się w niego, czekając, co może powiedzieć.

Czując, że mu imponuje, zaszczycił ją uśmiechem.

–Muszę przyznać, dziewczyno, że niezła z ciebie bestia – stwierdził.

–Nie jestem bestią – odpowiedziała.

Fale przyboju spryskiwały wodnym pyłem szylkretowe skały. Rytmiczny szum przypominał szepczące równocześnie w różnych językach rzesze, zupełnie jakby wszyscy, których zabiło od niepamiętnych czasów morze, przemawiali teraz jego głosem.

Park ciągnął się na odcinku kilku przecznic wzdłuż skarpy. Robotnicy jedli drugie śniadanie przy piknikowych stołach pod palmami, gorliwi joggerzy przemierzali z zaciętymi twarzami alejki.

Tim i Linda spacerowali od jednego do drugiego miejsca widokowego, opierali się o balustradę i patrzyli, jak brzeg przyjmuje morze, a morze wspina się po brzegu.

Metabolizując przyprawiające o rozstrój nerwowy ilości kofeiny, on przyswajał sobie wszystko, czego się od niej dowiedział, a ona uświadamiała sobie ze zdziwieniem, iż po raz pierwszy od ponad piętnastu lat opowiedziała komuś o destrukcji swojej rodziny.

–To zabawne – mruknęła – że kiedy zaczynam czuć, że naprawdę żyję, nadchodzi ktoś, kto chce mnie zabić.

–Może i nadchodzi, ale na pewno cię nie zabije.

–Skąd ta pewność? – zapytała.

Tim pokazał jej torbę z czekoladowo-pistacjowymi ciasteczkami, które zabrali ze sobą i które pojadali podczas spaceru.

–Cukier – odparł.

–Mówię serio, Tim.

Obserwował przez chwilę fale, a ona go nie ponaglała.

–Przed siedmiu laty wiedziałem, że nadchodzi coś, z czym muszę się zmierzyć – powiedział w końcu.

–Co to było?

–Nazywanie tego przeznaczeniem wydaje się zbyt górnołotne.

–Wszyscy musimy się zmierzyć z przeznaczeniem.

–To bardziej coś, co ma się we krwi.

–Więc co takiego masz we krwi?

–Nic takiego, z czego byłbym dumny. Nie osiągnąłem tego. Po prostu to w sobie mam.

Linda czekała.

–Trochę się przeraziłem, kiedy to odkryłem – wyznał. –

Nadal trochę mnie to przeraża. Chodzi również o to, jak reagują na to ludzie. To może być krępujące.

Obok nich przeleciały z nagłym krzykiem mewy. Jedna z nich zanurkowała i zniknęła w morzu.

–Powtarzam sobie, że zawód murarza to dobry i uczciwy fach, że bycie murarzem to najlepsza rzecz, jaka mogła mi się przydarzyć, i wierzę, że tak jest.

Ptaka wynurzył się z wody albo spomiędzy dwóch fal i poszybował w górę z upolowaną rybą.

–Ale wcześniej czy później ta część twojej osobowości, którą próbujesz stłumić, nie chce być dłużej tłumiona. To jest we krwi, a krew ma swoje sposoby.

W zasięgu pyłu wodnego, lecz poza zasięgiem fal, dwaj mężczyźni i jedna kobieta wspinali się po skałach, łowiąc kraby i wkładając je do jaskrawożółtych plastikowych wiader.

–A poza tym zdarzają się różne rzeczy, które zmuszają człowieka, żeby był tym, kim jest.

W tym momencie zadzwoniła komórka.

–Nie odbieraj – powiedziała Linda. – Skończ to, co chciałeś powiedzieć.

–To na pewno Pete – odparł i miał rację.

–Mam już komórkę na kartę – oznajmił Pete. – Masz coś, żeby zapisać numer?

–Masz długopis i kartkę? – zapytał Tim. Linda wyjęła je z torebki. – Mów – rzucił do Pete'a.

Pete podał mu numer i powtórzył go.

–Widzieliście się już z Lily Wen-ching? – zapytał.

–Owszem. To było duże przeżycie.

–Chciałbym, żebyś mi o tym opowiedział. Ale spotkajmy się osobiście.

–Muszę chyba połamać ci nogi, żebyś trzymał się od tego z daleka.

–To nic ci nie da. W szkole średniej uprawiałem gimnastykę. Potrafię chodzić na rękach.

–Więc gdzie chcesz się spotkać?

Pete zapytał, gdzie się w tej chwili znajdują.

–Przyjadę tam do was – oznajmił. – Daj mi pół godziny.

–Będziemy siedzieli przy stole piknikowym.

Tim schował komórkę do kieszeni i ruszył ścieżką wzdłuż skarpy.

Linda podążyła za nim.

–Hej, wielkogłowy, jesteś mi winien parę słów wyjaśnienia.

–Owszem, ale nie potrafię ubrać tego wszystkiego w słowa.

–Ja zburzyłam swój mur.

–Wiem, jakie to było trudne. Ale w moim jest za dużo zbrojeń. Przejdźmy się trochę, a ja się zastanowię. – Linda ruszyła razem z nim alejką. – Nie chcę, żebyś zmieniła o mnie zdanie – dodał.

Słońce minęło zenit, cienie drzew wydłużały się ku wschodowi, a ona szła obok niego.

–Twój syn to kawał chłopca – powiedział Krait.

Mary nie odpowiedziała. Jej usta nie wydawały się już takie pełne jak wcześniej. Zaciśnęła wargi.

–Jestem pewien, że Zachary to też nie ułomek – dodał. –

Ale miałem na myśli Tima.

Ludzie, których zwiody uśmiech i bezpośrednie maniery Kraita, gdy decydował się być czarujący, rzadko patrzyli mu prosto w oczy – zupełnie jakby podświadomie wiedzieli, że łądzą się co do niego, i unikali jego wzroku, by móc łądzić się w dalszym ciągu.

Kiedy ktoś spoglądał mu w oczy, nie zatrzymywał tam spojrzenia na dłużej.

Mary miała badawczy wzrok okulisty. Za każdym razem, gdy mrugała, można było pomyśleć, że odwraca kolejną stronę w umyśle Kraita.

–To, że obezwładniłem cię w bezbolesny sposób, wcale nie oznacza, że nie skrzywdzę cię, jeśli będę musiał, moja droga.

Bez odpowiedzi.

–Jeżeli będziesz się upierała, skłonię cię do współpracy, zadając ci ból, którego nie potrafisz sobie wyobrazić.

Mary w dalszym ciągu czytała w jego oczach.

–Tylko głupcy niczego się nie boją – powiedział. – A głupcy umierają.

–Boję się – przyznała.

–To dobrze. Miło mi to słyszeć.

–Ale to, że się boję, to nie wszystko.

–Zobaczymy, może to nam wystarczy.

Nadal nie zapytała, kim jest i czego chce. Nie chciała tracić czasu na pytania, na które nie doczeka się odpowiedzi, i takie, na które udzieli jej odpowiedzi niepytany.

–Nazywam się Robert Kessler. Możesz mi mówić Bob.

Otóż, droga Mary, twój Tim ma coś, na czym mi zależy, i nie chce mi tego oddać.

–W takim razie pewnie nie powinieneś tego mieć.

Krait się uśmiechnął.

–Założę się, że kiedy był mały, broniłaś go przed każdym nauczycielem, który postawił mu złą ocenę.

–Nigdy tego nie robiłam.

–A gdybym powiedział, że ukradł dużą ilość kokainy, która należy do mnie?

–Gdybyś był dość głupi, żeby to powiedzieć, wiedziałabym, że kłamiesz.

–Mary, Mary, nie robisz na mnie wrażenia naiwnej kobiety.

–Na nikim nie robię takiego wrażenia.

–Nikt nie zna sekretów serca drugiej osoby – nie dawał za wygraną Krait. – Nawet matka nie wie, co kryje się w sercu syna.

–Ta matka wie.

–Więc nie zdziwiło cię, że potrafi mordować ludzi?

–To żalosne – odparła, posyłając Kraitowi pogardliwe spojrzenie. – Mordować? Kiepska sofistyka.

Krait uniósł brwi.

–Sofistyka? To niezwykle słowo w ustach żony i matki murarza.

–Próbujemy stać się bezmyślnymi robotami, ale przeszkadzają nam w tym nasze mózgi.

–Muszę przyznać, Mary, że w innych okolicznościach mógłbym cię nawet polubić.

–A ja nie wyobrażam sobie okoliczności, w których mogłabym polubić ciebie.

Krait przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu.

–Nie zdołasz sprawić, żebym zwątpiła we własnego syna – dodała kobieta. – Im bardziej się starasz, tym mniej wierzę w te brednie.

–To się zapowiada interesująco – stwierdził Krait, po czym wstał, przyniósł z kuchni miskę z jabłkami i zjadł jeden plasterk. – Do czego są te jabłka? – zapytał.

–Nie przyszedłeś tutaj, żeby rozmawiać o jabłkach.

–Ale w tej chwili właśnie one mnie interesują, moja droga. Robisz szarlotkę?

–Dwie szarlotki.

–Robisz własną kruszonkę czy kupujesz gotową w supermarkecie? – zapytał, żując kolejny plasterk.

–Robię własną.

–Kiedy to tylko możliwe, staram się jeść domowe jedzenie – oświadczył Krait. – Jest zdrowsze i smaczniejsze niż jedzenie w restauracjach i mrożone gotowe dania, a kiedy ma się tyle domów co ja, człowiek może wybierać do woli.

Wziął trzeci plasterk jabłka i cisnął go w jej twarz. Mary się wzdrygnęła. Plasterk przywarł na chwilę do jej czoła, po czym ześlizgnął się i spadł na bluzkę.

Krait rzucił w nią ponownie. Tym razem kawałek jabłka trafił ją w policzek i spadł na prawe ramię. Strząsnęła go na podłogę.

–Spróbuj łapać je w usta – powiedział. Plasterk wylądował na jej zaciśniętych wargach.

–No, pobaw się ze mną, spróbuj.

Ponieważ Mary nadal zaciskała usta i podniosła głowę, plasterk jabłka trafił ją w podbródek.

–Bez względu na to, czego chcesz – powiedziała –

upokarzanie mnie nic ci nie da.

–Może nie da, moja droga, ale dobrze się bawię.

Krait zjadł kolejny plasterk i rzucił w nią dwa następne.

–O której godzinie wraca do domu Walter? Nie odpowiedziała.

–Mary, Mary, jakaś ty przekorna. Może chcesz, żebym

poszukał żyletki i pociął ci twarz? Może wtedy będziesz bardziej skłonna do współpracy?

Krait wyciągnął pistolet maszynowy z kabury pod marynarką i położył go na stole.

–Ale jeżeli Walter wejdzie tutaj nieoczekiwanie – pod

jął – zastrzelę go, kiedy tylko stanie w drzwiach, i to będzie

twoja wina.

Mary wbiła wzrok w broń.

–Jest zaopatrzony w tłumik – wyjaśnił Krait. – To pistolet maszynowy. Z bliskiej odległości mogę za jednym pociągnięciem spustu posłać cztery, pięć, sześć pocisków w jego szyję i kark.

–Na ogół między czwartą i wpół do piątej – odpowiedziała niechętnie.

Najłatwiej było ją złamać poprzez tych, których kochała.

–Czy przychodzi czasem wcześniej? – zapytał Krait.

–Tylko jeżeli popsuje się pogoda.

–Spodziewasz się kogoś innego?

–Nie.

–W porządku. Świetnie. Zabiorę cię stąd na długo przed czwartą.

Zobaczył, że zareagowała na to, co powiedział, choć nie odezwała się ani słowem.

–Mam zamiar zadzwonić do Tima – oznajmił. – Do Timmy'ego. Mówisz na niego Timmy?

–Nie.

–Nazywałaś go Timmy, kiedy był małym chłopcem?

–Zawsze był Timem.

–Dobrze. Ale na pewno nie małym Timem. Mam zamiar zadzwonić do Tima i zaproponować mu wymianę. Chcę, żebyś z nim porozmawiała.

–Jaką wymianę?

–W końcu coś cię zaniekaowało.

–Powiedz mi prawdę. Nie te bzdury o kokainie.

–Zlecono mi zabicie pewnej dziwki i zgwałcenie jej, jeśli będę miał czas, a on ją przede mną ukrywa.

Matka murarza spojrziała Kraitowi prosto w oczy, a potem popatrzyła na leżącą na stole broń.

–To miało wyglądać na włamanie rabunkowe do jej domu,

choć teraz trudno to będzie chyba zaaranżować. Ale jeżeli będę

mógł, nadal mam zamiar ją zgwałcić, bo kazała mi na to bardzo

długo czekać.

Mary zamknęła oczy.

–Czy to też robi na tobie wrażenie bredni, Mary?

–Nie. To jest chore, ale wydaje się prawdziwe.

–Kiedy się ponownie spotkacie, Tim opowie ci wszystko ze szczegółami. Są fascynujące. Musiałem się za nimi długo uganiać.

Krait rzucił jej w twarz plasterki, żeby otworzyła oczy.

–Uważaj na to, co mówię, Mary – powiedział, przysuwając do niej bliżej krzesło. – Musisz zrozumieć kilka rzeczy.

–Słucham.

–Później mam zamiar związać cię i przenieść do garażu. Wyjedziemy stąd fordem. Mam zamiar położyć cię na plecach tam, gdzie wozi się bagaże. Boisz się zastrzyków, Mary?

–Nie.

–To dobrze. Ponieważ mam zamiar podłączyć cię do małej sprytnej pompy infuzyjnej. Wiesz, co to jest?

–Nie.

–To coś podobnego do kroplówki w szpitalu, ale mniejsze i zasilane baterią, a nie

działające w oparciu o siłę grawitacji. Będę ci podawał odmierzoną dawkę środków usypiających. Czy jesteś uczulona na jakieś leki, moja droga?

–Uczulona? Nie.

–W takim razie nic ci nie grozi. Będiesz spała, aż wszystko załatwimy. To ułatwi sprawę nam obojgu. Przykryję cię kocem i każdy, kto przypadkiem zerknie do środka, nie zorientuje się, że tam jesteś. Ale mam jeden problem. Spójrz na mnie, moja droga.

Przestały ją interesować jego oczy, ponieważ wiedziała już, z kim ma do czynienia. Wiedziała, że nie warto próbować z nim żadnych matczynych sztuczek.

–Po pocisku usypiającym podałem ci środek neutralizujący jego działanie, żebyśmy mogli odbyć to małe tete-a-tete. Przez następne... – Krait spojrział na zegarek -... półtorej godziny, będzie on osłabiał działanie kolejnego środka usypiającego, który zamierzam ci podać. Dlatego musimy poczekać. Rozumiesz?

–Tak.

–Więc kiedy zadzwonimy do Tima, powiem, że już cię wywiozłem. I powiem, co ma zrobić. Dostosujesz się do reguł gry. Powiesz, że cię porwałem, że chcesz wrócić do domu, i proszę, niech zrobi wszystko, czego żąda od niego zły pan Kessler.

Wcześniej jej policzki płonęły z gniewu i upokorzenia. Teraz poblady.

–Nie mogę tego zrobić – oznajmiła.

–Oczywiście, że możesz.

–O Boże.

–Jesteś w tym świetna.

–Nie mogę go postawić w takiej sytuacji.

–Jakiej sytuacji?

–Wyboru, kto ma zginąć.

–Chyba żartujesz?

–To byłoby dla niego straszne.

–Mówisz serio?

–Nie mogę tego zrobić.

–Mary, to jakaś kurewka, którą poznał dopiero wczoraj.

–To nie ma znaczenia.

–Dopiero wczoraj. Ty jesteś jego matką. Łatwo będzie mu podjąć decyzję.

–Ale potem będzie musiał z tym żyć. Dlaczego miałby żyć z czymś takim?

–A co to cię obchodzi? Boisz się, że wybierze kurewkę zamiast ciebie? – zapytał Krait, uświadamiając sobie, że słyszy w swoim głosie autentyczny gniew.

–Znam Tima. Wiem, że robi to, co uważa za słuszne i właściwe. Ale w tym przypadku każdy wybór pociąga za sobą zło.

Krait wziął głęboki oddech. I kolejny. Spokój. Musi zachować spokój. Wstał. Przeciągnął się. Uśmiechnął się do Mary.

–A jeśli wybierze mnie? – podjęła. – Wtedy będę musiała żyć, mając na sumieniu tamtą dziewczynę.

–No cóż, życie jest do bani, Mary, lecz większość ludzi uważa, że jest lepsze od śmierci. Ja osobiście się z tym nie zgadzam. Myślę, że lepiej byłoby, gdybyście wszyscy byli martwi, ale to tylko moje zdanie.

Spojrzała mu w oczy. Trochę ją to chyba zaskoczyło.

Krait wziął Glocka i obszedł powoli stół.

–Pozwól, że coś ci wyjaśnię, moja droga. Jeśli tego dla mnie nie zrobisz, zabiję cię i zostawię tu, aż znajdzie cię Walter. Wierzysz mi?

–Tak.

–A potem dopadnę twojego syna Zachary'ego. Dam Timowi wybór: jego brat albo ta kurewka. Wierzysz mi?

Mary nie odpowiedziała.

–WIERZYSZ MI?

–Tak.

–Jeżeli Zachary okaże się dość głupi, żeby mieć skrupuły, zabiję go. Czy to właśnie cię powstrzymuje, Mary? Skrupuły?

–Po prostu troszczę się o syna.

–Po zabiciu Zachary'ego dopadnę jego żonę. Ma na imię Laura, prawda?

–Kim jesteś? – zapytała w końcu Mary, ale miała chyba na myśli „czym jesteś?”.

–Robert Kessler. Zapomniałaś? Możesz mi mówić Bob. Albo jeśli chcesz, Bobby. Nie mów tylko Rob. Nie podoba mi się ta forma imienia.

Kobieta zdawała się w dalszym ciągu opanowana, ale zakwitło w niej ziarno lęku.

–A jeżeli Laura będzie miała jakieś głupie zastrzeżenia,

jeżeli ona też jest zarażona, wtedy zgwałcę ją, zabiję i zajmę się

Naomi. Ile lat ma Naomi?

Mary nie odpowiedziała.

–Wiem, że to dla ciebie trudne, moja droga. Robiłaś szarlotkę,

śpiewałaś stare piosenki i nagle coś takiego. Ale powiedz mi, ile lat ma Naomi, bo przestrzelę ci mózg.

–Siedem. Ma siedem lat.

–Myślisz, że wujek Tim posłucha, jeśli siedmioletnia dziewczynka poprosi go, żeby uratował jej życie? Moim zdaniem zrobi to, Mary. Mała będzie płakała, szlochała i błagała. Wujkowi będzie krajało się serce. Odda tę kurewkę, a może nawet sam ją zabije, żeby tylko młodej siostrzenicy nie spadł włos z głowy.

–No dobrze – powiedziała Mary.

–Czy będę musiał to ciągnąć aż do Naomi?

–Nie.

Okrążywszy stół, Krait podszedł do zlewozmywaka, urwał kilka listków papieru kuchennego, zmoczył lekko jeden z nich i wrócił do swojego krzesła.

Uśmiechnął się do niej. Kiedy ścierał ręcznikiem z jej twarzy sok z jabłka i strącał

plasterki z ubrania, nie dała mu satysfakcji i nawet się nie skrzywiła. Krait sprzątnął z podłogi kawałki jabłek i wrzucił wszystkie do kosza na śmieci.

–Podoba mi się twój dom, Mary – powiedział, siadając

ponownie przy stole. – Pomieszkałbym tutaj chętnie przez

kilka dni, gdyby nie ten obraz w salonie, chłopcy biegający po

plaży. Musiałbym pociąć go na kawałki i spalić w kominku,

w przeciwnym razie budziłbym się z krzykiem w nocy na samą

myśl, że tam wisi.

Wbrew opiniom, że dzisiejsza młodzież jest marnie wyedukowana i mało przedsiębiorcza, pewien młodzieniec przyniósł chlubę swemu pokoleniu, poświęcając dużo czasu i wysiłku na wyrycie nieprzyzwoitego słowa na betonowym blacie piknikowego stołu, i nie popełniając przy tym żadnego błędu ortograficznego.

Tim i Linda usiedli na ławce, plecami do stołu, i obserwowali rolkarzy, psy z właścicielami, trzymające się za ręce pary, księdza, który spacerując, czytał brewiarz, oraz urzędnego pięćdziesięciolatka błakającego się po parku i próbującego nawiązać rozmowę z palmami.

Tim nadal zastanawiał się, jak przedstawić jej to, na co cierpliwie czekała.

–Powiem ci, jak to widzę – powiedział w końcu. – Opowiem o tym tylko raz i bez wielu szczegółów. Będziesz miała kilka pytań, to zrozumiałe. Ale kiedy już to załatwimy, nie będziemy o tym więcej mówili. Nie będzie żadnego „opowiedz im, Tim, co wtedy zrobiłeś”, kiedy za kilka lat będziemy mieli jakiegoś nowego znajomego. Bo tego nie zrobię.

–„Za kilka lat”. To mi się podoba. No dobrze. Tylko ten jeden raz. Umiesz budować napięcie. Może to ty powinieneś pisać książki, a ja układać cegły.

–Mówię serio, Lindo.

–Ja też.

Tim wziął głęboki oddech, wypuścił z płuc powietrze, znowu odetchnął... i nagle zadzwoniła jego komórka.

Linda westchnęła.

To był jego stary telefon, nie ten na kartę. Na wyświetlaczu nie ukazał się numer dzwoniącego.

–To musi być on – powiedział i odebrał telefon.

–Jak się miewa moja dziewczyna? – zapytał zabójca.

Tim nie odpowiedział, obserwując szepczącego do drzew pięćdziesięciolatka.

–Przeleciałeś ją już, Tim?

–Rozłączę się, zanim uda ci się namierzyć, gdzie jestem – ostrzegł Tim. – Więc mów, co masz do powiedzenia.

–Nie mam dużo do powiedzenia, Tim. Masz włączone głośne mówienie?

–Nie.

–To dobrze. Lepiej będzie, jeśli dziwka tego nie usłyszy. Ale my mamy je tutaj włączone i chce z tobą pogadać Mary.

–Jaka Mary?

–Tim? – odezwała się jego matka.

–O mój Boże.

Słońce wydało się nagle zbyt jasne, powietrze zbyt gęste, żeby nim oddychać. Tim wstał z ławki.

–Bądź sobą, skarbie.

–Mamo. O Boże...

–Bądź sobą. Słyszysz mnie?

Nie mógł mówić. Linda również wstała z ławki. Nie był w stanie na nią spojrzeć.

–Bądź sobą – powtórzyła jego matka. – Wtedy sobie poradzisz.

–Jeżeli cię skrzywdził...

–Nic mi nie jest. Nie boję się. Wiesz, dlaczego się nie boję?

–Kocham cię – powiedział.

–Wiesz, dlaczego się nie boję, skarbie? Naprowadzała go na coś.

–Dlaczego?

–Bo siedzę tutaj, myśląc o tobie i Michelle. Tim znieruchomiał.

–Chcę być na twoim weselu, skarbie.

–Będziesz – odparł. – Będziesz na nim.

–Jest taka słodka. Jest dla ciebie idealna.

–Przypomina mi ciebie – powiedział.

–Uwielbiam ten pierścień, który dla mnie zrobiła.

–Powiedz mu, Mary – wtrącił niecierpliwie zabójca.

–Patrzę teraz na ten pierścień, skarbie, i dodaje mi nadziei.

–Mary – powtórzył ostrzegawczym tonem zabójca.

–Tim, och, proszę, chcę wrócić do domu.

–Co on zrobił, dokąd cię zabrał?

–Chce dokonać wymiany.

–Tak, wiem, czego chce.

–Skarbie, nie wiem, kim jest ta kobieta, na której mu zależy.

–To wielki błąd, jaki popełniłem, mamó. Wielki błąd.

–Pomyśl o mnie i o Michelle. Kocham cię.

–Wszystko będzie dobrze, mamó.

–Bądź sobą. Zrób to, co uważasz za stosowne.

–Sprowadzę cię do domu. Przysięgam.

–Wyłączyłem głośne mówienie – oznajmił zabójca.

–Nie waż się tknąć mojej matki.

–Zrobię twojej matce, co mi się żywnie podoba. Jesteśmy

na odludziu, nikt nie usłyszy jej krzyków.

Tim ugryzł się w język, ponieważ żadna odpowiedź, która przychodziła mu na myśl, nie przyniosłaby spodziewanego efektu.

–Więc bierzesz ślub – stwierdził zabójca.

–Powiedz, co mam zrobić.

–Jak ma na nazwisko Michelle?

–Nie twoja sprawa.

–Mogę to wydobyć torturami z twojej matki.

–Jefferson – odparł Tim, podając panieńskie nazwisko Michelle Rooney. – Michelle Jefferson.

–Co pomyśli sobie Michelle, kiedy dowie się, że zaryzykowałeś wszystko dla tej dziwki?

–Nie mieszaj w to Michelle.

–To zależy od ciebie, Tim.

Przez park szedł Pete Santo, uśmiechając się i machając do nich ręką. Prowadził na smyczy Zoey.

Tim nie mógł udawać, iż godzi się łatwo na żądania zabójcy. Ten by mu nie uwierzył; szybka kapitulacja zrodziłaby podejrzenia. Musiał stawiać opór. Musiał zaproponować alternatywne rozwiązanie. Musiał się zastanowić.

–Jak mógłbym się zgodzić na taką wymianę? Jak mógłbym to zrobić?

–Masz słaby punkt, Tim.

–To tak, jakbym zabił jedną z nich.

–Jesteś porządnym facetem, Tim. Na tym polega twoja słabość.

–Nie jestem porządnym facetem. Staram się po prostu dostosować.

–Porządni faceci kończą ostatni, Tim.

–Nie zawsze, jeżeli pozostają w grze. Posłuchaj, znajdziemy jakieś inne wyjście. Nie mogę tego zrobić.

–Możesz.

–Nie. Tego nie.

–Robiłeś trudniejsze rzeczy.

–Nigdy. Nigdy czegoś takiego. Wielki Boże. Nie mogę.

–W takim razie twoja matka zginie.

–NIE MOGĘ TEGO ZROBIĆ! Daj mi minutę na zastanowienie.

–Twoją rodzinę powinni pokazywać w gabinecie osobliwości.

–Nie mogę. Po prostu daj mi się zastanowić.

–Powinni was pokazywać w gablocie w muzeum – sztywny zabójca.

Kiedy Pete się zbliżył, Linda wyszła mu naprzeciw, żeby nie powiedział czegoś, co Kravet usłyszałby przez telefon.

–Bądź realistą, Tim. Wiesz, że muszę ją zabić.

–Mógłbyś po prostu odejść.

–Nie, Tim. Muszę dbać o swoją reputację.

–Zszargałem ci ją, tak?

–Nie pochlebiaj sobie.

–Jak bardzo mnie nienawidzisz?

–Och, Tim, tego nie da się zmierzyć.

–Więc zabij mnie.

Linda usłyszała to i odwróciła się do Tima z oczami jasnymi i ostrymi niczym szmaragdy.

–Zabij mnie – powtórzył.

–Jak to sobie dokładnie wyobrażasz?

–Wybierzesz miejsce spotkania. Przyjdę nieuzbrojony.

–Wybrałem już miejsce, w którym dojdzie do wymiany.

–Kiedy moja matka odejdzie w stronę zaparkowanego samochodu, ja podejść do ciebie. Zgramy to tak, żebym znalazł się w zasięgu twojego strzału w tym samym momencie, gdy ona zostanie wywieziona.

–Chcesz, żeby doszło do strzelaniny.

–Nie.

–Przecież będziesz uzbrojony.

–Nie. Przyjdę w samych slipkach. Nie będę miał nic więcej. Nie zdołam nigdzie ukryć broni. Mam przyjaciela, który będzie prowadził samochód. Ale w ogóle się do ciebie

nie zbliży.

–Nie boisz się śmierci, Tim?

–Pewnie, że się boję. Ale nie to jest dla mnie najważniejsze.

–Jesteś szurniętym sukinsynem, Tim. Niezły z ciebie oryginał.

–Moja matka przeżyje. Linda będzie miała nad tobą przewagę czasową. Może uciec i nic więcej nie będę mógł dla niej zrobić. Jeśli będę miał szczęście i jeśli ona będzie miała szczęście, uratuję i ją, i matkę.

–Bez ciebie daleko nie ucieknie – stwierdził zabójca.

–Może jej się uda. Jest twarda. Zawarliśmy umowę?

Za drzewami jakiś chłopczyk i jego tata puszczali latawca w kształcie ziejącego ogniem smoka. Smok falował w powietrzu, jego ryk był tak samo cichy jak milczenie w słuchawce.

–Czytałem o tobie, Tim – powiedział w końcu zabójca.

–Nie wierz we wszystko, co czytasz.

–W to akurat wierzę. Dlatego sędzę, że mówisz poważnie.

–To jest rzecz, którą mogę zrobić. Proszę. To coś, co mogę zrobić.

–Przeczytałeś chyba za dużo książek przygodowych, Tim. Masz porąbane w głowie. Jesteś szurniętym sukinsynem.

–Jak sobie życzysz. Dobiliśmy targu? Zabij mnie zamiast niej.

–Dobrze, to mi pasuje.

–Więc co teraz? – spytał Tim.

–Znasz Fashion Island w Newport Beach?

–Centrum handlowe. Wszyscy je znają. Za dużo tam ludzi.

–To nie będzie miejsce wymiany. To tylko pierwszy etap. Bądź za czterdzieści pięć minut przy dużej sadzawce z rybami.

–Dobrze. Zdążę tam dojechać.

–Ktoś będzie obserwował sadzawkę. Lepiej bądź przy niej za czterdzieści pięć minut. Zaczekasz tam. Zadzwoń do ciebie i powiem, co dalej.

–Dobrze.

–Lepiej tam bądź.

–Będę.

–Bądź tam albo poderżnę gardło twojej matce.

Zabójca zakończył rozmowę i Tim schował komórkę do kieszeni.

Zaklinacz drzew uniósł ręce w stronę szybującego po niebie smoka, jakby bestia przybyła specjalnie po niego. I to, co ścigało Tima od tylu lat, również go dopadło.

Przykutą do poręczy lewą dłoń Mary ozdobiły pierścionek zaręczynowy i obrączka ślubna.

–Brylanty nie są zbyt imponujące, moja droga.

–Walter nie był bogaty, kiedy za niego wychodziłam.

Na palcu prawej ręki miała pierścionek z dużym fioletowym kamieniem, który otaczały mniejsze kamyki tego samego rodzaju.

–Co to za kamień? – zapytał.

–Opalit – odparła. – Jest rzadki.

–Nigdy o nim nie słyszałem. Zrobiła to narzeczona Tima?

–Tak. Robi biżuterię. Jest bardzo utalentowana.

–Jak się nazywa Michelle?

–Tim nie chciał ci tego powiedzieć.

–Ale zrobił to. Tylko sprawdzam. Mary zawahała się.

–Mógłbym zabrać ci ten pierścionek – oświadczył Krait – razem z palcem.

–Jefferson – odpowiedziała Mary.

–Kiedy będzie ślub?

–W sierpniu.

–Zdawało mi się, że kobiety chcą wychodzić za mąż w czerwcu.

–Większość chce. Dlatego wszystkie lokale, w których można urządzać przyjęcie, są w czerwcu zajęte. I musieliśmy wyprawić wesele w sierpniu.

–Bardzo lubisz Michelle, prawda?

–Kocham Michelle. Proszę, nie wciągaj jej w to.

–Nie zrobię tego, moja droga. Nie ma potrzeby angażować Michelle. Dobiłem chyba targu z Timem. Wciąż się nad tym zastanawiam. Chcesz wiedzieć, na czym polega?

–Nie – odparła, ale potem zmieniła zdanie. – Tak. Chcę. Zawibrowała komórka Kraita.

–Chwileczkę, Mary.

Siadając przy stole, zobaczył, że to wiadomość tekstowa od grupy wsparcia. CZY JESTEŚ W DOMU CARRIERA? POTWIERDŹ. DLACZEGO W MISJĘ ZAMIESZANA JEST RODZINA CARRIERA? DOMAGAMY SIĘ WYJAŚNIENI.

Tego rodzaju wtrącanie się w szczegóły misji zdumiało Kraita tak głęboko, że jeszcze raz przeczytał wiadomość. To była rzecz bez precedensu.

Zasada, by nie pytać za wiele, powinna być przestrzegana również przez grupę wsparcia. Jeżeli miał jeszcze w tej kwestii jakieś wątpliwości, otrzymana wiadomość definitywnie potwierdzała, że Paquette została wytypowana przez Klub Dżentelmenów.

Próba kwestionowania jego strategii i taktyki była niczym w porównaniu z tym, że go monitorują. Wiedzą, gdzie przebywa. Zaglądają mu przez ramię. To niedopuszczalne.

Niebieski samochód dostarczono mu najwyraźniej z satelitarnym transponderem. Kiedy zatrzymał się przed domem Carrier'a, żeby posłużyć się mikrofonem kierunkowym, grupa wsparcia rozpoznała adres, następnie zaś zauważyła, że zaparkował dwie przecznice dalej.

Kraitowi przychodziło do głowy tylko jedno wyjaśnienie tego oburzającego obrotu wypadków. Klub Dżentelmenów musiał dokooptować do grupy wsparcia jakiegoś ambitnego młodego gnojka, który próbuje wejść w cudze kompetencje.

Z opanowaniem i spokojem ducha, które sam w sobie podziwiał, Krait udzielił gnojce łaskawej odpowiedzi: MISJA DOBIEGA KOŃCA. RAPORT W CIĄGU KILKU GODZIN.

A potem, żeby przypomnieć im, iż mają do czynienia z kimś, kto intelektualnie stoi wyżej i nie musi konsultować swoich posunięć z bandą biurokratów, dołączył cztery linijki z Wallace'a Stevensa: „MASZ NIEBIESKĄ GITARĘ”, MÓWI-LI/”NIE GRASZ RZECZY TAKIMI, JAKIE SĄ”./”TO, JAKIE SĄ RZECZY”, ODPARŁ MĘŻCZYZNA/”ZMIENIA SIĘ POD STRUNAMI NIEBIESKIEJ GITARY”.

Po wysłaniu wiadomości zorientował się, że Mary wbija w niego wzrok.

–Co się stało? – zapytała.

–Nic, czym musiałabyś zaprzętać sobie swoją śliczną główkę.

–Umowa – przypomniała mu. – Zawarłeś z Timem umowę.

–Przybędzie na spotkanie rozebrany, żeby pokazać, że nie ma broni – odpowiedział, wstając z krzesła. – Kiedy się pojawi, odejdiesz do czekającego samochodu.

–Nie rozumiem – powiedziała skonsternowana.

–Kiedy zbliżysz się do samochodu, on ruszy w moją stronę i znajdzie się w zasięgu strzału. I kiedy ciebie będą odwozić w bezpieczne miejsce, zabiję go.

Na jej twarzy groza walczyła z rozpaczą.

–Ratuje w ten sposób twoje życie i daje dziwce szansę ucieczki. Czy to w stylu twojego syna? – zapytał Krait.

–Tak. – W jej oczach wezbrały łzy.

–Co z ciebie za matka, Mary? Wychowałaś syna, żeby za ciebie zginął. Co za porąbane zasady wbiłaś mu do głowy? Nadajesz nowy sens określeniu „dominująca matka”.

Zoey ciągnęła Pete'a w stronę południowego krańca parku, gdzie obaj, Pete i Tim, zostawili samochody.

–Michelle podarowała rodzicom żyrandol w kształcie

fruwających w kręgu miedzianych ptaków. Krąg jest pierś

cieniem. „Patrzę teraz na ten pierścień, skarbie, i dodaje mi

nadziei”, powiedziała. Nadal jest w domu – stwierdził Tim.

–To się może wkrótce zmienić – mruknął Pete.

Skręcili na trawnik, żeby zejść z drogi spacerowiczom i rolkarzom.

–Mogę tam dojechać w dwadzieścia minut – powiedział Tim. – Dwadzieścia pięć.

–A jeśli jej tam nie ma? – zatroskała się Linda.

–Jest.

–Może i jest. Ale jeżeli wywiezie ją, zanim tam dojedziesz, nie zdążymy dotrzeć do Fashion Island, żeby odebrać następny telefon.

–Fashion Island to kit. Zmyłka. Chce mnie czymś zaabsorbować i wytrącić z równowagi. W tamtym miejscu jest za dużo ludzi, żeby nadawało się na jakikolwiek pośredni etap. Nikt tam nie obserwuje sadzawki.

–Z moich kalkulacji wynika to samo – zgodził się Pete.

–A jeżeli obaj się mylicie? – wtrąciła się Linda.

–Nie zabije jej tylko dlatego, że spóźniłem się do Fashion Island. Jeśli to zrobi, nie będzie już miał żadnego środka nacisku.

–To chłodna kalkulacja – mruknęła Linda.

Tim rozpoznawał stan, w jakim się znalazł. Współtworzyły go, choć nie określały do końca, strach i wściekłość.

Strach urósł do poziomu kontrolowanego przerażenia, a wściekłość lepiej byłoby nazwać gniewem. Pierwszy zrodził w nim stalową determinację, drugi pragnienie wymierzenia kary, które, prawdę mówiąc, wynikało bardziej z potrzeby rewanżu niż

poczucia sprawiedliwości, lecz również z poczucia sprawiedliwości. Emocje o takiej intensywności powinny zakłócić jasność myślenia i osłabić go fizycznie, ale im mocniejsze i wyraźniejsze były przerażenie i wściekłość, tym bardziej rozjaśniało mu się w głowie i tym lepiej czuł, do czego jest zdolny.

Miał to we krwi, tę jasność myślenia w obliczu kryzysu i tę zaciekłość, i nie było w tym ani trochę jego zasługi ani winy.

Mountaineer był zaparkowany bliżej od hondy.

–Weźmiemy mój samochód – powiedział Pete, kiedy do niego dotarli.

–Jadę sam – oznajmił Tim.

–Daruj to sobie – odparła Linda, otwierając tylną klapę terenówki.

–To moja matka.

–Nie zaczynaj gadki o tym, co jest twoje, a co nie twoje, wielkogłowy. Ja nie mam matki. Wydaje mi się, że polubię twoją. Więc też się do niej przyznaję.

–Popatrz na to realnie – poprosił Tim, kiedy Zoey wskoczyła do terenówki. – Nie możesz ze mną jechać.

–Nie mam przecież zamiaru wchodzić do domu, na litość boską. W przeciwieństwie do ciebie nie wiedziałabym chyba, co tam robić. Ale nie zamierzam siedzieć w tym pieprzonym parku, martwiąc się, co się z tobą dzieje, i patrząc, jak ten stuknięty pijaczyna rozmawia z palmami.

–Ponieważ obaj wiemy, co robić w tym domu – wtrącił Pete – wejdziemy tam razem.

–Facet ma pistolet maszynowy. To będzie ostre zwarcie – ostrzegł Tim.

–Walka w zwarcu zawsze jest ostra, Bramkarzu.

–Tracimy tylko czas – powiedziała Linda, po czym zatrzasnęła tylną klapę i usiadła z tyłu.

–Chcesz prowadzić? – zapytał Pete, podając Timowi kluczyki.

–Znasz drogę – odparł Tim, siadając na miejscu pasażera i zatraskując za sobą drzwiczki.

Kiedy mountaineer ruszył z miejsca, poprosił Lindę o pistolet.

–Jakiś damski pistolecik? – mruknął z powątpiewaniem Pete.

–To porządna mała spluwa – zapewnił go Tim.

–Ma naprawdę nisko osadzoną lufę – odezwała się z tylnego siedzenia Linda – więc siła odrzutu jest niewielka. Załadowany jest półpłaszczowymi pociskami z wydrążonym wierzchołkiem. Powinny być skuteczne.

Tim nie musiał pytać, czy Pete jest uzbrojony. Wiedział, że nosi broń na służbie i poza nią.

–Nie chcę, żeby doszło do strzelaniny – powiedział. –

Nie w tych ciasnych pomieszczeniach, nie z moją matką, która może być wszędzie.

–Jeżeli uda nam się tam wejść bez jego wiedzy, możemy go załatwić jednym celnym strzałem w tył głowy – stwierdził Pete.

–To jedyny sposób. Ale mam nadzieję, że weźmiemy go żywcem. Musimy wiedzieć, kto go wynajął.

–Nie sądzicie, że to wszystko zaszło za daleko? – zapytała Linda. – Że powinniśmy wezwać policję, antyterrorystów czy kogoś w tym rodzaju?

–Nie – odpowiedzieli jednocześnie Tim i Pete.

–Najemny zabójca nie ma w swoich życiowych planach odsiadki – dodał Pete.

–Zwłaszcza ten facet – zaznaczył Tim. – To desperat. Wszystko albo nic. Jeżeli go osaczą, będzie się ostrzeliwał.

–Antyterrorysty mają swoje procedury, zaczynają od negocjacji, które mają doprowadzić do uwolnienia zakładników – tłumaczył Pete. – W takiej sytuacji Mary jest dla faceta wyłącznie obciążeniem. Wie, że nigdy nie pozwolą im wyjść razem. Mary będzie trupem, kiedy tylko facet usłyszy głos z megafonu. Najważniejsze dla niego to móc szybko się przemieszczać.

–Skoro mowa o szybkości – mruknął Tim – może byś tak wdepnął gaz.

Te płynące rzęsiście łzy były urocze. Uroczy był również szloch, który powstrzymywała i który można było poznać wyłącznie po zachłystywaniu się i drżeniu ramion.

Krait schował Glocka do kabury i położył na kuchennym blacie brezentową torbę, gumową rurkę, strzykawkę oraz miskę z jabłkami. Nie zostawił na stole nic, co znajdowałoby się w zasięgu prawej ręki Mary.

Stojąc przy jej krześle, patrzył, jak ociera mokre policzki.

–Łzy upiększają kobietę – stwierdził.

Była chyba na siebie zła, że płacze. Zaciśnęła mokrą dłoń w pięść i przycisnęła do skroni, jakby mogła stłumić rozpacz aktem woli.

–Lubię smak łez, kiedy całuję kobietę.

Jej usta drżały z bólu.

–Chciałbym cię pocałować, Mary.

Odwróciła od niego twarz.

–Zdziwiłabyś się, ale mogłoby ci się to spodobać.

W odruchu wściekłości spojrzała mu w twarz.

–Spodobałoby ci się, gdybym odgryzła ci wargę.

W odpowiedzi na coś takiego człowiek mniejszego formatu mógłby ją uderzyć. Ale Krait po prostu na nią spojrzał. Po chwili nawet się uśmiechnął.

–Mam do załatwienia pewną drobną sprawę, Mary. Ale

będę w pobliżu, w drugim pokoju. Więc jeśli zaczniesz wzywać pomocy, nie usłyszysz cię nikt poza mną i będę musiał wcisnąć ci

w usta szmatę i zakleić je taśmą. Nie chcesz tego, prawda?

Mordercze intencje osuszyły łzy w jej oczach.

–Nieżyły z ciebie agregat, moja droga.

Myślał, że na niego splunie, ale nie zrobiła tego.

–Wychować syna, żeby dla ciebie zginął. – Krait po

kręcił głową. – Ciekawe, jakiego pokroju facetem jest twój

mąż.

Mary spojrzała na niego, jakby miała na końcu języka druzgoczącą odpowiedź. Liczył, że ją usłyszy, lecz ona postanowiła milczeć.

–Zaraz wrócę, żeby utulić cię do snu w fordzie. Siedź

spokojnie i powtarzaj sobie, jak to dobrze, że nie skazałaś na

śmierć siebie, Zachary'ego i całej rodziny.

Krait wyszedł z kuchni i zatrzymał się w holu, nasłuchując.

Mary nie wydawała żadnego dźwięku. Oczekiwał, że zabręczą krępujące ją kajdanki, lecz ona siedziała cicho.

W salonie zdjął ze ściany olejny obraz przedstawiający biegające po plaży szczęśliwe dzieci, położył go na podłodze, po czym wyjął z kieszeni sprężynowy nóż, wykroił płótno z ramy i pociął obraz na paski.

Zastanawiał się, czy nie wyjąć również z ramek wszystkich stojących na półkach fotografii Tima. Ponieważ jednak miał wkrótce zabić prawdziwego Tima, doszedł do wniosku, że ostatnie minuty w domu Carrierów spędzi przyjemniej w innym miejscu.

Pete Santo nie zwolnił, przejeżdżając obok domu Carrierów.

Nic nie wydawało się odbiegać od normy z wyjątkiem zasuniętych zasłon w oknach na parterze. Matka Tima nigdy tego nie robiła.

–Zaparkuj tutaj – powiedział Tim przy końcu przecznicy.

Pete zatrzymał się za drzewami, które zasłaniały go od strony domu, po czym opuścił tylne szyby i wyłączył silnik. W czasie jazdy Zoey przeszła na tylne siedzenie do Lindy i leżała teraz z głową na kolanach swojej nowej pani.

–Kiedy będę wiedziała, że coś poszło nie tak? – zapytała Linda.

–Kiedy usłyszysz dużo strzałów – odparł Tim.

–Ale po jakim czasie?

–Jeżeli nie załatwimy go w ciągu dziesięciu minut, to znaczy, że poszło źle – sprecyzował, odwracając się do niej twarzą.

–Po piętnastu minutach odjedź stąd – dodał Pete.

–Mam was zostawić? Nie mogę tego zrobić.

–Zrób to – odparł z naciskiem Tim. – Zaczekaj piętnaście minut i zrób to.

–Ale... dokąd mam jechać?

Zdał sobie sprawę, że Linda rzeczywiście nie ma dokąd jechać.

–Weź to – powiedział, podając jej komórkę na kartę. –

Wyjedź z tego osiedla i gdzieś zaparkuj. Jeżeli któryś z nas nie

zadzwoeni do ciebie za godzinę albo dwie, obaj zginęliśmy.

Linda przytrzymała go mocno za rękę, zanim wzięła telefon. Pete wysiadł i zamknął za sobą drzwiczki.

–Masz tę całą gotówkę – powiedział Tim. – Możesz zdecydować, czy wrócić do domu po te złote monety. Ja bym tego nie robił, ale decyzja należy do ciebie. To, co masz, pozwoli ci zacząć nowe życie, z nowym nazwiskiem.

–Strasznie cię przepraszam, Tim.

–Nie masz mnie za co przepraszać. Gdybym wiedział, co mnie czeka, i tak postąpiłbym tak samo.

Tim wysiadł z mountaineera, zatrzasnął drzwiczki i sprawdził, czy zatknięty za pasek pistolet jest dobrze zasłonięty hawajską koszulą.

Jej twarz była w otwartym oknie. W całym swoim życiu nie widział lepszej twarzy.

Razem z Pete'em nie zamierzali wchodzić przez drzwi frontowe. Posesje w tej okolicy przylegały do siebie od tyłu, nieprzedzielone alejkami. Musieli podejść równoległą ulicą i dostać się do domu od podwórka sąsiadów.

Idąc w kierunku najbliższego skrzyżowania, Tim chciał obejrzeć się przez ramię i zerknąć na nią po raz ostatni, chciał tego bardziej, niż potrafił znieść, ale musiał skupić się na tym, co czekało go teraz, co było w tym momencie najważniejsze.

Skręcając w ślad za Pete'em na rogu, omal nie wpadł na staruszkę w spodniach podciągniętych tak wysoko, że gdyby trzymał zegarek w górnej kieszonce, łaskotałyby go w pierś tykające sekundy.

–Tim! Niech mnie kule biją, jeśli to nie jest nasz Tim!

–Cześć, Mickey. Co za spotkanie.

Mickey McCready, dobiegający osiemdziesiątki, o czym świadczyły siwe kępkę wyrastających z uszu szpeceniastych włosów, mieszkał naprzeciwko rodziców Tima. Podciągnięte wysoko spodnie były w kolorze jasnożółtym, koszula w jaskrawoczerwonym.

–To mój ubiór spacerowy – wyjaśnił. – Nie mam zamiaru dać się przejechać na przejściu dla pieszych. Co słyhać, Tim? Co w pracy? Masz już jakąś dziewczynę od serca?

–Mam, Mickey. Naprawdę wyjątkową.

–Niech jej Bóg błogosławi. Jak ma na imię?

–Muszę lecieć, Mickey. Mam pilne spotkanie. Będziesz w domu?

–A gdzie mam być?

–Wpadnę do ciebie trochę później, dobrze?

–Chcę się czegoś dowiedzieć o tej szczęściarce.

–Wpadnę do ciebie – obiecał Tim.

Mickey złapał go za ramię.

–Słuchaj, przegrałem swoje wideo na DVD. Zrobiłem o tobie całą płytę od czasów, kiedy byłeś małym brzdącem.

–To wspaniale, Mickey. Muszę iść. Wpadnę do ciebie.

Tim oswobodził rękę i dogonił Pete'a.

–Gdzie on kupuje koszule, które mają tylko osiem cali długości? – zapytał Pete.

–To miły staruszek. Ulubiony przyszywany wujek wszystkich w okolicy.

Na następnym rogu skręcili w prawo, w ulicę biegnącą równolegle do ulicy jego rodziców.

Przy alejce prowadzącej do szóstego domu stała tabliczka z nazwiskiem: SAPERSTEINOWIE i namalowanymi dwoma misiami w fartuszkach, na których widniały imiona: NORMAN i JUDY.

–Oboje powinni być w pracy. Dzieci są dorosłe. W domu

nikogo nie ma – powiedział Tim, prowadząc Pete'a na tylne

podwórko Sapersteinów.

Cętki światła marszczyły wodę w basenie. Wygrzewający się na ceglany patio kot spłoszył się i zniknął w krzakach.

Posesja kończyła się sześciostopowym murem prawie w całości schowanym pod pędami bignonii.

–Czy mówiłem ci już kiedyś, Bramkarzu, że jesteś najbrzydszym facetem, jakiego w życiu spotkałem? – zapytał Pete.

–A ja mówiłem ci, że jesteś najgłupszym?

–Jesteśmy gotowi?

–Czekając, aż będziemy gotowi, zestarzejemy się tak samo jak Mickey.

Pędy bignonii były dojrzałe i grube i tak mocno oplatały otynkowane betonowe płyty, że można się było po nich wspiąć jak po drabinie. Tim wdrapał się po nich,

wystawił głowę nad mur i spojrzął na ogródek rodziców.

W drzwiach i oknach kuchni żaluzje były opuszczone, drzwi do jadalni zasłonięte, a wszystkie okna na górze odsłonięte. W żadnym nie zobaczył nikogo, kto obserwowałby podwórko.

Kontrolowane przerażenie, ukierunkowana wściekłość, ten szum w uszach, który słyszał, ale który nie tłumił innych dźwięków, wszystko to mówiło mu, że nadszedł odpowiedni moment.

Wdrapał się po murze, strącając za sobą kaskadę fioletowych kwiatów, i zeskoczył na trawnik. Pete zrobił to samo po jego prawej stronie.

Tim wyciągnął zza paska pistolet i podbiegł do ściany przy drzwiach kuchennych.

Pete ze służbowym pistoletem stanął po drugiej stronie drzwi i spojrzeli na siebie, nasłuchując. W domu panowała cisza, ale to nic nie znaczyło. Myśliwi siedzą cicho w zasadzce, w kostnicy też panuje cisza.

Tim wyjął z kieszeni spodni małe kółko, na którym trzymał klucz do swojego mieszkania i klucz do skrzynki z narzędziami w pickupie. Miał tam również klucz do domu rodziców, do którego zawsze zaglądał, kiedy ich nie było.

Zaskrzypiał mosiężny rygiel w rowku. Jego tato zawsze porządnie oliwił wszystkie zamki i zasuwa firmy Schlage cofnęła się z cichym trzaskiem.

W tym momencie można było oberwać przez drzwi kulką albo całą serią. Drzwi nigdy nie są łatwe, ale Tim potrafił je wyczuć, potrafił na ogół odróżnić bezpieczne od wątpliwych, rozpoznawał te, za którymi czeka go takie czy inne piekło.

Te akurat trudno mu było rozpoznać, być może dlatego, że nie było to zwykłe włamanie: w środku była jego matka, jego matka i facet o głodnych oczach, więc miał jeszcze mniejszy margines błędu niż zazwyczaj.

Z bijącym trochę mocniej sercem, suchymi i pewnymi, bardzo pewnymi dłońmi, oddychając w dalszym ciągu powoli i głęboko, znajdował się w punkcie, kiedy trzeba się zdecydować. Dalsza zwłoka była złym rozwiązaniem, więc pchnął drzwi do środka.

Pochylony nisko wskoczył do domu, trzymając broń oburącz, żałując, że pistolet nie jest większy, lepiej dopasowany do jego dłoni. W kuchni nikt na niego nie czekał.

Omiatając lufą wewnątrz od lewej do prawej, z kuchni do pokoju rodzinnego, spostrzegł na kuchennej wyspie strzykawkę i coś, co wyglądało jak pocisk usypiający, a potem zobaczył nad muszką pistoletu swoją matkę, która siedziała przy

stole, po prostu siedziała przy stole, w miedzianym świetle żyrandola z krążącymi wokół ptakami. Nagle podniosła głowę, dopiero teraz uświadamiając sobie, że ktoś wszedł, spojrzała na niego i cóż to było za spojrzenie...

Zakładając, że najprawdopodobniej przyszedł na ten świat, wylaniając się z lustra, Krait zastanawiał się, czy pewnego dnia nie wróci do swojej ojczyzny przez inny podobny portal.

Stojąc w głównej sypialni, przeglądał się w lustrze zamontowanym po wewnętrznej stronie otwartych drzwi szafy. Położył prawą rękę na swoim odbiciu, spodziewając się niemal, że powierzchnia lustra zadrży i ustąpi, nie stawiając większego oporu niż tafla wody.

Szkło pod jego dłonią było chłodne i twarde.

Krait podniósł lewą rękę i przycisnął ją do wyciągniętej ręki drugiego Kraita, który nie odrywał od niego wzroku.

Być może w odwróconym lustrzanym świecie czas biegł do tyłu. Zamiast się starzeć, mógł cofać się w czasie, aż do osiemnastego roku życia, od którego zaczynały się jego wspomnienia. A potem, zstępując dalej w swoją młodość, dowie się, skąd pochodzi i z czego się zrodził.

Patrząc sobie prosto w oczy, zaglądał w mroczne wnętrze i podobało mu się to, co widzi.

Zdawało mu się, że naciska lustro bardzo lekko, lecz nagle tafla pękła na całej długości, nie wypadając jednak z ramy.

Dwie połówki jego odbicia były teraz nieco przesunięte, jedno oko odrobinę wyżej od drugiego, nos zdeformowany. Usta wykrzywiły się, jakby ktoś go uderzył.

Ten drugi Krait, pęknięty Krait, zdenerwował go. Rozbity, niedoskonały Krait. Nieznany Krait, którego uśmiech przestał być uśmiechem.

Odsunął ręce od lustra i szybko zamknął drugiego Kraita w szafie.

Poirytowany, choć sam nie wiedział dlaczego, opanował wzburzenie, otwierając szuflady komody i sprawdzając ich zawartość, dowiadując się wszystkiego, czego mógł, o swoich gospodarzach, szukając sekretów, które mogłyby go oświecić.

Drzwi między kuchnią i holem były otwarte. Pete ubezpieczał je.

Tim przystawił palec do ust na znak, że powinni zachowywać się cicho, i przyklęknął przy matce.

–Gdzie on jest? – zapytał szeptem.

Matka pokręciła głową. Nie wiedziała.

Kiedy przysunęła prawą rękę do jego twarzy, pocałował ją.

Krzesełko było przymocowane kajdankami do stołu. Na ich zsunięcie nie pozwalała poprzeczna listwa między nogami krzesła oraz toczona kula, którą zakończona była na dole noga stołu.

Jej lewa ręka przykuta była kajdankami do poręczy.

Kajdanki miały podwójny zamek. Tim mógł je otworzyć zgiętym spinaczem lub czymś podobnym, ale wymagało to czasu, którego nie miał.

Siedzisko krzesła połączone było z poręczą kilkoma sosnowymi kołkami. Skrajny przedni kołek był grubszy od innych, ale tylko on blokował obręcz kajdanek na poręczy.

Pozostawienie niestrzeżonych drzwi nie było chyba najlepszym wyjściem, lecz Tim nie miał innego wyjścia. Syknął na Pete'a i pokazał, że potrzebuje pomocy.

Obaj musieli na chwilę odłożyć pistolety.

Tim nie chciał, żeby zaskrzypiały wleczone po drewnianej podłodze nogi krzesła.

Pete położył jedną rękę na prawej poręczy, drugą na zaokrąglonym oparciu i oparł się o nie całym ciężarem ciała.

Tim docisnął lewą poręcz i pociągnął jednocześnie, najmocniej jak mógł, gruby pionowy kołek, który wchodził w otwory wywiercone w siedzeniu i pod poręczą. Spojenia były teoretycznie najsłabszymi punktami; ciągnąc do przodu kołek, powinien wyłamać go z otworów, w które został wsunięty.

Prawa ręka spuchła mu z wysiłku i czuł, jak napinają się ścięgna w jego karku. Krew pulsowała mu w skroniach.

Rodzice kupili ten komplet mebli co najmniej przed trzydziestu laty, w epoce, która zupełnie nie przypominała tej dzisiejszej. Meble produkowano wtedy w takich miejscach jak Karolina Północna i robiono to tak, żeby przetrwały swoich właścicieli.

Niebezpieczeństwo grożące od strony niestrzeżonego holu było niemal namacalne, ale musiał o nim zapomnieć i skupić całą uwagę na krześle, na tym cholernym, zbyt dobrze zrobionym krześle.

Pot wystąpił mu na czoło. Kołek wyskoczył z otworu poręczy z nieuniknionym

trzaskiem, który można było usłyszeć w sąsiednim pomieszczeniu, ale chyba nie dalej.

Pete zabrał ze stołu swoją służbową broń i ponownie stanął przy drzwiach.

Tim wziął do ręki pistolet, objął matkę i zerknął na Pete'a. Kiedy ten pokiwał głową na znak, że droga wolna, poprowadził ją przez kuchnię do tylnych drzwi.

Na zewnątrz ruszył z nią szybko w jasnym słońcu do alejki biegnącej wzdłuż północnej ściany domu.

–Na ulicę, skręć w prawo... – szepnął.

–Ale ty...

–Do terenówki Pete'a, niedaleko rogu...

–...nie jesteś...

–W środku jest kobieta i pies, zaczekaj z nimi.

–A policja...?

–Jesteśmy tylko my.

–Tim...

–Idź – szepnął z naciskiem.

Inna matka mogłaby się spierać albo nie chciałaby go puścić, ale ona była jego matką. Spojrzała na niego z miłością i pobiegła w stronę ulicy.

Tim wrócił do kuchni. Pete nadal obserwował hol. Widząc Tima, pokręcił głową. Trzask wyłamanego kołka nie zdradził ich.

Tim zostawił za sobą otwarte drzwi wejściowe. Gdyby sytuacja nie ułożyła się po jego myśli, lepiej mieć możliwość szybkiego wyjścia.

Po lewej stronie holu, patrząc od strony kuchni, była jadalnia, szafa i schody. Po prawej ubikacja, mały gabinet i salon.

Pete odwiedził ten dom wiele razy, odkąd dojrzeli obaj szybko w wieku osiemnastu lat i odkąd wrócili do domu w wieku dwudziestu trzech. Znał jego rozkład prawie tak samo dobrze jak Tim.

Przez chwilę stali, słuchając ciszy, w której czaiła się groza i ślepy los, a potem

zrobili razem to, co robili często już wcześniej, chociaż nie ostatnio: ruszyli bezszelestnie w głąb domu, otwierając kolejne drzwi i sprawdzając kolejne pomieszczenia, z krwią pulsującą w skroniach, włosami zjeżonymi na karku i umysłami klarownymi niczym destylowany spirytus.

Nie znalazłszy niczego ciekawego w szufladach toaletki, Krait podszedł do wysokiej komody, po której wiele sobie obiecywał. Mijając okno, zobaczył na trawniku Mary.

Matka Carrieri dobiegła do chodnika, skręciła w prawo i zniknęła z pola widzenia za rosnącymi przy ulicy drzewami. Na jej lewym przegubie wisiały kajdanki.

Bez względu na to, jak się uwolniła, nie mogła tego zrobić bez pomocy z zewnątrz. Fakt, że nikt nie biegł przy jej boku, wskazał Kraitowi tożsamość jej wybawcy. Tim wrócił do domu.

Pytania „Jak?” i „dlaczego?” mogły zaczekać. To nie była pora na stawianie pytań, lecz na ostateczne rozwiązanie problemu murarza.

Wyciągając Glocka z kabury pod pachą, Krait przebiegł szybko przez sypialnię, stanął przy otwartych drzwiach i wyslizgnął się na korytarz.

Gdyby Tim wspiął się wcześniej na piętro, odnalazłby już Kraita, być może nawet strzelił do niego, kiedy ten odwracał się od okna po dostrzeżeniu Mary.

Krait widział górną połowę schodów aż do podestu. Niższa część pozostawała poza zasięgiem jego wzroku.

Celując w podest, czekał, aż pojawi się nad nim głowa, która odwróci się w jego stronę i którą przeszyje serią pocisków.

Na dole wzbierało to szczególne milczenie, które przejmując drżeniem, sprawia, że na czole pojawia się pot i zapowiada błyskawicę.

Krait uznał, że Tim nie wejdzie na górę bez zastosowania sprawdzonej strategii i taktyki. Murarz wiedział, jak niebezpieczne są schody.

Stojąc u ich szczytu, zajmując pozycję, która powinna zapewniać mu przewagę, Krait też czuł się odsłonięty. Cofnął się do miejsca, skąd nie widział schodów i gdzie jego również nie można było zobaczyć.

Zerknął w głąb korytarza. Poza drzwiami do głównej sypialni zobaczył pięcioro innych. Jedne musiały prowadzić do łazienki. Drugie do garderoby. Oprócz głównej na piętrze były najwyżej trzy inne sypialnie.

Choć na ogół nigdy się nie wahał, tym razem stał przez chwilę, nie mogąc podjąć decyzji.

Milczenie wzbierało niczym powódź, ale było to tylko milczenie, nie bezruch,

ponieważ gdzieś tam skradał się drapieżca, z jakim nie miał jeszcze nigdy do czynienia.

Na dole Tim i Pete szli jeden prawą, drugi lewą stroną korytarza i otwierali wysuniętymi stopami uchylone drzwi, nie wchodząc sobie wzajemnie na linię ognia i zaglądając do kolejnych pomieszczeń. Sprawdzili w ten sposób jadalnię i salon i dotarli do schodów. Gdyby zabójca był przekonany, że ma cały dom dla siebie, nie zachowywałby się tak cicho. Nawet gdyby sam grał ze sobą w szachy, co jakiś czas stuknęłoby odstawiony z szachownicy pionek, gdyby stawiał pasjansa, zaszeleściłaby kładziona karta.

Przy wchodzeniu po schodach mieli do wyboru kilka taktyk, generalnie jednak mogliby być lepiej uzbrojeni. Choć w przeszłości sforsowali wiele schodów, te akurat nie zachęcały do ataku. Przypominały Timowi cały szereg niebezpiecznych drzwi.

Na migi pokazał Pete'owi prosty plan akcji. Ten kiwnięciem głowy potwierdził, że rozumie. Zostawiwszy go przy schodach, Tim ruszył z powrotem w głąb domu, tam, skąd przed chwilą przyszli.

W głównej sypialni Krait przekręcił klamkę okna, przez które widział uciekającą Mary. Podniósł dolną ramę, która zaskrzypiała cicho na nasmarowanych prowadnicach.

Przechodząc przez parapet, spodziewał się serii pocisków w plecy. Stanąwszy na dachu werandy, przesunął się natychmiast w bok, poza prześwit okna.

Ulicą przejeżdżały akurat dwa samochody, ale kierowcy nie zauważyli mężczyzny z pistoletem na dachu werandy Carrierów.

Krait podszedł do skraju dachu, spojrzął w dół i zeskoczył na trawnik obok kępy krzaków.

W salonie Pete złapał ozdobną poduszkę z sofy oraz większą poduchę z fotela i wrócił z nimi pod schody. Zerkając w głąb korytarza, zobaczył, że Tim zniknął już za otwartymi tylnymi drzwiami.

Schody wyłożone były miękkim chodnikiem. Zastanawiał się, jak głośno skrzypią stopnie.

Z piętra nadal nie dobiegały żadne dźwięki. Może facet był tak pewny siebie, że uciał sobie drzemkę? Może zmarł na zawał serca, którego dostał w najodpowiedniejszym w dziejach świata momencie.

Trzymając pistolet w prawej ręce, poduchę z fotela pod lewą pachą i mniejszą poduszkę w lewej dłoni, Pete stanął na pierwszym schodku, który nie zaskrzypiał,

podobnie zresztą jak drugi.

Tylną werandę zamykała od południa kratka, którą Tim zrobił dawno temu z poziomych czterocalowych i pionowych dwucalowych kantówek. Jego matka nie tolerowała fuszerki.

Pnące się po kratce pędy herbacianych róż nie były o tak wczesnej porze roku zbyt bujne, ale sterczało z nich tyle kolców, że cieszył się, iż ma na dłoniach odciski.

Poziome kantówki z łatwością utrzymały jego ciężar. Pionowe również, mimo że jak na jego gust skrzypiały trochę zbyt głośno.

Wdrapawszy się na dach, wyjął zza paska pistolet i podszedł do najbliższego okna. Mieściła się za nim jego dawna sypialnia, z której nadal korzystał, kiedy przyjeżdżał na święta albo doglądał domu.

Pokój wydawał się pusty.

Jako dziecko spędzał na dachu tej werandy wiele wieczorów, leżąc na plecach i wpatrując się w gwiazdy. Entuzjasta świeżego powietrza nigdy nie zamykał okna w swojej sypialni i mniej więcej przed piętnastu laty zasuwka skorodowała w otwartej pozycji.

Kiedy nocował ostatnio u rodziców, zasuwki nadal nikt nie wymienił, oczekiwał więc oczywiście, że w kluczowym momencie okaże się naprawiona. Lecz tato szanował tradycję i nie zamknięta rama okna bez trudu podjechała w górę.

Niczym włamywacz wślizgnął się do swojej sypialni. Podłoga skrzypiała tu w kilku miejscach, ale Tim dobrze je znał i idąc ku uchylonym drzwiom na korytarz, zdołał je szczęśliwie ominąć.

Przez chwilę nasłuchiwał, po czym nie słysząc żadnych dźwięków, pociągnął drzwi do środka i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Spodziewał się zobaczyć zabójcę w pobliżu schodów, ale korytarz był pusty.

Pete zatrzymał się w połowie schodów i kiedy doszedł do wniosku, że Tim musiał już wejść na piętro, cisnął poduszkę na podest.

Nerwowy strzelec powinien ostrzelać każdy poruszający się przedmiot, ale z poduszki nie posypało się pierze.

Pete policzył do pięciu i rzucił w górę znacznie większą poduchę. Nerwowy strzelec, panujący nad sobą w wystarczającym stopniu, by nie strzelić do małej poduszki, mógł oczekiwać, że w ślad za fałszywym celem w polu widzenia pojawi się większy atakujący cel. Cisza. Może ten facet nie był nerwowy.

Tim penetrował piętro, sprawdzając kolejne sypialnie, łazienkę oraz szafę, ale nie znalazł tam nikogo.

Zbliżając się do głównej sypialni, usłyszał, jak na podeście ląduje z głuchym łomotem poducha fotela. Złapał poduszkę z krzesła w korytarzu i rzucił ją w dół schodów.

Pete współpracował z Timem wystarczająco długo, by wiedzieć, co oznacza powracająca poduszka. Wbiegając szybko, cicho i czujnie po schodach, trzymał w wyciągniętej ręce pistolet. Z tyłu oświeślały go złote promienie słońca wpadające przez wysokie okrągłe okno.

Tim wskazał głową główną sypialnię i stanęli po obu stronach uchylonych drzwi – Pete przy zawiasach, Tim przy klamce. Teraz miało się wszystko rozegrać. Facet musiał tam być. znajdowali się w strefie śmierci.

Drzwi pchnięte mocno na oścież, szybko do środka. Tim na prawo, Pete na lewo, broń omiata pokój, nikogo po drugiej stronie łóżka.

Okno otwarte, zasłony wiszące w nieruchomym powietrzu, niedobrze, okno otwarte, niedobrze, być może facet znalazł się przy oknie w złym momencie, kiedy Mary szła przez trawnik.

A może to podstęp. Podchodząc do okna, będą odwrócenii plecami do drzwi łazienki, teraz uchylonych, i drzwi szafy, teraz zamkniętych.

Tim chciał podejść do okna, wiedział, że powinien przez nie wyjrzeć, ale człowiek nie trzyma się zasad bez powodu, bo trzymając się zasad, częściej przeżywa, niż zginie.

Jeżeli faceta nie ma w domu, jeżeli ją ściga, liczy się każda sekunda, ale w sypialni były drzwi, więc drzwi mają pierwszeństwo.

Pete zajął się szafą. Stanął obok, złapał za klamkę, otworzył je szeroko, ale ze środka nie posypały się kule. W suficie szafy był właz na strych. Zamknięty tak jak powinien. Zresztą facet nie schroniłby się na strychu.

Tim kopnął drzwi do łazienki i wpadł do środka. Do niewielkiego pomieszczenia wpadało przez zasłonięte okno dość światła, by stwierdzić, że nikogo tam nie ma.

Z bijącym szybko sercem wrócił do sypialni. W ustach czuł metaliczny posmak, być może posmak klęski.

–Pobiegł za mamą. Znajdzie ją i Lindę – powiedział do Pete'a.

Po dachu werandy i po trawniku było szybciej niż po schodach

i ruszyli obaj w stronę otwartego okna, gdy nagle Tim zauważył kątem oka jakiś ruch i odwrócił się.

Na podłodze korytarza widać było wydłużoną owalną plamę światła padającego przez wysokie okrągłe okno. Nagle pojawił się na nim cień, skręcony cień widzianego we śnie demona.

A więc nie ścigał mamy ani Lindy, lecz okrążył dom, wszedł z powrotem przez kuchenne drzwi do środka, wbiegł po schodach i właśnie się zbliżał.

Otwarte drzwi, pistolet maszynowy, zaraz zasypie ich kulami. Nie było za czym się schować, skosi ich jak zboże, nawet jeżeli go trafią.

Tim puścił pistolet i złapał wysoką komodę. Sam nie wiedział, skąd znalazł w sobie tyle siły. Był dużym mężczyzną, ale komoda też nie była mała, załadowana od góry do dołu swetrami, kocami i Bóg wie czym jeszcze. Mimo to podniósł ją z podłogi, odsunął od ściany, pchnął w stronę drzwi i w tej samej chwili drewno przeszyły kule, rozrywając je i dziurawiąc. Jeden pocisk przeszedł przez całą szufladę, przez rzeczy w środku i przebił tylną listwę dwa cale od jego twarzy. Drzazga wbiła mu się w policzek.

Pete na podłodze, może oberwał, nie, nie oberwał, strzelał pod komodą stojącą na sześciocalowych nóżkach. Piekielny kąt strzału, na nic zdadzą się najlepsze umiejętności, chodzi tylko o to, żeby się ostrzeliwać, ale czasami ma się po prostu szczęście, podobnie jak ma się pecha, i nagle usłyszeli, że facet na korytarzu krzyczy z bólu.

Pistolet z tłumikiem robił mało hałasu, lecz kule rozrywały drewno, dziurawiły ściany, rozbijały lampy. To wszystko teraz ucichło i słychać było tylko krzyk, który przeszedł w piskliwy jęk.

Być może krzyk również był podstępem, może facet ładował właśnie nowy magazynek, ale kiedy nie można postępować w zgodzie z regulaminem, bo dana sytuacja nie została w nim uwzględniona, wtedy trzeba słuchać intuicji. Tim podniósł z podłogi pistolet, wychylił głowę zza komody i nie widząc nikogo w otwartych drzwiach, wyskoczył na korytarz.

Zapach prochu w powietrzu, łuski na podłodze, ślady krwi na dywanie.

Trafiony w lewą nogę rekin z tawerny cofnął się ku schodom. Nadal stał, ale opierał się o słupek balustrady. Rozległ się trzask wsuwanego magazynka. Oczy przypominające czarne dziury odnalazły Tima i mimo cichego jęku na ustach mordercy pojawił się uśmiech.

Tim oddał dwa strzały, jeden z nich trafił zabójcę w lewe ramię, lecz prawa ręka nadal była sprawna, lufa pistoletu maszynowego uniosła się w górę, chybotwała się, ale była równie głęboka jak rozszerzone źrenice głodnych oczu. Chcąc wziąć faceta żywcem, Tim ruszył ku niemu szybko, ponieważ trzeba atakować to, przed czym boimy się uciec. Lufa skoczyła w górę, seria pocisków przeleciała koło jego głowy i poczuł piekący ból.

Druga seria chybiła celu, ponieważ rekin potrzebował obu rąk, żeby dobrze wycelować, a Tim zdążył go już dopaść i wyrwać pistolet z dłoni. Gorąca lufa sparzyła jego zgrubiałe dłonie, a zabójca spadł ze schodów i wylądował na plecach na podeście, między poduszkami, żywy, lecz niekwalifikujący się raczej do przebiegnięcia maratonu.

Tim dotknął prawej strony głowy, gdzie pulsował ból, i odkrył, że ma krew na palcach. Musiał oberwać w ucho. Słyszał, ale krew wpływała mu do kanału usznego.

Chciał poznać nazwisko faceta z fruującym na spadochronie psem o imieniu Larry, faceta, który zapłacił za zamordowanie Lindy. Zszedł po schodach, przykucnął przy leżącym i wyciągnął rękę, mając zamiar złapać zabójcę za włosy i podnieść jego głowę z podłogi.

Błysnęło ostrze sprężynowego noża i nagle poczuł ból w otwartej dłoni. Rekin wstawał, opierając ciężar ciała na zdrowej nodze, nie zamierzał się poddawać, więc Tim strzelił mu dwa razy z bliskiej odległości w szyję i na tym się to skończyło.

Krait spadał w przyćmionym żółtym świetle w nieskończony labirynt luster. Dziwne postaci przesuwały się w niezliczonych srebrnych taflach, rozpoznając go, zbliżając się i krążąc z jednej szyby na drugą. Wytężał wzrok, żeby im się lepiej przyjrzeć, ale im bardziej pragnął je zobaczyć, tym szybciej przygasało światło, aż w końcu legł w namacalnym mroku, w pustkowiu luster.

Ostrze noża musnęło tylko lewą dłoń Tima, kalecząc skórę, ale nie wnikając głębiej. Bardziej ucierpiało prawe ucho.

–Brakuje ci kawałka – stwierdził Pete.

–Dużego?

–Niezbyt dużego. Głowa nie będzie ci się przechylała na bok, ale musisz z tym pójść do lekarza.

–Później. – Tim usiadł na podłodze korytarza, opierając się plecami o ścianę. – Nie można stracić dużo krwi z urwanego ucha.

Wyrzebał z kieszeni komórkę i wystukał numer telefonu, który zostawił Lindzie.

Przystawił słuchawkę do rannego ucha, skrzywił się i przycisnął go do lewego.

–My żyjemy, on nie – powiedział, kiedy odebrała. Usłyszał głośne westchnienie ulgi.

–Nigdy nawet cię nie pocałowałam.

–Możesz to zrobić, jeśli masz ochotę.

–Tim, oni chcą, żebyśmy wysiadły z samochodu. Twoja mama i ja zasunęliśmy szyby i zablokowałyśmy drzwiczki, ale próbują nas stąd wykurzyć.

–Kto próbuje, co? – zapytał skonsternowany.

–Przyjechali tak szybko i zamknęli całą ulicę, kiedy tylko usłyszałyśmy strzały. Wyrzyj przez okno.

–Poczekaj. – Tim wstał z podłogi. – Mamy towarzystwo – powiedział do Pete'a.

Podeszli do otwartego okna w głównej sypialni. Na ulicy stało mnóstwo czarnych terenówek z dużymi białymi literami FBI na dachach i przednich drzwiczkach.

Uzbrojeni mężczyźni zajmowali pozycje za pojazdami i w innych osłoniętych miejscach.

–Przetrzymajcie ich jeszcze przez dwie minuty – powiedział Tim do Lindy – a potem powiedzcie, że jest już po wszystkim i że do nich wyjdziemy.

–Co jest grane, do diabła? – mruknął Pete.

–Nie wiem – odparł Tim, rozłączając się.

–Jak ci się to podoba?

–Średnio.

Tim odsunął się od okna i wystukał numer biura numerów. Kiedy odezwała się telefonistka, poprosił o numer Michaela McCready'ego. Telefonistka zaproponowała, że za dodatkową opłatą automatycznie go z nim połączy i nie był to odpowiedni moment na robienie oszczędności.

–Hej, Mickey, będę musiał przełożyć na później nasze spotkanie – powiedział Tim, kiedy staruszek odebrał telefon.

–Niech mnie wszyscy diabli, Tim, co się tutaj dzieje?

–Filmujesz to?

–To lepsze niż którekolwiek z twoich przyjęć urodzinowych, Tim.

–Posłuchaj, Mickey, nie pozwól, żeby zobaczyli cię

z kamerą. Filmuj ze środka domu. Użyj zoomu, spróbuj

zarejestrować na zbliżeniu jak najwięcej twarzy, najwyraźniej

jak się da.

Mickey przez chwilę milczał.

–Czy to banda sukinsynów, Tim? – zapytał w końcu.

–Całkiem możliwe.

Facet oznajmił, że nazywa się Steve Wentworth, co mogło rzeczywiście być jego nazwiskiem bądź też jednym z jego nazwisk.

Na legitymacji ze zdjęciem i holograficznymi detalami widniał napis: „Federalne Biuro Śledcze”.

Wysoki, wysportowany, z krótko ostrzyżonymi włosami i ascetyczną twarzą zakonnika wydawał się przekonujący. Być może zbyt przekonujący.

Jego południowy akcent został oszlifowany na jednym z uniwersytetów Ivy League.

Chciał rozmawiać z Timem w cztery oczy w małym gabinecie na dole. Tim nalegał, żeby była przy tym obecna Linda.

–To, co chcę panu powiedzieć, przeznaczone jest wyłącznie dla pańskich uszu – odparł niechętnie Wentworth.

–Ona jest mną – odparł Tim, nie dając za wygraną.

Przyprowadzono ją z jadalni, gdzie rzekomo czekała na przesłuchanie.

W domu roilo się od agentów. Jeżeli byli agentami.

Timowi przypominali orków z Władcy pierścienia.

–Trzeba opatrzyć jego ucho – powiedziała Linda, wchodząc do gabinetu.

–Mamy ze sobą medyków – odparł Wentworth. – On nie godzi się, żeby go dotykali.

–Prawie już nie krwawi – zapewnił ją Tim.

–Bo zrobił się jeden wielki skrzep. Mój Boże, Tim.

–Wcale nie boli – powiedział, chociaż nie było to prawdą. – Wziąłem dwie aspiryny.

Jego mama i Pete byli przetrzymywani w jadalni.

Ktoś miał podobno odebrać od nich zeznania.

Mama uważała chyba, że są już bezpieczni.

Może rzeczywiście byli.

Ciało zabójcy wsadzono do torby i wywieziono na wózku z domu. Nikt nie zrobił mu

zdjęć.

Jeśli obecni byli jacyś technicy kryminalistyczni, zapomnieli wziąć sprzęt. Nie zbierano żadnych dowodów rzeczowych.

Kiedy Wentworth zamknął drzwi do gabinetu, Tim i Linda usiedli razem na sofie.

Agent rozsiadł się w fotelu i założył nogę na nogę. Zachowywał się jak władca wszechświata.

–To zaszczyt pana poznać, panie Carrier – oznajmił.

Tim poczuł na sobie analityczny wzrok zielonoegipskich oczu.

–Nie chcę o tym mówić – powiedział do Wentwortha.

–Rozumiem. Ale to prawda. Gdyby to nie dotyczyło pana, nie byłoby mnie tutaj i ta sprawa nie byłaby zakończona ani dla pana, ani dla pani Paquette.

–To dziwne – mruknął Tim.

–Dlaczego? Uważa pan, że nie jesteśmy po tej samej stronie?

–A jesteśmy?

Wentworth uśmiechnął się.

–Bez względu na to, czy jesteśmy, czy nie, nawet w tym

wiecznie zmieniającym się świecie pewnych wartości po prostu nie wolno podważać. W interesie pryncypialnej rekonstrukcji niektóre rzeczy muszą cieszyć się respektem. W tym również ludzie tacy jak pan.

–W interesie pryncypialnej rekonstrukcji?

Wentworth wzruszył ramionami.

–Nie możemy się obyć bez naszego żargonu.

–Zupełnie się pogubiłam – stwierdziła Linda.

–Facet ma zamiar powiedzieć nam jakąś część prawdy – wyjaśnił Tim.

–Jaką?

–Tylko tyle, ile musi.

–Wolałbym nie mówić jej wam w ogóle – wyznał Wentworth. – Ale pan... pan nie spocznie, dopóki się pan nie dowie.

–Nie jesteście agentami FBI, prawda? – zapytała Linda.

–Jesteśmy tym, kim powinniśmy być, pani Paquette.

Jego garnitur został skrojony i wykończony przez drogiego krawca, zegarek na rękę kosztował całoroczną pensję agenta.

–Nasz kraj, Tim, musi poczynić pewne koncesje.

–Koncesje?

–Nie możemy być tacy, jacy kiedyś byliśmy. Jeżeli mamy się pomyślnie rozwijać, musi być tego mniej. Zbyt wiele swobód niszczy pokój.

–Spróbujcie to sprzedać przed wyborami.

–Sprzedajemy to, Tim, budząc w ludziach fałszywe lęki. Pamiętasz wirusa milenijnego? Wszystkie komputery padną z wybiciem północy. Upadnie cywilizacja oparta na nowoczesnych technologiach. Pociski nuklearne same wzbiją się w powietrze! Tysiące godzin w telewizji, kilometry papieru gazetowego poświęcone wyłącznie temu.

–Ale do niczego nie doszło.

–I o to chodzi. Od dłuższego czasu media karmią nas wyłącznie grozą. Myślicie, że to dzieje się samo? Przewody wysokiego napięcia powodują raka! Choć oczywiście wcale tego nie robią. Prawie wszystko, co jemy, nas zabija, to ma w sobie pestycydy, tamto chemikalia. Choć oczywiście ludzie z dekady na dekadę żyją dłużej i zdrowiej. Lęk jest niczym młotek. Kiedy waleni nim ludzie uwierzą w końcu, że ich życie wisi na postrzępionej nitce, dadzą się zaprowadzić tam, dokąd powinni maszerować.

–To znaczy dokąd?

–Ku odpowiedzialnej przyszłości w odpowiednio zarządzanym świecie.

Wentworth w ogóle nie gestykulował. Jego dłonie spoczywały nieruchomo na poręczach fotela. Zadbane paznokcie błyszcząły, jakby pociągnął je bezbarwnym lakierem.

–Ku odpowiedzialnej przyszłości – powtórzył Tim.

–Ludzie wybierają na ogół głupców i oszustów. Kiedy politycy prowadzą kraj w kierunku potrzebnej rekonstrukcji systemu, należy ich popierać. Kiedy prowadzą złą

politykę, trzeba ich sabotować na każdym kroku, od wewnątrz.

Tim spojrzął na cienką kreskę krwi, którą pozostawił wewnątrz jego lewej dłoni nóż zabójcy.

–Zobaczycie, jak w nadchodzących latach będzie wzrastał lęk przed zbliżającą się asteroidą – podjął Wentworth. – Zobaczycie, jak ludzie zgodzą się na niesłychane poświęcenia, kiedy zjednoczymy całą planetę, aby stworzyć potężny system zmiany toru asteroid w odległym kosmosie.

–Czy zbliża się do nas jakaś asteroida? – zainteresowała się Linda.

–Nie można tego wykluczyć – odparł Wentworth.

–Dlaczego Linda miała zginąć? – zapytał Tim, nadal patrząc na zaschniętą krew na dłoni.

–Dwa i pół roku temu dwaj mężczyźni pili przez godzinę kawę na patio kawiarni Cream and Sugar.

–Jacy mężczyźni?

–Jeden był tajnym współpracownikiem senatora Stanów Zjednoczonych. Utrzymywał kontakty z obywatelami krajów trzecich, z którymi senator nie chciał być w żaden sposób łączony.

–Obywatele krajów trzecich...

–I tak jestem już wobec pana zbyt szczery, panie Carrier. Drugi mężczyzna był głęboko zakamuflowanym agentem działającym na rzecz jednego z tych krajów.

–I wypili po prostu kawę w Cream and Sugar?

–Żywione wzajemnie podejrzenia wymagały, by spotkali się w publicznym miejscu.

–I ja tam wtedy byłam? – upewniła się Linda.

–Tak.

–Nie pamiętam, żebym ich w ogóle widziała. I z całą pewnością nie słyszałam nic z tego, co mówili.

Tim z początku ocenił wiek Wentwortha na czterdzieści lat, jednak teraz widział, że dawno już przekroczył pięćdziesiątkę; od piętnastu lat wstrzykiwał sobie botoks w gładkie czoło i wolną od zmarszczek skórę przy oczach.

–Charlie Wen-ching uwielbiał swoją ścianę pamięci –

powiedział Wentworth.

Linda zmarszczyła czoło.

–Ma pan na myśli te fotografie stałych klientów?

–Zawsze pstrykał zdjęcia aparatem cyfrowym i uaktualniał kolekcję. Tego dnia zrobił fotografię pani i innym stałym klientom.

–Sfotografował mnie parę razy – powiedziała Linda – ale chyba wiem, o który dzień panu chodzi.

–Pracownik senatora i zagraniczny agent nie należeli do stałych klientów i Charlie nie zapytał, czy może zrobić im zdjęcie. Prawie nie zwrócili uwagi na to, co robi.

–Ale znaleźli się na drugim planie tych fotografii – mruknął Tim.

–I co z tego? – prychnęła Linda. – Nikt nie wiedział, kim byli.

–W ciągu następnego roku zdarzyły się cztery rzeczy – wyjaśnił Wentworth.

–Po pierwsze – domyślił się Tim – wyszło na jaw, że tajny współpracownik senatora jest jego asystentem – domyślił się Tim.

–Owszem. A zagraniczny agent został w końcu publicznie zidentyfikowany jako czołowy strateg ważnej organizacji terrorystycznej.

–A trzecia rzecz? – zapytała Linda.

Wentworth ponownie skrzyżował nogi. Miał na stopach modne skarpetki z niebiesko-czerwonym motywem geometrycznym.

–Synowie Charliego, Michael i Joseph, wykupili stronę w Internecie. Bardzo dobrze zrobioną. Kolejny krok w stronę utworzenia całej sieci kawiarni Cream and Sugar.

–Zwróciło na nich uwagę jakieś czasopismo gospodarcze – przypomniała sobie Linda.

–Na stronę zaczęło wchodzić coraz więcej ludzi. W galerii regularnych klientów było dwieście ulubionych zdjęć Charliego. Na niektórych widać było w tle dających się łatwo zidentyfikować dwóch mężczyzn.

–Asystent senatora spotykający się w tajemnicy z kimś w rodzaju Osamy Bin Ladena... to zrujnowałoby każdą polityczną karierę – zauważył Tim.

–Nawet całą partię polityczną – dodał Wentworth.

–Ale dysponując takimi środkami – wtrąciła Linda – mogliście przecież włamać się na ich stronę i usunąć stamtąd te fotografie.

–Robiliśmy co w naszej mocy. Jeżeli coś znajdzie się w sieci, nigdy nie można tego do końca usunąć. Poza tym Charlie trzyma płytę ze zdjęciami w sejfie w kawiarni.

–Co za problem włamać się tam i ukraść płytę?

–Często dawał kopie fotografowanym klientom.

–Więc do nich też trzeba było się włamać. Po co zabijać wszystkich tych ludzi?

–Jeżeli do któregoś z nich przyszedłby ambitny prokurator albo zbuntowany dziennikarz, kto wie, co mogliby sobie przypomnieć... albo udać, że sobie przypomnieli. „O tak, słyszałem, jak mówili o podłożeniu bomby w ambasadzie i kilka miesięcy później rzeczywiście ją detonowano”. Ludzie uwielbiają światło fleszy, chwilę, kiedy stają się sławni.

–Dlatego zapadła decyzja, żeby zlikwidować wszystkich, którzy mogliby zmyślić, że podsłuchali ich tego dnia na patio – dopowiedział Tim.

Wentworth zabębnił wypielęgnowanymi paznokciami po poręczy fotela, co było pierwszym gestem, jaki wykonał po tym, jak usiadł.

–Gra idzie o wysoką stawkę, panie Carrier. Czwartą rzeczą jest to, że gwiazda senatora zabłysła jaśniej. Być może mamy do czynienia z przyszłym prezydentem. Co byłoby bardzo pożądane. Senator jest z nami od dwudziestu lat, od samego początku.

–Ma pan na myśli ten wasz gabinet cieni.

–Tak. Mamy wpływ w biurokracji, w służbach policyjnych, w wywiadzie i Kongresie, ale teraz wyłoniła się szansa, żebyśmy rozszerzyli je na Gabinet Ovalny.

Wentworth zerknął na zegarek i wstał z fotela.

–Ten człowiek, którego zabiłem... – zaczął Tim.

–Narzędzie. Przez jakiś czas bardzo dobre. Ale ostatnio zaczęło mu odbijać.

–Jak się naprawdę nazywał?

–Nie był nikim wyjątkowym. Takich jak on są legiony.

–Legiony... – powtórzyła Linda.

Wentworth złożył dłonie i wyłamał palce.

–Kiedy zorientowaliśmy się, że obrał sobie za cel pana i pańską rodzinę, panie Carrier – powiedział – musieliśmy interweniować. Jak już mówiłem, pewne rzeczy muszą być otoczone szacunkiem ze względu na pryncypialną rekonstrukcję.

–Przecież to tylko żargon.

–Owszem, lecz za tym żargonem stoi filozofia, w którą wierzymy i zgodnie z którą staramy się żyć. Jesteśmy ludźmi pryncypialnymi.

Tim i Linda wstali z sofy, a Wentworth poprawił krawat i mankiety.

–W końcu, gdyby ludzie pana pokroju nie bronili tak walecznie naszej ojczyzny, nie mielibyśmy czego rekonstruować – oznajmił z uśmiechem.

Tim został uhonorowany i jednocześnie dano mu odczuć, gdzie jest jego miejsce.

–Jeżeli ujawnicie to, co tu powiedziałem – dodał Wentworth, kładąc rękę na klamce, lecz nie otwierając jeszcze drzwi na korytarz – wyjdziecie na paranoików i głupców. Zadbamy o to, korzystając z pomocy naszych ludzi w mediach. Jakiś czas później odbije panu palma i zabije pan panią Paquette oraz całą swoją rodzinę. A potem popełni pan samobójstwo.

–Nikt nie uwierzy, że mógłby to zrobić – pospieszyła z obroną Timowi Linda.

Wentworth uniósł brwi.

–Cierpiący na stres posttraumatyczny wojenny bohater,

który naoglądał się tyle okropieństw, że musiał w końcu sprawić wszystkim krwawą łaźnię? Zważywszy na wszystkie nieprawdopodobne rzeczy, w które każe się dziś wierzyć opinii publicznej, tę historię kupią bez mrugnięcia okiem, pani Paquette – powiedział i wyszedł z pokoju.

–Bohater wojenny? Tim? – zdziwiła się Linda.

–Nie teraz – mruknął, wychodząc wraz z nią na korytarz.

Wentworth wyszedł z domu przez drzwi frontowe, zostawiając je otwarte. Tim je zamknął.

Wszyscy orkowie najwyraźniej zniknęli. Pete i matka Tima siedzieli w kuchni. Mary miała zbolalą minę.

–Co to, do diabła, było? – zapytał Pete.

–Zabierz mamę i Lindę do siebie.

–Zostaję – odparła Mary. – Trzeba zająć się twoim uchem.

–Zaufaj mi. Jedź z Pete'em. Mam do załatwienia kilka spraw. Zadzwonię do taty, poproszę, żeby przyjechał do domu i zabrał mnie do szpitala. Spotkamy się później u Pete'a.

–A potem co?

–Potem będziemy żyli dalej.

Jednocześnie zadzwonił telefon i dzwonek do drzwi.

–Sąsiedzi – mruknął Tim. – Nie będziemy z nimi

rozmawiali, dopóki nie ustalimy, jaką opowiedzieć im historię.

Kiedy Pete, Linda i Mary wyszli z domu, Tim zszedł do garażu i wyjął z należącego do ojca zestawu narzędzi nóż do dywanów.

Wyciął zakrwawione fragmenty chodnika na schodach i dywanu na korytarzu na piętrze, schował je do torby i wyrzucił do śmieci.

Co jakiś czas dzwonił telefon albo dzwonek do drzwi, ale nie działało się to tak często jak wcześniej.

Co ciekawe, krew nie poplamiała ozdobnej poduszki ani poduchy fotela. Odniósł je do salonu.

Zebrał fragmenty pociętego na paski obrazu oraz wszystkie łuski po nabojach i również wyrzucił do śmieci.

Z pewnym wysiłkiem przestawił na miejsce wysoką komodę i zebrał potłuczone lampy. Odkurzaczem usunął drewniane drzazgi i inne odpadki z dywanu w głównej sypialni.

W ciągu najbliższych dni zalepi gipsem dziury po pociskach i pomaluje ściany dwiema warstwami farby.

Zamknął okno na ulicę, a potem zasunął okno w swojej dawnej sypialni, ale nie zamknął go na zatrzask.

Orkowie zabrali ze sobą wszystkie utensylia, które zabójca zostawił na kuchennym

blacie. Zabrali również kajdanki przypięte do stołowej nogi.

Leżące w metalowej misce plasterki jabłek pobrązowiły. Wrzucił je do młynka na odpadki razem z leżącymi w zlewozmywaku skórkami.

Na koniec umył miskę, maszynkę do obierania oraz nóż i włożył je do szuflad, gdzie było ich miejsce.

Później zreperuje złamane krzesło.

To był jego dom, miejsce dla niego święte, i musiał doprowadzić je do porządku.

Po telefonie do ojca wyszedł na ulicę, żeby złożyć krótką wizytę Mickeyowi McCready'emu.

U Pete'a przywrócone zostało połączenie z Internetem i nikt nie skonfiskował jego komputera. Włączywszy go, zaprosił Lindę, żeby siadła przy klawiaturze, dał jej adres strony i wyszedł z pokoju.

Po wpisaniu nazwiska Tima znalazła na stronie internetowej następującą wzmiankę pochwalną:

Sierżant Timothy Eugene Carrier, za niezwykłą odwagą i męstwo w akcji, w której ryzykował życie i wykroczył poza to, czego wymagał od niego obowiązek. Wykonujący misję bojową pluton z kompanii sierżanta Carrier'a odkrył magazyn, w którym odbywały się masowe egzekucje osób cywilnych sympatyzujących z ruchem demokratycznym. Walcząc o opanowanie budynku oraz uratowanie znajdujących się tam więźniów, wśród których było wiele kobiet i dzieci, pluton został zaatakowany od tyłu i okrążony przez znaczne siły wroga. Powiadomiony o tym, że jednostka

poniosła poważne straty, jest praktycznie pozbawiona dowództwa i w dalszym ciągu atakowana, sierżant Carrier zabrał ośmiu żołnierzy i udał się helikopterem do oblężonego plutonu. Po opuszczeniu helikoptera, który w wyniku akcji wroga został uszkodzony przy lądowaniu, sierżant Carrier poprowadził pod huraganowym ogniem swój oddział oraz załogę helikoptera do atakowanego plutonu, który rzeczywiście stracił wszystkich wyższych rangą oficerów. W ciągu następnych pięciu godzin odważnie przemieszczał się między pozycjami, dowodząc i dodając ducha żołnierzom. Trafiony boleśnie w nogę i w plecy odłamkami nieprzyjacielskiego granatu sierżant Carrier kierował mimo to waleczną obroną, odpierając kolejne ataki i powiadamiając dowództwo o sytuacji plutonu. Po wdarciu się sił wroga do budynku przez czterdzieści minut osobiście powstrzymywał je przy kluczowym wejściu i dopiero gdy nieprzyjaciel ustąpił po przybyciu wezwanych przez niego posiłków, zemdlął w wyniku licznych odniesionych ran. Sierżant Carrier ocalił przed niewolą swoich kolegów z korpusu piechoty morskiej i zminimalizował straty w ludziach. W trakcie inspekcji magazynu odkryto w nim zwłoki 146 poćwiartowanych i pozbawionych głów cywilów, w tym 23 kobiety i 64 dzieci. Dzięki walecznej postawie i niezłomnemu męstwu sierżanta Carrier'a udało się również uratować 366 przetrzymywanych tam cywilów, wśród których było 112 kobiet i 220 dzieci, w tym również niemowlęta. Jego zdolności przywódcze i odwaga w obliczu przeważających sił wroga przynoszą mu wielki zaszczyt i są zgodne z najlepszymi tradycjami korpusu piechoty morskiej i marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych.

Ten człowiek ze słodką wielką głową i czułym sercem został odznaczony przyznawanym przez Kongres Medalem Honoru.

Linda przeczytała wzmiankę pochwalną, drżąc z przejęcia. A potem przeczytała ją

ponownie przez łyżki i zrobiła to po raz trzeci.

Uznawszy po jakimś czasie, że nie musi już być sama, Pete wrócił do gabinetu, usiadł na skraju biurka i wziął ją za rękę.

–Mój Boże, Pete. Mój Boże.

–Byłem razem z tym plutonem w magazynie, kiedy pojawił się tam ze swoimi ośmioma ludźmi.

–Kiedy razem dojrzeliscie.

–Dzisiaj wieczorem, przy kolacji, poznasz Liama Rooneya, jednego z tych, którzy przylecieli tam z Timem. I żonę Liama, Michelle... była pilotem strąconego helikoptera. Przeczytałaś, że poprowadził swoich ludzi i załogę helikoptera pod huraganowym ogniem wroga?

Linda pokiwała głową.

–Nie piszą tam, że najpierw założył opaskę uciskową na ramieniu Michelle. I prowadząc ich pod huraganowym ogniem, osłaniał ją i praktycznie niósł.

Przez chwilę nie była w stanie się odezwać.

–Každy idiota w tym kraju wie, kim jest Paris Hilton. Ile osób zna jego nazwisko? – powiedziała w końcu.

–Jedna na pięćdziesiąt tysięcy? – zgadł Pete. – Ale on wcale nie chce, żeby było inaczej. Należy do elitarnego klubu, Lindo. Poznałem kilku innych ludzi, którzy dostali ten medal. Každy jest inny i są w różnym wieku... niektórzy walczyli jeszcze w drugiej wojnie światowej... ale pod pewnymi względami wszyscy są tacy sami. Po pierwsze, i to naprawdę robi wrażenie, kiedy ich spotykasz, żaden nie chce mówić o tym, co wtedy zrobił. A jeśli zaczynasz ich cisnąć, wpadają w zakłopotanie na samą myśl, że ktoś może ich uważać za bohaterów.

To jest ta skromność, z którą mogli się urodzić albo która może wynikać z doświadczenia i na którą mnie nigdy nie będzie stać, wiem o tym cholernie dobrze.

Weszli razem do kuchni.

Mary stała przy zlewku i obierała jabłka na szarlotkę.

–Pani Carrier? – powiedziała Linda.

-Tak?

-Dziękuję pani.

-Za co, kochanie?

-Za pani syna.

Niebo było bezkresne, podobnie jak równina i zielone pola niedojrzałej kukurydzy i z tego bezkresu emanował spokój rzeczy, które rosną, i cierpliwie uprawiających ziemię ludzi.

Tima zatrzymano przy zjeździe z szosy, kazano mu chwilę zaczekać, a potem przejechał aleją pół mili dzielące go od farmy.

Dwupiętrowy, przestronny, lecz w żadnym wypadku nie-okazały dom otaczała ze wszystkich stron weranda. Białe drewniane ściany utrzymane były w takiej czystości, że w jasnym słońcu Środkowego Zachodu Tim nie zobaczył ani jednego śladu łuszczącej się farby, ani jednego przebarwienia.

Widział wcześniej ten dom na fotografiach, ale nigdy tu nie był.

Miał na sobie swój jedyny garnitur, jedną z dwóch posiadanych białych koszul i nowy krawat, który kupił specjalnie na tę okazję. Wysiadłszy z wynajętego samochodu, poprawił węzeł krawata, przesunął rękami po marynarce, by strząsnąć z niej kłaczki, jeśli jakieś były, i zerknął w dół, żeby sprawdzić, czy nie powinien szybko wyglansować butów, pocierając nimi o nogawki spodni.

Z domu wyszedł sympatyczny, swobodniej ubrany młody człowiek, zaprowadził go na werandę i zapytał, czy nie napije się mrożonej herbaty.

Siedząc w eleganckim bujanym fotelu ze szklanką wyśmienitej herbaty w ręku, Tim miał wrażenie, że jest duży, niezgrabny i wystrojony, ale wcale nie czuł się nieswojo.

Wzdłuż całej werandy stały bujaki z giętego drewna oraz wiklinowe fotele, sofy i małe stoliki, jakby wieczorem ze wszystkich stron schodzili się sąsiedzi, żeby porozmawiać o pogodzie.

Nie kazała mu długo czekać. Pojawiła się w wysokich butach, brązowych dżinsach i wykrochmalonej białej bluzce, o wiele swobodniej ubrana niż wtedy, gdy spotkali się poprzednio.

Tim powiedział, że miło ją znowu widzieć, a ona odparła, że cała przyjemność jest po jej stronie, i poczuł, że mówi to szczerze.

W wieku siedemdziesięciu pięciu lat była wysoka i zadbana, z obciętymi krótko gęstymi siwymi włosami i bezpośrednim spojrzeniem niebieskich oczu.

Uścisk jej dłoni był mocny, taki jak zapamiętał. Miała silne, opalone i spracowane ręce.

Popijając herbatę, rozmawiali o kukurydzy, o koniach, które były jej wielką miłością, i o lecie na Środkowym Zachodzie, gdzie się urodziła, dorastała i skąd miała nadzieję nigdy nie wyjechać.

–Przyjechałem tutaj, żeby prosić panią o przysługę, która ma dla mnie wielkie znaczenie – wyznał w końcu.

–Niech pan powie, o co chodzi, sierżancie Carrier, a ja zrobię co w mojej mocy.

–Przyjechałem tutaj, żeby poprosić o prywatne spotkanie z pani synem i jest niezmiernie ważne, żeby przekazała mu pani tę prośbę osobiście.

–Na szczęście – odparła z uśmiechem – zawsze miałam świetny kontakt z synem z wyjątkiem jednego miesiąca, kiedy był w marynarce i doszedł do wniosku, że musi się ożenić z dziewczyną, o której wiedziałam na sto procent, że nie jest dla niego odpowiednia.

–I jak to się skończyło, proszę pani?

–Ku mojej uldze i niemałemu rozbawieniu odkrył, że dziewczyna nie zamierza go poślubić.

–Sam biorę ślub za miesiąc – powiedział Tim.

–Moje gratulacje, sierżancie.

–I jestem na sto procent pewien, że jest dla mnie odpowiednia.

–No cóż, jest pan teraz starszy, niż był wówczas mój syn, i powiedziałabym, że rozsądniejszy.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę o Lindzie, a potem o spotkaniu, które chciał odbyć i dlaczego chciał je odbyć. Tim nie zdradził jej wszystkiego, ale i tak wyjawiał więcej, niż zamierzał.

Pachnący żywicą iglasty las stał w czerwonym świetle zmierzchu niczym katedra, w której modlą się tylko sowy, odmawiając składający się z jednego słowa pacierz.

Elegancki, duży, kryty gontem dom wznosił się na zboczu pośród drzew, przy brzegu długiego jeziora, w którym odbijała się płonąca na niebie zorza.

Mężczyzna sprowadził Tima po podświetlanych schodach na molo, które wrzynało się mniej więcej sto stóp w wodę.

–Dalej pójdzie pan sam – powiedział.

Tim stąpał z głuchym odgłosem po deskach mola. Fale uderzały łagodnie o pale, z pogrążonej w mroku wody po jego prawej stronie wyskoczyła z pluskiem ryba.

Przy końcu mola stał otwarty pawilon, dość duży, by można w nim postawić stół na osiem osób. Tego wieczoru stół był mały i dostawiono do niego tylko dwa krzesła, oba obrócone ku zachodniemu niebu i niebu odtworzonemu w wodzie.

Na stole stała przykryta szklaną pokrywką taca z kanapkami i mała posrebrzana skrzynka z kruszonym lodem, w którym tkwiły cztery butelki piwa.

Gospodarz Tima wstał, żeby go powitać, i kiedy uścisnęli sobie dłonie, otworzył dwa piwa. Popijając je, usiedli, żeby popatrzeć na zapadający zmrok.

Czerwień zmieniła się w purpurę i w miarę, jak ciemniała, na niebie zamigotały pierwsze gwiazdy.

Z początku Tim czuł się skrępowany i luźna pogawędka przychodziła mu z pewnym trudem. Żałował, że nie ma w pobliżu jakiegoś murowanego domu, którego wygląd mógłby skomentować. Niestety, w zasięgu wzroku nie było ani jednej cegły lub kamienia. Wkrótce jednak trochę się rozluźnił.

Światła w pawilonie były zgaszone, ale w wodzie przeglądał się księżyc i noc była dość jasna.

Rozmawiali między innymi o swoich matkach i ich opowieści były równie zabawne, co czule.

Przy kanapkach i drugim piwie Tim opowiedział o zabójcy z głodnymi oczami, a także o Wentwortcie i o wszystkim, co się wydarzyło. Padło wiele pytań, na które odpowiedział, a potem padły kolejne, ponieważ ten syn Środkowego Zachodu był człowiekiem skrupulatnym.

–Ze względu na moją rodzinę chciałbym pana prosić,

panie prezydencie – powiedział Tim, kładąc na stole nagraną

przez Mickeya McCready'ego płytę DVD – żeby postarał się

pan do nich dobrać w sposób, który nie sugerowałby, że

wykorzystuje pan dostarczone przeze mnie informacje.

Uzyskał w tym zakresie obietnicę i uznał, że może zaufać swojemu rozmówcy.

W jakimś sensie otwierał w tym momencie kolejne drzwi. Potrafił wyczuwać drzwi i te wydały się bezpieczne.

–Na tym filmie, panie prezydencie, widać wyraźnie twarze

dwudziestu mężczyzn łącznie z Wentworthem, jakkolwiek się naprawdę nazywa. Wszyscy pracują w służbach policyjnych i w rządzie, więc w kartotekach są ich fotografie. Odnajdzie ich pan za pomocą programów rozpoznawania twarzy. Sądzę, że każdy z tej dwudziestki wyda dwudziestu kolejnych i tak dalej. Ale mówię panu o rzeczach, na których zna się pan lepiej ode mnie.

Jakiś czas później podszedł do nich sekretarz i skinął głową Timowi oraz swojemu szefowi.

–Tę rozmowę telefoniczną, na którą pan czekał, panie

prezydencie, będzie można odbyć za pięć minut.

Tim wstał wraz ze swoim gospodarzem i podali sobie ręce.

–Zajęło nam to dużo czasu – powiedział prezydent. –

Mój limit to dwie butelki, ale może pan chciałby się jeszcze

napić przed wyjściem?

Tim spojrzał na czarne jezioro, na osrebrzone księżycem grzbiety małych fal, na rosnące przy każdym brzegu czarne drzewa i podziurawione w tysiącu punktów czarne niebo.

–Chętnie się napiję, dziękuję bardzo, panie prezydencie.

Stał, dopóki prezydent nie zszedł z pomostu, a potem z powrotem usiadł.

Pokojówka przyniosła na tacy piwo i zmrożoną szklankę i zostawiła go samego. Nie skorzystał ze szklanki i pił prosto z butelki.

Daleko po drugiej stronie jeziora rozległ się urzekający krzyk nura i jego echo było równie urzekające.

Tim był tutaj tak samo daleko od domu jak na tamtej białej farmie na równinie, ale czuł wewnętrzny spokój, ponieważ jego dom był wszędzie, naprawdę, od morza do morza.

Ceny na południu i w Bay Area były dla nich za wysokie, przeprowadzili się więc na środkowe wybrzeże, do miasteczka, które wpadło im w oko.

Tam też nie starczyło im pieniędzy na posiadłość przy samym morzu albo z widokiem na morze, ale kupili pochodzący z lat trzydziestych dom ze zdrowymi fundamentami.

Na czas remontu, w trakcie którego przywracali nieruchomości jej oryginalny kształt, zamieszkali w przyczepie. Większość prac wykonywali sami.

Jego rodzina – w skład której z definicji wchodził Pete, Zoey, Liam i Michelle – przyjechała na obławanie domu pomiędzy Świętem Dziękczynienia i Bożym Narodzeniem. Michelle przywiozła gotowy żyrandol z lwami i Linda popłakała się na jego widok, a potem popłakała się ponownie, słysząc, że Michelle jest w ciąży.

Tim znalazł pracę przy budowie muru, a potem przy patio i każde zamówienie rodziło następne. Ludzie w miasteczku wkrótce się na nim poznali: murarz Tim nie odwał fuszerki.

Kiedy remont dobiegł końca, Linda zaczęła znowu pisać. Historię, w której nie było gniewu, w której zdania nie ociekały goryczą.

–Dobrze się zapowiada – stwierdził Tim, kiedy dała mu do przeczytania kilka pierwszych rozdziałów. – To coś autentycznego. Prawdziwa ty.

–Nie, wielka głowo – odparła, potrząsając kartkami. – To nie jestem ja. To my.

Nie mieli telewizora, ale kupowali czasami gazety.

W lutym, dziewięć miesięcy po tym, jak Tim zabił niedoszłego mordercę Lindy, w mediach zaczęto pisać o spiskach i wyrokach. Dwaj czołowi politycy popełnili samobójstwo, Waszyngton zatrzęsł się i runęły polityczne imperia.

Przez tydzień śledzili wiadomości, a potem dali sobie spokój.

Wieczorami puszczała muzykę swingową i stare programy radiowe: Jacka Benny'ego, Phila Harrisa, Burnsa i Allena.

Sprzedali fordę z roku 1939, w którym zostawił im pamiątkę zabójca, i zastanawiali się, czy nie kupić następnego, gdyby książka dobrze się sprzedała.

Podobnie jak Pete'owi Timowi śniły się wcześniej obcięte głowy niemowląt i zropana matka, która straciła jedno dziecko, ale miała nadal dwoje innych i w

przyplýwie sprzecznych emocji wyrýwała sobie wlosy z gowy, by spleć z nich proste ozdoby, była bowiem biedna i nie mogła w żaden inny sposób wyrazić swojej wdzięczności. Te rzeczy przestały mu się śnić.

Świat pozostał mroczny i gdzieś blisko czaił się jeszcze większy mrok. Ale on i Linda odnaleźli mały krąg światła, ponieważ ona wiedziała, jak przetrwać, a on wiedział, jak walczyć, i razem tworzyli całość.

Spis treści

Część pierwsza

**WŁAŚCIWE MIEJSCE,
NIEWŁAŚCIWY CZAS... 9**

Część druga

**NIEWŁAŚCIWE MIEJSCE,
WŁAŚCIWY CZAS... 125**

Część trzecia

NIEWŁAŚCIWE MIEJSCE, NIEWŁAŚCIWY CZAS...301

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-19

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/